

**WILLOW ROSE**

**POWIEDZ,  
ZE MNIE  
KOCHASZ**



Przekład Agnieszka Myśliwy



**WILLOW ROSE**

**P.OWIEDZ,  
ZE MNIE  
KOCHASZ**

Przekład Agnieszka Myśliwy



Tytuł oryginału: *Say you love me*

Przeład Agnieszka Myśliwy

Copyright © Willow Rose, 2024

This edition: © Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S, Copenhagen 2024

Projekt graficzny okładki: Marcin Słociński

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Aneta Iwan

ISBN 978-91-8054-213-5

Konwersja i produkcja e-booka: [www.monikaimarcin.com](http://www.monikaimarcin.com)

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

Word Audio Publishing International/Gyldendal A/S

Klareboderne 3 | DK-1115 Copenhagen K

[www.gyldendal.dk](http://www.gyldendal.dk)

[www.wordaudio.se](http://www.wordaudio.se)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Liceum Fernandina Beach, Wyspa Amelia Poniedziałek, 30

września

Rozdział 4

Tydzień później

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

[Rozdział 29](#)  
[Rozdział 30](#)  
[Rozdział 31](#)  
[Rozdział 32](#)  
[Rozdział 33](#)  
[Rozdział 34](#)  
[Rozdział 35](#)  
[Rozdział 36](#)  
[Rozdział 37](#)  
[Rozdział 38](#)  
[Rozdział 39](#)  
[Rozdział 40](#)  
[Rozdział 41](#)  
[Rozdział 42](#)  
[Rozdział 43](#)  
[Rozdział 44](#)  
[Rozdział 45](#)  
[Rozdział 46](#)  
[Rozdział 47](#)  
[Rozdział 48](#)  
[Rozdział 49](#)  
[Rozdział 50](#)  
[Rozdział 51](#)  
[Rozdział 52](#)  
[Rozdział 53](#)  
[Rozdział 54](#)  
[Rozdział 55](#)  
[Rozdział 56](#)  
[Rozdział 57](#)  
[Rozdział 58](#)  
[Rozdział 59](#)  
[Rozdział 60](#)  
[Rozdział 61](#)  
[Rozdział 62](#)  
[Rozdział 63](#)  
[Rozdział 64](#)  
[Rozdział 65](#)  
[Rozdział 66](#)

Rozdział 67  
Rozdział 68  
Rozdział 69  
Rozdział 70  
Rozdział 71  
Rozdział 72  
Rozdział 73  
Rozdział 74  
Rozdział 75  
Rozdział 76  
Rozdział 77  
Rozdział 78  
Rozdział 79  
Rozdział 80  
Rozdział 81  
Rozdział 82  
Rozdział 83  
Rozdział 84  
Rozdział 85  
Rozdział 86  
Rozdział 87  
Rozdział 88  
Rozdział 89  
Rozdział 90  
Rozdział 91  
Rozdział 92  
Rozdział 93  
Rozdział 94  
Rozdział 95  
Rozdział 96  
Rozdział 97  
Rozdział 98  
Rozdział 99  
Rozdział 100  
Rozdział 101  
Rozdział 102  
Rozdział 103  
Rozdział 104

Rozdział 105

Rozdział 106

Rozdział 107

Rozdział 108

Rozdział 109

Rozdział 110

Rozdział 111

**Trzy dni później**

Rozdział 112

**Posłowie**

## **Rozdział 1**

Sobota, 28 września

22:45:07

Dyspozytor: Centrum powiadamiania ratunkowego, w czym mogę pomóc? Halo?

Allyson: Halo, chcę rozmawiać z policją.

Dyspozytor: Co się stało? Jak się nazywasz?

Allyson: Mam na imię Allyson. Zostałam porwana.

Dyspozytor: Ile masz lat, Allyson?

Allyson: Piętnaście. Proszę się pospieszyć. Nie wiem, gdzie jestem.

Dyspozytor: Co to znaczy, że nie wiesz, gdzie jesteś? Nie znasz nazwy miejscowości?

Allyson: To chyba nadal wyspa, ale nie jestem pewna. Było ciemno... Nie wiem, gdzie dokładnie jestem.

Dyspozytor: Widzisz cokolwiek, jakieś punkty orientacyjne, które pomogłyby nam cię zlokalizować?

Allyson: N-nie, nie wydaje mi się. Tu jest ciemno.

Dyspozytor: Ktoś jest z tobą? Jesteś sama?

Allyson: Tak. Teraz jestem w pokoju sama.

Dyspozytor: To dom czy mieszkanie?

Allyson: Dom. Siedzę w garderobie na piętrze. On chodzi na dole. Słyszę go. Niedługo wróci na górę. Wezwijcie do mnie policję. Szybko, proszę.



Dyspozytor: Okej, okej. Problem polega na tym, że twój telefon nie pokazuje twojej lokalizacji. To komórka?

Allyson: Tak. Znaleziona. Pewnie jego.

Dyspozytor: To ten mężczyzna cię porwał?

Allyson: Tak... Pojawił się... Idzie... Przyjedźcie szybko, proszę!

Dyspozytor: Zrobił ci krzywdę?

Allyson: Tak, pobił mnie!

Dyspozytor: Jesteś ranna? Krwawisz?

Allyson: Tak, krwawię. Proszę, przyślijcie policję!

Dyspozytor: Zrobiłbym to, gdybym wiedział dokąd. Czy możesz mi jakoś pomóc? Czy widzisz jakakolwiek wskazówkę? Może za oknem widać tablicę z nazwą ulicy?

Allyson: Żaluzje są zamknięte. Nie mogę wyrzeć na zewnątrz. Proszę, proszę, niech tu ktoś przyjedzie.

Dyspozytor: Może gdzieś leży jakaś poczta z adresem?

Allyson: Nie. Proszę. Słyszę go. Idzie po mnie. Boję się. Nie mogę stąd wyjść. Błagam!!!

Dyspozytor: Robię, co mogę. Naprawdę. Czy możesz jakoś wydstać się z domu?

Allyson: Nie. Zamknął drzwi, a w oknach są żaluzje.

Dyspozytor: Czy jest uzbrojony?

Allyson: Potraktował mnie paralizatorem. Miał na twarzy kominiarkę.

Dyspozytor: Ale nie miał broni?

Allyson: N-nie wiem. Ale coś pamiętam. Widziałam strumień. Przejechaliśmy nad strumieniem, zanim zawiązał mi oczy. Ma niebieski samochód. Tak! Przywiózł mnie tutaj niebieskim samochodem.

Dyspozytor: Okej, nieźle. A teraz postaraj się rozejrzeć, zastanów się, czy możesz mi powiedzieć, gdzie jesteś, poszukaj czegoś, co zdradzi ci adres.

(Długa cisza. Krzątanka. Allyson się skrada, słychać ciężki oddech).

Allyson: Wyszłam z garderoby i znalazłam coś w szufladzie. Wizytówkę. Jest na niej adres.

Dyspozytor: Doskonale. Podaj mi adres, a ja wyślę po ciebie patrol. Znajdziemy cię, Allyson, postaraj się uspokoić, dobrze? Znajdziemy cię, zanim on wróci po ciebie na górę. Tylko podaj mi ten adres.

Allyson: Breakers Drive d-dwadzieścia trzy.

Dyspozytor: Bakers Drive? Allyson? To było Bakers Drive?

Allyson: (krzyczy)

Dyspozytor: Postaraj się zachować spokój. Doskonale sobie radzisz, Allyson. Łączę się z policją. Już po ciebie jadą. Pozostań na linii. Halo? Halo? Allyson, jesteś tam? Halo?

## Rozdział 2

Sobota, 28 września

22:50:07

Dyspozytor: Centrum powiadamiania ratunkowego, w czym mogę pomóc?

Allyson: Ratunku!

Dyspozytor: Allyson?

Allyson: Pospieszcie się, proszę! Czy pomoc już jedzie?

Dyspozytor (oddycha z ulgą): Tak, Allyson. Policja jest już w drodze. Zostań tam, gdzie jesteś. Jak się czujesz, Allyson? Czy coś się stało?

Allyson (oddycha płytko): Bardzo się boję. Ratujcie mnie.

Dyspozytor: Policja już jedzie, Allyson. Naprawdę. Będzie u ciebie lada chwila. Spróbuj się uspokoić. Słyszałem twój krzyk. Zaatakował cię? Znow cię skrzywdził?

Allyson (pociąga nosem): Bardzo się boję, proszę, niech mi ktoś pomoże.

Dyspozytor: Patrol będzie za kilka minut. Zostań ze mną na linii.

Allyson (z płaczem): Dobrze.

Dyspozytor (nieco łamiącym się głosem): Nie martw się, słonko. Już jadą. Musisz jeszcze chwilę wytrzymać, dasz radę? Musisz być bardzo silna, możesz to dla mnie zrobić?

Allyson (szlocha rozpaczliwie): Tak bardzo się boję... Czy oni już jadą?

Dyspozytor: Jada, dziecko. Jeszcze chwileczkę. Już jada. Zostań ze mną.

Allyson: Dobrze.

Dyspozytor: Weź parę głębokich wdechów, dobrze?

Allyson (oddycha): Okej, to pomaga. Dzięki.

Dyspozytor: Oddychaj równo, dobrze?

Allyson (szlocha): Słyszę go. Pomocy!

Dyspozytor: Mów do mnie, Allyson. Co się dzieje? Gdzie on jest? Na górze, tam gdzie ty?

Allyson (zniża głos do szeptu): Chyba tak. Słyszę go... Słyszę kroki.

Dyspozytor (nerwowo): Zachowaj spokój. Nie wydawaj żadnych dźwięków, dobrze? Trzymaj telefon przy uchu, żebym słyszał twój oddech. Policja jest już bardzo blisko. Jeszcze kilka sekund. Musisz zachować spokój, dziewczyno. Zostań na linii, ale poza tym się nie ruszaj.

(W słuchawce zapada głucha cisza).

Dyspozytor: Allyson? Jesteś tam? Allyson? Halo?

## Rozdział 3

Sobota, 28 września

22:52:03

Dyspozytor: Centrum powiadamiania ratunkowego, w czym mogę pomóc?

(Słuchać dyszenie).

Dyspozytor (wydaje cichy okrzyk): Allyson? To ty? Och, dziewczyno, tak się cieszę, że cię słyszę. Wszystko w porządku?

Allyson (szepcze przez łyży): Jest w pokoju. Zamknęłam się w garderobie. Słyszę go. O Boże, jest tuż za drzwiami.

Dyspozytor (ze wzburzeniem): Policja już powinna tam być, Allyson. Na pewno są już blisko... (mamrocze). Dlaczego jeszcze ich nie ma? To niemożliwe!

Allyson (z płaczem): Proszę. Stałam przed drzwiami garderoby. Klamka się porusza, o Boże. Idzie tu, idzie po mnie!

Dyspozytor: Czy widzisz obok siebie coś, co mogłoby ci posłużyć jako broń? Potrzebujemy już tylko kilku sekund. Postaraj się grać na czas. Porozmawiaj z nim, jeśli zdołasz.

Allyson: N-nie mogę. Jest bardzo silny. On chce mnie zabić. Widziałam to w jego oczach. Zszedł na dół, żeby się przygotować. Zabije mnie, o dobry Boże.

(Odgłosy przepychanki. Ktoś krzyczy. Allyson wydaje okrzyk).

Dyspozytor (przez łyży): Allyson. O-oni już powinni tam być, policja jest już pod domem. To... to... Allyson? Allyson? ALLYSON?

(W słuchawce rozlega się ciężkie sapanie, a potem zapada cisza).

Liceum Fernandina Beach, Wyspa Amelia  
Poniedziałek, 30 września

## Rozdział 4

Coś jest nie tak.

To przeczucie dręczyło Lauren od samego rana – przez trzy pierwsze lekcje. Coś było nie tak. Nie wiedziała, czy to intuicja, coś w powietrzu, czy może o czymś zapomniała, o zadaniu domowym na dzisiaj albo o czymś zupełnie innym. Cały ten poranek wydawał jej się jednak dziwaczny.

Rozejrzała się po stołówce, gdzie dzieciaki jadły, rozmawiały i szurały tacami. Wszystko na pozór wyglądało normalnie, ale jej zdaniem były to pozory – a to budziło w niej zdenerwowanie.

– A gdzie Adam?

Podniosła wzrok na Chrisa, który usiadł naprzeciwko niej i właśnie rozpakowywał swój lunch. Pokręciła głową i lekko wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

Widziała Adama rano, przed lekcjami, ale tylko przelotnie. Stał przy szafkach z plecakiem. Pomachała mu, chciała do niego podejść, nie zauważył jej jednak, a potem zadzwonił dzwonek i musiała iść na pierwszą lekcję. Później była druga lekcja, a on nie przyszedł. Zazwyczaj siedzieli razem na historii Stanów Zjednoczonych. Była to jej ulubiona część dnia. Kochała się w Adamie od szóstej klasy, o czym on nie miał pojęcia. Byli sąsiadami i najlepszymi przyjaciółmi. Lunch też zazwyczaj jadali razem.

O to chodzi. To ci nie pasuje. Smutno ci, bo nie ma Adama.

– Widziałam go rano – dodała. – Ale na historię nie przyszedł. Może źle się poczuł i wrócił do domu.

Chris wzruszył ramionami i odgryzł kęs kanapki.

– Żeby tylko nie zapomniał, że razem robiliśmy zadanie na matkę. Dzisiaj mamy je złożyć, w przeciwnym razie dostaniemy zero, a ja nie mogę sobie na to pozwolić. Może powinienem do niego zadzwonić.

Sięgnął do plecaka po komórkę, a Lauren w tej samej chwili podniosła wzrok i zauważyła, że Adam stanął w drzwiach stołówki. Rozpromieniła się na jego widok, jej puls przyspieszył.

– Jest – powiedziała i pomachała do niego. Zaczerwieniła się lekko i przeklęła swoją zdradziecką twarz, która zawsze obnażała jej uczucia. – Adam! Tutaj!

Adam jednak nawet na nią nie spojrział, a ona poczuła ukłucie w sercu. Jakoś dziwnie się zachowywał. Miał w oczach coś takiego... jego spojrzenie było takie obce, że zaczęła się zastanawiać, czy go przypadkiem z kimś nie pomyliła.

– Adam? – wymamrotała, a potem przeniosła wzrok na przedmiot, który trzymał w dłoni, częściowo ukryty pod kurtką. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nie chciała uwierzyć. Niemożliwe, żeby to się stało. Nie w jej szkole. Nie z rąk chłopca, którego od tylu lat tak mocno kochała.

Niemożliwe.

Wszystkie te zasłyszane historie wróciły do niej w ułamku sekundy. Zeznania naocznych świadków, które oglądała w telewizji – o napastniku, który wszedł do klasy i zaczął strzelać, o odgłosach strzałów dochodzących z oddali, o barykadowaniu drzwi do klas, o ucieczce do wyjścia, o przyjaciółach i kolegach, którzy padali martwi na ziemię.

Tyle razy widziała nagrania ze śmigłowców, na których dzieci wyprowadzano na zewnątrz, podczas gdy inne tkwiły uwięzione w budynku. Przypomniła sobie te przerażone, trzęsące się głosy, zapłakane oczy, zrozpaczonych rodziców. Tyle razy zastanawiała się, czy



pewnego dnia przydarzy się to jej, w jej szkole, ale w głębi ducha zawsze wierzyła, że to niemożliwe.

Człowiek nigdy się nie spodziewa, że coś takiego przydarzy się akurat jemu...

Kiedy Adam wyjął kałasznikowa spod kurtki i zaczął strzelać, Lauren zdumiało to, że wszystko w stołówce zamarło, ona również. Jakby czas się zatrzymał. Nikt się nie ruszał, choć w głębi ducha wszyscy wiedzieli, że właśnie teraz nie mogą zmarnować ani chwili. Ich życie od tego zależało. A mimo to nawet nie drgnęli. Jakby nie mieściło im się w głowie, że to się dzieje, że to spotyka akurat ich. Że to nie są kolejne ćwiczenia, które planowano kilka razy do roku, że to nie jest coś, co oglądają w telewizji wtuleni w rodziców, którzy myślą, że następnym razem to może być ich dziecko.

A to się działo. Działo się naprawdę.

To nie były ćwiczenia.

Tydzień później

## Rozdział 5

– Jak się trzyma? Jest poprawa?

Nie mogłam patrzeć na mężczyznę, który stał obok mnie. Odchrząknął, unikając mojego wzroku, po czym pokręcił głową.

– Nie.

To mój ojciec. A chłopak w szpitalnym łóżku był moim bratem, o którego istnieniu nie miałam pojęcia jeszcze dwa dni temu.

Nie widziałam taty od trzydziestu sześciu lat, odkąd porwał moją siostrę Sydney i wywiózł ją do Londynu, kiedy miała siedem, a ja pięć lat. Dorastałam, nie wiedząc, co się z nią stało, pod opieką niedostępnej emocjonalnie matki i z przekonaniem, że muszę zostać profilerką FBI, aby odkupić swoją winę, bo nie zdołałam jej uratować tamtego pamiętnego dnia.

Tymczasem ojciec znowu zaistniał w moim życiu. Nie na skutek moich starań czy z powodu tęsknoty, lecz z powodu chłopca w szpitalnym łóżku, za którego oddychała maszyna. Mój brat miał na imię Adam, o czym oczywiście nie miałam pojęcia. Mój ojciec w ogóle nie odpowiadał moim wyobrażeniom. Był drobny, tęgawy, miał nerwowe niebieskie oczy – wyglądał, jakby się mnie bał.

W końcu zrozumiałam, po kim odziedziczyłam rude włosy, niski wzrost i inne cechy zewnętrzne.

Wielkie dzięki, tatusiu!

– Przyniosłam kawę.

Ten głos należał do mojej siostry Sydney. Mnie podała jeden kubek, a drugi wręczyła ojcu. Ich relacja wcale nie była lepsza. Choć siostra mieszkała z nim w Londynie, powiedział jej, że matka jej nie chciała, że odesłała ją do niego. Sydney dorosła, opuściła Londyn i zamieszkała na Florydzie, chcąc nas odnaleźć, w czym nasz ojciec

w ogóle jej nie pomógł, nie chciał nawet zdradzić jej naszych prawdziwych danych, dlatego też długo mieszkaliśmy blisko siebie i o tym nie wiedziałyśmy. Udało nam się nawiązać kontakt dopiero pół roku temu, wszystko to było więc bardzo nowe. Mimo to już czułam, że Sydney rozumie mnie jak nikt. Lepiej nawet niż mój chłopak Matt, którego znałam od przedszkola. Matt był detektywem w Cocoa Beach, gdzie mieszkaliśmy, niedawno odnaleźliśmy drogę do siebie po wielu latach rozłąki.

Przyjechałyśmy z Sydney na Amelię odwiedzić brata, który leżał w śpiączce. To tata zadzwonił do nas i o to poprosił.

Właśnie wtedy się dowiedziałyśmy, że mamy brata.

I w zasadzie niewiele więcej, bo Adam dotąd nie odzyskał przytomności. Oczywiście dostałyśmy też informacje znane wszystkim: że ma piętnaście lat, a w szpitalu leży od tygodnia... od tego dnia, kiedy postanowił wnieść do szkoły karabin szturmowy i zaczął z niego strzelać w stołówce. Funkcjonariusz przydzielony do opieki nad tą szkołą zareagował błyskawicznie i postrzelił go w klatkę piersiową.

Nie mogłam przestać myśleć o telefonie od taty, który odebrałam dwa dni temu. Z początku sądziłam, że to pomyłka, i się rozłączyłam. I tak kilka razy. Powtarzałam, że nie mam ojca i żeby przestał do mnie dzwonić, że to jakiś chory żart.

To Sydney przekonała mnie, że powinniśmy jechać. Nasz ojciec mieszkał z matką – naszą babcią – w domu na wyspie Amelia, trzy godziny samochodem od Cocoa Beach. Potrzebowali mojej pomocy.

– On ma piętnaście lat, na litość boską – powiedziała Sydney, kiedy oświadczyłam, że nigdzie nie jadę, że nie jestem ojcu nic winna, że nie chcę widzieć ani jego, ani jego syna. Nigdy. – To tylko dziecko – kontynuowała uparcie. – Nie jego wina, że nasz ojciec jest durniem. Nie prosił się na świat, tak jak i ty. Nie wybrał sobie ro-

dziny. A my możemy właśnie stać się dla niego rodziną albo przynajmniej pomóc mu wykaraskać się z kłopotów.

Otworzyłam usta i wbiłam w nią wzrok. Niewiarygodne. Czy ona na poważnie sugerowała, że powinnam temu chłopakowi pomóc?

– Przyniósł do szkoły AK-47 i zaczął strzelać do kolegów i przyjaciół. A ty mówisz tak, jakby był niewinnym dzieciakiem! Moim zdaniem jest takim samym głupcem jak nasz ojciec. Jeśli myślisz, że pomogę mu wypić to piwo, którego sam nawarzył, to jesteś tak samo głupia jak oni.

– Leży w śpiączce, Evo Rae. Postrzelili go. Tata nie wierzy w wersję policji. Mówi, że nasz brat nigdy by tego nie zrobił.

– No wiadomo, jak to ojciec. Co innego miałby powiedzieć?

– A jeśli ma rację?

Wstałam, ale Sydney mnie zatrzymała.

– To tylko kilka godzin drogi stąd, masz brata, którego nigdy nie widziałaś, masz babcię, której nie widziałaś, pewnie odkąd byłaś dzieckiem. Nie chcesz ich chociaż poznać? Nie jesteś ciekawa? Nie jesteś ani trochę ciekawa?

Upłynęła chwila, zanim zdołałam się do tego przed sobą przyznać, ale pewnie, że byłam ciekawa. I tak to się stało.

David Clarke, nasz ojciec, nie wierzył, że jego syn mógł zrobić to, o co oskarżyła go policja, i chciał, bym pomogła mu to udowodnić. Po dwóch dniach na Amelii nadal nie byłam pewna, czy chcę mu pomóc. Jeśli dzieciak był na tyle głupi, by wnieść broń na teren szkoły, no to chyba sam się tak urządził, prawda?

– Lekarze coś mówią? – zapytała Sydney. – Nadal ma gorączkę? Opuchlizna zeszła?

Spojrzałam na moją piękną siostrę, gwiazdę filmową, którą ubóstwiał cały świat. Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście – odzyskałam ją po trzydziestu sześciu latach – i nadal byłam wściekła na

ojca za to, że nam te lata ukradł. Właśnie dlatego nie mogłam spojrzeć mu w oczy, właśnie dlatego miałam ochotę go zabić. Nie nazywałam go nawet tatą, nie chciałam myśleć o nim jak o ojcu.

Dla mnie był tylko Davidem Clarkiem, nikiem więcej.

– Nie. Nikogo jeszcze nie było – odparł. – Czekamy na obchód.

Zerknął na mnie nerwowo, a ja z westchnieniem usiadłam w fotelu. Zamknęłam oczy i potarłam skronie.

Co ja tu w ogóle robię? Co mnie tu przywiodło?

## Rozdział 6

– Jadę do domu. Już późno, muszę ułożyć Elijaha do snu.

Matt zajrzał do gabinetu komendantki policji Annie. Podniosła na niego wzrok, po czym spojrzała na zegar na ścianie.

– Nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś. – Westchnęła. – Trudno ci znieść ponowną rozłąkę z Evą Rae?

Kiwnął głową.

– No tak, ale musiała wyjechać. Całkowicie to rozumiem. Ojciec, brat, o którego istnieniu nie miała pojęcia... Trudno jej się dziwić.

– Ale i tak za nią tęsknisz.

– Trudno byłoby nie tęsknić. – Skinął jej głową. – Dobranoc.

Podszedł do samochodu i wszedł do środka. Przez kilka minut siedział w fotelu i wpatrywał się w ciemność. Dlaczego to przeciągał? Naprawdę tak trudno mu było wrócić do domu?

Zapalił silnik z głębokim westchnieniem. Naprawdę. W domu czekał na niego syn, Elijah. Przez cały dzień opiekowała się nim babcia, a teraz Matt miał go położyć spać. Obiecał matce, że wróci do domu, by to zrobić. Chciała, by traktował on syna priorytetowo, by spędzał z nim więcej czasu, a Matt przyłapywał się na tym, że szuka wymówek, by móc zostać dłużej w pracy. Dlaczego? Bo Elijah go nienawidził. Matt czuł się udręczony tym, jak syn się do niego odnosi, jak go ignoruje.

Matt nie uczestniczył w jego życiu do chwili śmierci jego matki. Chłopak konsekwentnie winił za tę śmierć ojca, więc nic dziwnego, że im się nie układało. Matt coraz więcej pracował, przeciągał pracę, żeby tylko nie musieć radzić sobie z chłopcem, kiedy wracał do domu.

Oczywiście wiedział, że nie jest to najlepszy sposób na uporanie się z problemem, Eva Rae w kółko to powtarzała. Nie znał jednak innego sposobu. Miał wrażenie, że próbował już wszystkiego, ale nic nie poprawiło sytuacji. A że Eva Rae wyjechała, nie miał już żadnego powodu, by wychodzić z pracy.

Myślał o niej, kiedy jechał A1A. Zatrzymał się w Sunoco na rogu. Chciał kupić parę piw, może coś dla chłopca. Może zdoła kupić jego miłość słodyczami.

Zaparkował, wszedł do środka, zrobił zakupy, a kiedy wychodził, na parking wjechał właśnie czarny lincoln navigator. Matt westchnął, gdy z samochodu wysiadł Chad, były mąż Ewy Rae. Znalazł jakąś super płatną robotę w sprzedaży, a nowiutki navigator z 2019 roku był prezentem od firmy. Chad uśmiechnął się krzywo na widok Matta i pomachał do niego.

– Siema, stary.

Stary. Matt wzdrygał się, ilekroć Chad go tak nazywał. Było to protekcyjne, jak cały Chad. Matt nie rozumiał, dlaczego Eva Rae wyszła za tego kolesia.

– Przyjechałem po słodycze dla dzieciaków – oświadczył Chad. – Widzę, że wpadłeś na ten sam pomysł.

Zerknął na torbę, którą Matt trzymał w dłoni.

Dzieciaków. Chad nigdy nie omieszkał przypomnieć o tym Mattowi. O tym, że jego i Ewę Rae łączy rodzina, a Matta i Ewę Rae nie. Matt nie mógł znieść myśli, że ten facet ożenił się z Ewą Rae i miał z nią troje dzieci. Znosił to jeszcze trudniej niż fakt, że Chad na powrót zjawił się w jej życiu. Było to dobre dla dzieci, ale nie dla Ewy Rae. Matt bał się, że Chad znów ją zrani. Kolesz zdradzał ją przez ponad rok małżeństwa. Zdaniem Matta takich rzeczy się nie wybacza. Jak ktoś mógł zrobić coś takiego Ewie Rae? Obnażało to prawdziwy charakter kolesia, a faceci tacy jak on się nie zmieniali. Przynaj-



mniej zdaniem Matta. Eva Rae miała nieco inne zdanie. Wierzyła, że każdy zasługuje na drugą szansę – tak powiedziała, kiedy o tym rozmawiali. Poza tym dla dobra dzieci musiała wpuścić go na powrót do swojego życia.

Matt uważał, że za łatwo Chadowi poszło. I że próbuje odzyskać Evę Rae.

– Tak, muszę lecieć... – mruknął.

– Jasne, pewnie. Cóż, miło było cię widzieć, stary. Przekażę Evie Rae, że na ciebie wpadłem, kiedy zadzwoni powiedziec dzieciom dobranoc. Nara.

Nozdrza Matta drżały lekko, kiedy odprowadzał Chada wzrokiem do drzwi sklepu.

– Może sam jej to powiem, kiedy będę z nią rozmawiał... przed tobą – mruknął, po czym wsiadł do samochodu i odjechał, uderzywszy pięścią w kierownicę.

## Rozdział 7

– Kto powiedział, że grzebanie w śmieciach oznacza brak klasy?

Evelyn z uśmiechem spojrzała w kamerkę telefonu. Miała na sobie sukienkę w czarno-białe paski, naszyjnik ze sztucznych pereł, takie same kolczyki i bransoletkę. Czarne włosy wyprostowała i zebrała w kucyk białymi plastikowymi perlami. Wysiadła z samochodu, trzymając telefon tak, by widzowie mogli śledzić każdy jej ruch. Zawsze nagrywała się telefonem, a potem wrzucała to na YouTube. Miała dwanaście tysięcy subskrybentów, którzy uwielbiali dobre rady na temat tego, co można znaleźć w cudzych śmietnikach.

– Pamiętajcie, że w zeszłym tygodniu znalazłam zestaw całkiem nowych ściereczek kuchennych? To tutaj je znalazłam, z metkami i w ogóle. Były w idealnym stanie, ktoś je wyrzucił, bo mu się nie spodobały albo coś w tym rodzaju. Kto wie, dlaczego bogacze wyrzucają całkiem nowe, nieużywane rzeczy?

Sięgnęła po torbę na zakupy i podeszła do kontenera, nadal się filmując. Zatrzymała się przed wielkim zielonym pojemnikiem.

– Chyba już wspominałam, gdzie najlepiej szukać, ale powtórzę to dla wszystkich nowych osób, które są ze mną od niedawna i nie widziały moich wcześniejszych filmów. Najlepsze miejsca to przede wszystkim eleganckie dzielnice takie jak ta, gdzie obecnie jestem.

Obróciła komórkę tak, by widzowie zobaczyli wysokie apartamentowce otaczające park.

– Wszystkie te budynki stoją frontem do oceanu. Ich właściciele to zamożni ludzie z północy, którzy przyjeżdżają na Amelię i wyrzucają tu całą masę przydatnych rzeczy. A ja wam je pokazuję. Pamiętajcie obrus bankietowy, ten srebrny, pokazywałam wam kilka tygodni

temu? Też z tego pojemnika. Nigdy nieużywany. Wyjęty z opakowania, ale nieużywany. Niektórzy ludzie to świnie, wyrzucają tyle rzeczy. Ale wiecie, co zawsze powtarzam: w śmietniku można znaleźć prawdziwe skarby. Drugie najlepsze miejsce na poszukiwania to kontenery za takimi sklepami jak Bealls lub JJ Cooper. Wszystkie zwroty, których nie można odłożyć z powrotem na półkę, lądują w koszach, wiedzieliście o tym? Od dziesięciu lat nie kupiłam żadnych nowych ubrań. Wszystko, co mam na sobie, znajduję za sklepami. Zostańcie ze mną, to wam potem pokażę.

Obróciła kamerę na kontener.

– No to sprawdźmy, co się tu dzisiaj przed nami ukryło.

Uniosła pokrywę i sfilmowała wnętrze.

– Na górze widać głównie worki ze śmieciami, część jest całkowicie bezużyteczna, ale wystarczy któryś podnieść, zajrzeć głębiej i... Aha, spójrzcie!

Wyjęła rolkę papieru do pakowania.

– Patrzcie, całkiem nowy. Nawet nierozpakowany. Idealny na zbliżające się urodziny mojego syna. Od lat nie kupuję papieru do pakowania. Ciągle znajduję całkiem nowe rolki. Zobaczmy, co jeszcze się tu kryje.

Odłożyła rolkę na ziemię i znów zajrzała do pojemnika. Sięgnęła po plastikowy worek i go rozwiązała. Zajrzała do środka i wykrzywiła twarz w grymasie.

– Nie. Tu są same śmieci, fuj. No dobra, sprawdźmy tam.

Odsunęła cuchnący pakunek na bok i zajrzała pod niego. Sięgnęła po szary worek i podniosła go.

– O, to wygląda obiecująco. Worek jest duży, w środku jest coś twardego. I całkiem sporego. Zapowiada się prawdziwy skarb. Sprawdźmy, co to może być. – Spróbowała podnieść worek jeszcze wy-

żej, ale był ciężki, musiała się poddać. Odłożyła go więc i rozchyliła, by zajrzeć do środka.

– Co tam jest? – mamrotała, nadal trzymając kamerkę tak, by widzowie wszystko widzieli. – Co to takiego? Manekin? Po co wyrzucać taki...

Nagle zamilkła. Jej puls przyspieszył, kiedy spojrzała na kryjącą się w worku głowę. Obróciła kamerę, czując, że powinna coś powiedzieć, ale nie zdołała. Zabrakło jej słów. Wyłączyła nagrywanie i zadzwoniła pod dziewięćset jedenaście.

## **Rozdział 8**

### *Wcześniej*

– Nie rozumiem. Co ja tu robię?

Marlene spojrzała na dwóch przedstawicieli służb porządkowych, którzy siedzieli naprzeciwko niej. Przyszli do niej rano i poprosili, by pojechała z nimi. Mieli odznaki, ale nie wiedziała, czy są z policji, bo byli ubrani po cywilnemu. Przedstawili się jako śledczy, czym niemal przyprawili ją o atak serca. Nie powiedzieli, dlaczego zabierają ją na posterunek ani nawet co się dzieje, choć po drodze dopytywała wielokrotnie.

– O co chodzi? – zapytała ponownie. Miała wrażenie, że zacięła się niczym zdarta płyta. – Czy coś się stało?

Ten po prawej pochylił się w jej stronę i odchrząknął. Nie mogła sobie przypomnieć, czy on przedstawił się jako Rivers, czy może jego kolega. Była niemal pewna, że jeden to Rivers, a drugi Waltman.

Pokręciła głową. Nie miało to znaczenia. Chciała już tylko wystać się stąd jak najszybciej i wrócić do swojej kuchni. Miała upiec kurczaka na kolację, zostawiła go na blacie, kiedy po nią przyszli. Bała się, że pies się do niego dorwie i nie będzie miała co podać dziś wieczorem.

– Chodzi o pani syna – powiedział ten niemal na pewno Rivers. Miał kozią bródkę, którą cały czas pocierał.

Marlene wbiła w niego zdumione spojrzenie. Jej serce zaczęło mocniej bić na wzmiankę o chłopcu.

– O mojego syna? Jest w szkole? Przeskrobał coś? Wpakował się w jakieś kłopoty? Coś mu się stało?

– Musi się pani uspokoić – odparł Waltman i wyciągnął do niej rękę, jakby to miało jej pomóc opanować wzburzenie. – Prowadzimy śledztwo. Pani synowi nic nie grozi. Już jest bezpieczny.

– Co to znaczy, że już jest bezpieczny? Oczywiście, że jest. Mój syn jest zawsze bezpieczny.

– To znaczy, że trafił pod opiekę służb społecznych, gdzie pozostanie do zakończenia naszego śledztwa.

Marlene zmarszczyła czoło. O czym oni mówią, na litość boską? To musi być pomyłka. To wszystko. Jej przyjazd tutaj, to, co teraz mówią.

– Śledztwa? Ale... dlaczego mój syn jest pod opieką służb? Nie rozumiem – burknęła z frustracją. Zmarnuje cały dzień na to, na siedzenie tutaj, a przecież oni zaraz sobie uświadomią, że to pomyłka. Że nie chodzi o nią, że chodzi o inne dziecko. Czy coś w tym rodzaju. – Czy ktoś może mi wyjaśnić, co się tu dzieje? Co to za śledztwo?

Rivers znów odchrząknął i upił łyk kawy z kubka. Upłynęła cała wieczność, zanim go odstawił, Marlene miała ochotę na niego wrzasnąć.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie pani męża – oświadczył w końcu. – Mamy powody uważać, że znęca się nad waszym synem.

## Rozdział 9

– Mamo, Christine i Alex w ogóle nie pomagają mi przy królikach. Sama wszystko robię.

Trzymałam słuchawkę blisko ucha i słuchałam mojej córki Olivii. Była najstarsza z trojga rodzeństwa, miała piętnaście lat. Christine miała trzynaście, a Alex siedem.

– To znaczy? – zapytałam. Temat nie budził we mnie szczególnego zainteresowania, ale cieszyłam się, że słyszę głos córki. Chad zadeklarował, że mogą mieć króliki, mnie nie zapytano o zdanie, pewnie dlatego, że wszyscy wiedzieli, co bym odpowiedziała. Wiedziałam, że będą z tym problemy, i miałam rację. Dzieciaki bezustannie kłóciły się o to, kto co powinien przy nich robić.

– Sprzątałam klatkę trzy dni temu i znów trzeba posprzątać. Kar mię je rano, daję im wodę, a Christine i Alex nigdy tego nie robią. Dlaczego to znowu ja mam sprzątać klatkę?

Siedziałam w poczekalni, w cichym kącie, gdzie nikt nie mógł mnie usłyszeć, robiłam sobie przerwę od tego, co się działo w szpitalnej sali. Dzieci zostały z ojcem na czas mojego wyjazdu.

– A jak się czuje ten chłopak? – zapytała Olivia. – Twój brat? Mój... wujek? Kurczę, dziwnie to brzmi.

– Zwłaszcza że jest w twoim wieku. – Pokręciłam głową. – Tak szczerze to nie wiem. Lekarze niewiele mówią.

Olivia milczała przez chwilę.

– A... naprawdę wziął karabin do szkoły i zaczął strzelać?

– Mhm.

– Kto robi takie rzeczy?

Wzruszyłam ramionami z westchnieniem. Mnie również dręczyła ta myśl. Jakim człowiekiem był mój brat?

- Zapewne ktoś chory psychicznie.
  - On... jest chory?
  - Nie wiem, jeśli mam być szczerą. Chyba nie ma diagnozy. Nie jestem pewna, czy w ogóle próbowano jakąś postawić.
  - A były jakieś objawy? No wiesz... Zanim to zrobił?
  - To znaczy?
  - No wiesz... Słyszy się różne historie o sprawcach... że rozmawiali w sieci o tym, co zamierzają zrobić, że pisali o tym w mediach społecznościowych.
- Wzięłam głęboki oddech.
- Nie... nie rozmawiałam jeszcze o tym z jego tatą.
  - Może powinnaś – podsunęła mi, jakby była to najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Nie rozmawiałam z ojcem od trzydziestu sześciu lat, z trudem znosiłam jego widok, jego obecność w tym samym pomieszczeniu. Dlaczego więc po prostu z nim nie porozmawiam o bracie, o którego istnieniu do tej pory nie wiedziałam?
  - To nie takie łatwe, skarbie.
  - Dlaczego?
- Wzięłam kolejny głęboki oddech.
- To skomplikowane. Wiesz co, ucałuj ode mnie brata i siostrę, dobrze? Muszę wracać.
  - Pa, mamo.
- Rozłączyłyśmy się, a ja spojrzałam na wyświetlacz. Wyszukałam numer Matta i już miałam do niego zadzwonić, kiedy do poczekalni weszła Sydney, na jej twarzy malował się niepokój.
- Coś się stało – powiedziała. – Chodźmy.



## Rozdział 10

Mężczyzna w niebieskim samochodzie podjechał pod sklep monopolowy i zgasił silnik. Popatrzył w lusterko na bliznę w kształcie alligatora na swoim policzku i westchnął głęboko. Wysiadł z samochodu, obejrzał się przez ramię, aby się upewnić, że nikt go nie widzi, po czym wszedł do środka.

Kierownik sklepu, który stał za ladą, nawet nie podniósł wzroku znad telefonu. Sklep był prawie pusty, tylko jakiś starszy facet stał przed półką z piwem, miał na głowie czapkę, kołnierz kurtki zakrywał mu pół twarzy.

Mężczyzna sięgnął po butelkę wódki i westchnął na myśl, że powinien to rzucić, że ta butelka na pewno będzie ostatnia. Zapłacił i wziął papierową torbę, po czym obrócił się i wpadł na faceta w brązowej kurtce, który stał tuż za nim, a ten aż wypuścił telefon.

Co za idiota. Nie zasługuje na to, by żyć.

– Przepraszam, pomogę panu – powiedział mężczyzna z blizną. Podniósł telefon i podał go facetowi z sześciopakiem w dłoni, który uśmiechnął się pod daszkiem czapki.

– Dziękuję. To bardzo miłe z pana strony.

– Nie ma sprawy.

Dla ciebie to tylko przedmiot, środek do osiągnięcia celu. Zabij go i odbierz nagrodę.

Mężczyzna z blizną uśmiechnął się i przesunął, by facet w czapce mógł zapłacić za piwo. Mężczyzna z blizną wyszedł na zewnątrz, zapalił papierosa, a chwilę później ze sklepu wyszedł ten drugi z piwem w papierowej torbie. Zaczęło padać.

– Chyba to przeczekam – rzucił mężczyzna z blizną. Spomiędzy jego warg uniósł się dym. Zatrzymał wzrok na nieznanym, otwo-

rzył butelkę wódki ukrytą w papierowej torbie i pociągnął łyk, kiedy nad ich głowami trzasnął piorun. – Przemoknę przez te parę kroków do samochodu.

– W sumie racja – odparł facet w czapce. Spojrzał na papierosy. – Mogę jednego?

– Pewnie. – Mężczyzna z blizną poczęstował nieznajomego i podsunął mu swoją zapalniczkę. Facet w czapce wypuścił dym z westchnieniem ulgi.

– Za długa przerwa, co?

To tylko element układanki. Środek do celu. Zabijasz z jednego tylko powodu.

– Można tak powiedzieć.

– Znam to uczucie... Sam od lat próbuję rzucić. To też. – Mężczyzna z blizną uniósł papierową torbę do ust.

Mężczyzna w czapce pokiwał głową.

Żeby zdobyć sławę.

– Tak w ogóle to Jeff jestem. – Mężczyzna z blizną wyciągnął dłoń.

– E.T. – odparł ten drugi z papierosem w ustach. Przymknął powieki, żeby dym nie leciał mu do oczu.

– E.T., tak? Nietypowo.

Uścisnęli sobie dłonie. Dwaj mężczyźni przeczekujący deszcz. Dwaj mężczyźni, którzy spotkali się przypadkiem. Wszystko to byłoby całkiem zwyczajne, nudne wręcz, gdyby nie fakt, że jeden z nich był mordercą, który już zaczął filmować swoją przyszłą ofiarę komórką.

## Rozdział 11

– Zabiję go!

Wybiegłam z poczekalni, kiedy usłyszałam krzyki. Przed salą mojego brata zobaczyłam mężczyznę po czterdziestce, czerwonego na twarzy. Trzymał go zastępca szeryfa Corel, przydzielony do ochrania pokoju Adama. David stał przy drzwiach, miał przerażoną minę.

– Co się tu dzieje? – zapytałam, podchodząc do Davida. – Kto to jest?

Nozdrza Davida drżały, spojrzał na mnie ze strachem. W jego oczach błysnęły łzy, z trudem wydobył z siebie głos.

– To ojciec Allyson – wykrztusił w końcu.

– A... kim jest Allyson?

Patrząc na mnie, David pokręcił głową. Ojciec Allyson przez cały ten czas krzyczał i jęczał. Zastępca szeryfa Corel tłumaczył mu coś z naciskiem.

– Musisz się uspokoić, Ryane, w przeciwnym razie będę musiał zawieźć cię na posterunek. Słyszysz mnie? Musisz się uspokoić.

Ryan pokiwał głową i przestał się wyrywać. Zastępca szeryfa go puścił. Ryan spojrzał na Davida, wargi mu drżały.

– Zabił ją, ty bydlaku, twój syn zabił moją córkę!

– T-to... – wyjąkał David, przyciskając dłoń do mostka. Ojciec Allyson sięgnął po telefon, na którym wyświetlał się jakiś filmik.

– Sam zobacz. Rano trafiło do internetu. Wyciągnęli ją ze śmietnika. Twój syn ją zabił i wyrzucił jak śmieć! Śmieć! Moja córeczka, moja kochana Allyson!

– Została zamordowana w szkole? – zapytałam z konsternacją, patrząc to na jednego, to na drugiego.

David pokręcił głową.

– Nie było jej tamtego dnia w szkole. Zaginęła... dwa dni wcześniej, nikt nie wiedział, gdzie jest. Modliliśmy się, żeby wróciła żywa...

– Och, daruj sobie – wtrącił Ryan. – Nie chcemy waszych modlitw. Chcemy sprawiedliwości dla naszej córki.

– Sprawiedliwy wyrok zapadnie w sądzie, kiedy... – zaczął zastępca szeryfa Corel, ale Ryan przerwał mu z głośnym rykiem.

– To ma być sprawiedliwość? Dostanie parę lat, a ja i moja żona dostaniemy... gównu, bo nic nie zwróci nam córki. Wiesz, gdzie właśnie byliśmy z żoną, wiesz?

David pokręcił głową.

– W kostnicy. Żeby zidentyfikować dziecko. Wyobrażasz sobie? Czy potrafisz to sobie wyobrazić? Świadomość, że to twój syn... twój zasrany syn jej to zrobił.

David spuścił głowę.

– Nie rozumiem – szepnął i zerknął na Adama, który wyglądał, jakby spokojnie spał. – Kochał ją. Kochali się.

– Kochał? – syknął Ryan, a zastępca szeryfa Corel znów musiał go chwycić. – To nazywasz miłością? Twój synalek w dziwny sposób okazuje miłość. Zapamiętaj moje słowa, Davidzie. Zabiję twojego syna, jeśli tylko nadarzy się okazja. Słyszysz? Zabiję go z zimną krwią za to, co zrobił mojej córeczce, i z radością pójdę potem za to do więzienia. Z radością!

## Rozdział 12

Ze szpitala wracaliśmy w całkowitej ciszy. Sydney siedziała obok mnie, a David z tyłu, żebym nie musiała na niego patrzeć. Już od samej jego obecności w samochodzie cierpła mi skóra. Tak dużo chciałam mu powiedzieć, tak wiele musiałam mu powiedzieć, ale brakowało mi słów. To nie była właściwa pora ani miejsce. Los powalił go na łopatki – i dobrze, to mi było potrzebne – ale nie zamierzałam kopać leżącego.

Zaparkowałam przed domem babci i zgasiałam silnik. David wysiadł pierwszy, my za nim. Kiedy weszliśmy na drewnianą werandę w stylu wiktoriańskim, usiadł na huśtawce i ukrył twarz w dłoniach. Stałyśmy nad nim z Sydney, nie wiedząc, co robić.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział. – Nie wierzę, że zrobił to wszystko. Mój syn, mój Adam... niemożliwe.

Szybko zrobiło się niezręcznie. Zerkaliśmy z Sydney to na siebie, to na ojca, który zanosił się szlochem. Żadna z nas nie miała ochoty go pocieszać. Czułam, jak wzbiera we mnie gniew, kiedy zastanawiałam się, dlaczego nade mną nigdy tak nie płakał. Rozpaczał z powodu syna, który prawdopodobnie był mordercą, a nade mną nie uronił ani jednej łzy?

Samolubne myślenie, ale nie mogłam się powstrzymać. W kółko się zastanawiałam, dlaczego Adam jest taki wyjątkowy, że jego tata chce patrzeć, jak dorasta, a na moje dorastanie nie chciał.

Naprawdę byłam zła, bo porwał Sydney, a nie mnie?

Najwyraźniej.

– To był taki dobry chłopak – podjął i zaraz się poprawił: – To jest taki dobry chłopak – kontynuował. – Nigdy nie zabiłby Allyson. Ko-

chali się jak szaleni. Wielbił ziemię, po której stąpała. To nie ma sensu!

Podniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy po raz pierwszy od dwóch dni, odkąd tu przyjechałam.

– Proszę, Evo Rae. Proszę, pomóż mu. Tylko ty zdołasz to zrobić.

Parsknęłam śmiechem i pokręciłam głową.

Teraz jestem ci potrzebna, co? Bo mogę się na coś przydać?

– Proszę cię, słonko.

Z gniewem pokręciłam głową.

– Nie masz prawa mnie tak nazywać. Słyszysz?! Nie masz prawa!

Patrzyłam na niego, nozdrza mi drżały.

– To śmieszne – dodałam i cofnęłam się. Emocje szalały we mnie niczym burza. Krew się we mnie gotowała, nie mogłam oddychać. To wszystko mnie przerosło.

Drzwi do garażu były otwarte, odwróciłam się więc od tej żalostnej podróbki ojca i poszłam tam. Moja babcia Eileen leżała pod swoim harleyem z kluczem francuskim w dłoni. Miała osiemdziesiąt lat i nadal jeździła na motorze, ani myślała zachowywać się tak, jak wypada w jej wieku.

– Po twojej minie wnioskuję, że Adam się jeszcze nie obudził – powiedziała, pociągając nosem. Była z nami w szpitalu poprzedniego dnia, ale niemal od razu wyszła, okazało się to ponad jej siły. Słyszałam, że przez całą noc krążyła po salonie, a dziś rano oświadczyła, że nie pojedzie z nami, wybierze się później. Dodała, że ma dużo pracy, ale wyczułam, że nie mogłaby znieść widoku Adama w takim stanie.

Spojrzałam na nią i pokręciłam głową. Nigdy wcześniej nie miałam babci. Matka mojej matki wyrzekła się jej, kiedy ta postanowiła urodzić dzieci w młodym wieku, nigdy nie odnowiły relacji, a że prawdziwego ojca nie znałam, nie miałam też pojęcia o istnieniu

Eileen. Twierdziła, że odwiedziła mnie parę razy, kiedy byłam mała, ale oczywiście tego nie pamiętam.

Najdziwniejsze, że kiedy poznałam Eileen dwa dni temu, od razu wyczułam w niej kogoś, z kim mogę pogadać. Na dodatek byłyśmy do siebie niewiarygodnie podobne. Obie miałyśmy takie same jasnoniebieskie oczy i rude włosy – no tak, u niej już prawie całkiem siwe, ale z rudawym odcieniem – bladą cerę, obie byłyśmy niskie i przy kości. Łączyła nas więź, jakiej nigdy wcześniej nie zaznałam, no, może z siostrą. Z Eileen było jednak inaczej. Czułam, że mnie rozumie, że mnie zna, naprawdę zna. Jakby była starszą wersją mnie.

Wysunęła się spod motoru, wytarła ręce w ścierkę i podeszła do mnie. Miała na sobie podarte, poplamione smarem dżinsy, biały podkoszulek z logo Harleja i bandanę na głowie. Pomimo wieku nosiła długie, niesforne włosy, co mi się bardzo podobało. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego kobiety strzygą się na krótko, kiedy kończą pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat. Dlaczego nie mogły się cieszyć długimi włosami?

Podeszła do lodówki, wyjęła z niej dwa piwa i podała mi jedno.

– Co tam, mała? Co się dzieje?

– David...

– Twój tata – poprawiła.

– No... Tak... Prosi, żebym pomogła Adamowi. Mówi, że nie wie, czy Adam był zdolny do tego, co podobno zrobił.

– Cóż, David śledził uważnie twoją karierę. Wie, że jesteś dobra w tym, co robisz. Dlatego po ciebie zadzwonił. Jesteś jedyną nadzieją Adama, czy ci się to podoba, czy nie.

To mnie zaskoczyło. Tata śledził moją karierę? Wcale jednak nie zaczęłam myśleć o nim lepiej z tego powodu. Skoro wiedział, gdzie jestem, mógł mnie odszukać. Nie musiał czekać na morderstwo.

– Ale... co konkretnie miałabym jego zdaniem zrobić? Przecież jest pełna stołówka świadków, którzy widzieli, że Adam wszedł z bronią i otworzył ogień.

Eileen pokręciła głową, sącząc piwo.

– To do niego niepodobne. Znam tego dzieciaka od piętnastu lat.

– Ale jednak sprawa jest oczywista... dowody przytłaczające. A teraz słyszę, że zabił też swoją dziewczynę?

Eileen prawie zakrztusiła się piwem.

– Allyson? Dobry Boże. Znalezli ją?

Potaknęłam.

– W kontenerze na śmieci w jakimś Peter's Point.

Eileen gwałtownie wciągnęła powietrze, widać było, że jej oczy napęniają się łzami.

– Dobrze ją znałaś? – zapytałam.

Pokiwała głową.

– Wiecznie u nas przesiadywała. Dotrzymywali mi towarzystwa tu, w garażu, albo szli do domu odrabiać razem lekcje. Byli przeuroczą parą. – Pokręciła głową i upiła kolejny łyk piwa. Odsunęła butelkę od ust i parsknęła gniewnie. – Nie. Nie kupuję tego. Wrabiają go. Adam w życiu by jej nie skrzywdził, w życiu!

Spojrzała na mnie znacząco.

– Musisz się temu przyjrzeć. Wiem, co myślisz o ojcu...

– Nie wiesz nawet połowy.

– Może nie, ale tu nie chodzi o niego. Nie proszę cię o to ze względu na twojego ojca. Zrób to dla Adama. Jest niewinny, mówię ci. Nie zrobił tego wszystkiego. Znam swojego wnuka. Kochał tę dziewczynę. Był dobrym chłopcem, zawsze był miły dla kolegów i koleżanek.

– Leczył się psychiatrycznie?



Pokręciła głową.

– Nie, nic w tym rodzaju. Musisz mi uwierzyć.

Westchnęłam, dopiłam piwo i odstawiłam pustą butelkę. Mój wzrok napotkał wzrok Eileen.

– Wiesz co... Mogłaś mnie odszukać – powiedziałam. – Mogłaś przynajmniej spróbować. – Odwróciłam się do niej plecami i odeszłam, dorzucając: – Dzięki za piwo.

## Rozdział 13

– Haaalo, ludzie. Wróciłem. Poprzednio widzieliście mnie także dzisiaj, kiedy dorwałem faceta przed monopolowym. Pamiętacie? Mam nadzieję, że podobało się wam, kiedy pobiliśmy go do nieprzytomności w zaułku za koszami na śmieci. Mnie się podobało, trzeba przyznać. Knykcie mam nadal obolałe i spuchnięte, patrzcie.

Mężczyzna nazywający siebie E.T. podniósł dłoń do kamery. Kamera była podłączona do komputera, trwała transmisja na żywo. Czworo użytkowników: Heinz45, Geogina211, superstar333 i hushnow5 już się włączyło, komentowało i kibicowało E.T. Nie mógł ich zawieść. Włączyli się, by go posłuchać i zobaczyć, jak realizuje fantazję, którą oni mogli tylko snuć.

– Wiem, że obecnie nikt nie wie, jak się nazywam, ale pewnego dnia chcę być naprawdę sławny – kontynuował. – A ten facet mi w tym pomoże. Patrzcie.

E.T. przeniósł kamerkę do samochodu zaparkowanego w garażu. Otworzył bagażnik, żeby pokazać środek swoim widzom.

– To jest Jeff – powiedział, robiąc zbliżenie na faceta z blizną w kształcie aligatora. Mężczyzna płakał pod kneblem, próbował krzyczeć, pewnie błagał o życie. – Jeff, przywitaj się z widzami.

E.T. dygotał z satysfakcji, był przekonany, że widzowie dzielają to uczucie. Liczba osób przed ekranami urosła do prawie stu, co ogromnie go cieszyło. Tego właśnie potrzebował, aby odnieść sukces. Mógł dzielić się swoimi osiągnięciami z ludźmi na całym świecie. Aż dziwne, jak łatwo dzisiaj stać się sławnym. A w jego przypadku był to dopiero początek.

Włączały się kolejne osoby, było ich już prawie dwieście. E.T. jeszcze zrobił zbliżenie na faceta w bagażniku.

– Proszę bardzo. Uśmiechnij się do obiektywu, Jeff. Ogląda cię cały świat. Ludzie komentują i lajkują tę relację w czasie rzeczywistym. Patrz, jest ktoś z Filipin. I z Indii. Ekscytujące, prawda? Że widzi cię cały świat. Ależ z ciebie farciarz.

E.T. odłożył kamerkę na statyw, schylił się, chwycił mężczyznę z blizną za ramiona i wyciągnął go z bagażnika. Ciężkie ciało z głośnym hukiem wylądowało na betonie. E.T. usłyszał skowyt dobywający się spod knebla i ten dźwięk napełnił go poczuciem siły.

Kolejni widzowie dołączali do transmisji, pojawiała się coraz więcej komentarzy.

„Zabij go młotkiem – napisał hugo789. – Wisi za nim na ścianie. Weź go i rozwal mu twarz na naszych oczach”.

„Ja bym wolał, żebyś go zadźgał” – napisał IWunYu.

„A może dobre stare duszenie? – zaproponował JulienP34. – Mnie się podoba”.

– Proszę was o cierpliwość. Jak zapewne wiecie, mam co do tego faceta plany. Wielkie plany. Plany, które dadzą mi sławę, sprawią, że ludzie zaczną o mnie mówić z drzeniem w głosie. Nie znalazł się tutaj po to, by zginąć szybką i straszną śmiercią, aczkolwiek to kuszące. Nie, moim zdaniem tu trzeba iść na całość. Nie mam racji?

Mężczyzna z blizną leżał na betonowej posadzce, zawodził mimo knebla i próbował zerwać postronki, które krępowały mu dłonie. E.T. pozwolił mu się wić, dopóki nie zmęczył go ten spektakl. W końcu chwycił za leżące na półce cęgi i odwrócił się do swojego nowego kumpla Jeffa, uderzając nimi we wnętrze dłoni. Kucnął obok nieznanego i pogłaskał go delikatnie po włosach, upewniając się, że kamera to wszystko widzi. Co za szkoda. Jeff był taki młody i jeszcze całkiem ładny. Skórę miał gładką, żadnych zmarszczek.

Przynajmniej nigdy się nie zestarzeje.

## Rozdział 14

– Mogę cię o coś zapytać?

Wpatrywałam się w ekran komputera. Przeglądałam konto brata na Instagramie, szukałam czegoś, co tłumaczyłoby, dlaczego postanowił otworzyć ogień do kolegów i koleżanek z klasy i zabić swoją dziewczynę. Szukałam manifestu, gniewnego posta, wołania o pomoc, czegokolwiek.

Widziałam jednak tylko szczęśliwe zdjęcia przedstawiające jego i Allyson, którą podobno zabił. Nie był wielbicielem broni, nie był wściekły na cały świat.

W każdym razie nie publicznie.

– Evo Rae?

– Hm? Tak, jasne, że możesz pytać.

W końcu zadzwoniłam do Matta. Siedziałam przy biurku w pokoju gościnnym, w którym Eileen ulokowała mnie i moją siostrę na czas naszej wizyty. Sydney czytała książkę, a ja przeglądałam konta brata w mediach społecznościowych, stukając z irytacją w klawisze. Tak bardzo chciałam, by okazał się winny, bo to zwolniłoby mnie z wszelkiej odpowiedzialności, oznaczałoby, że mogę wyjechać i nienawidzić ich wszystkich do końca życia.

Nie znalazłam nic, absolutnie nic. Do tego w głębi ducha też nie wierzyłam w jego winę. To nie dawało mi spokoju.

Nienawidziłam tego domu, nienawidziłam nawet jego zapachu, bo każda kolejna sekunda spędzona w nim przypominała mi, że mogłam znać tych ludzi, że podobno byli moją rodziną, że nie próbowali się ze mną skontaktować, choć doskonale wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Trzy godziny cholерnej jazdy samochodem. Tylko tyle. Trzy godziny.

– Co chciałaś tam znaleźć, kiedy zdecydowałaś się na podróż? Dlaczego tam pojechałaś? – zapytał Matt.

Podniosłam wzrok i odchyliłam się na oparcie fotela. Męczyła mnie ta rozmowa.

– To znaczy? Poprosili, żebym przyjechała. David zadzwonił, Sydney też tego chciała.

– Przecież mogłaś odmówić. Po co tam pojechałaś, jeśli nie po to, by im pomóc? Żeby na nich spojrzeć i pozwolić, by kisili się dalej we własnym sosie? Żeby wywołać w nich cierpienie? Po co?

– Nie rozumiem – odparłam, choć rozumiałam. Po prostu nie podobało mi się, co mówił. Za bardzo zbliżył się do prawdy.

– Próbuję powiedzieć, że to nie w twoim stylu, Evo Rae. Nie wierzę, że pojechałaś tam tylko po to, by ich docisnąć, nie wierzę, że zostawisz ich z tym nieszczęściem i wrócisz do swojego życia. Nie jesteś taka. Pojechałaś tam, bo w głębi ducha chciałaś pomóc. To właśnie robisz, nawet jeśli nie masz na to ochoty, nawet jeśli wkurzają cię jak nikt na świecie, nawet jeśli cię ranią, ty pomagasz. Chcesz im pomóc, Evo Rae. Poza tym jeśli okaże się, że to nie twój brat zabił Alyson, będzie to oznaczać, że gdzieś tam czyha prawdziwy zabójca.

Odetchnęłam i potarłam grzbiet nosa palcami. Matt miał rację. Po co to przeciągałam? Jeśli David i Eileen słusznie wierzyli w niewinność Adama, tuż za tymi starymi oknami, gdzieś na tej przeklętej wyspie, czaił się morderca, którego należało złapać.

## Rozdział 15

Śledczy odpowiedzialny za sprawę Adama urzędował w Biurze Szeryfa Hrabstwa Nassau w Yulee na stałym lądzie. Sydney nas tam zawiozła, ja po drodze podziwiałam przez szybę piękno krajobrazu. Amelia była malowniczą wyspą z licznymi strumieniami i mokradłami, a także bezkresnymi plażami o białym piasku. Znajdowała się dalej na północ niż Cocoa Beach i podobno zimą robiło się tu chłodniej. Nie była to jednak jeszcze ta pora roku, teraz trudno sobie to wyobrazić. Wyspa leżała niedaleko Jacksonville i granicy z Georgią. Był to najdalej wysunięty na północ punkt Florydy, a mimo to w październiku panowała tu upalna aura, temperatura sięgała trzydziestu stopni. Miałam na sobie elegancką czarną spódnicę i jasnozieloną bluzkę. Nie był to typowy dla mnie strój, ale chciałam zrobić dobre wrażenie. Chciałam, by potraktowano mnie poważnie.

Sydney zaparkowała przed niskim budynkiem z czerwonej cegły. Napis nad wejściem głosił: Biuro Szeryfa Hrabstwa Nassau. Żadna z trzech wywieszonych flag się nie poruszała. Wiatr całkiem ustał, przez co zrobiło się jeszcze bardziej gorąco.

Uprzedziłam telefonicznie o swojej wizycie i umówiłam się na spotkanie ze śledczym McMillenem, który powitał nas dość obojętnie w holu, po czym zaprowadził mnie do swojego biura. Usiadł i położył na biurku splecione dłonie.

– Co mogę dla pani zrobić, pani Thomas? Bo tak się pani teraz nazywa?

– Tak – odparłam, czując ukłucie w piersi. Nadal nie pogodziłam się z faktem, że jestem rozwódką. Dotknęłam palcem miejsca, w którym kiedyś była obrączka, pomyślałam o Matcie, po czym postanowiłam się skupić. – Przyjechałam w sprawie Clarke’a, Adama Clarke’a.

Mężczyzna z westchnieniem odchylił się na oparcie fotela. Zabębnił palcami w blat.

– Wiem, kim pani jest i jaki bałagan spowodowała pani w Miami kilka miesięcy temu. Po co pani przyjechała? Wiem, że odeszła pani z FBI, więc to nie oni panią przysłali. Zbiera pani materiały do nowej książki? Czytałem jedną z poprzednich i nie znalazłem w niej nic nowatorskiego... tylko podstawy, każdy mógłby coś takiego napisać moim zdaniem.

No cóż.

– Mam kilka pytań – odparłam, nie dając się sprowokować. McMillen najwyraźniej należał do tych, którzy nie wierzyli, że mogą się czegoś nauczyć od kobiet.

Spojrzał na zegarek i westchnął.

– No dobrze. Mam kilka minut, ale proszę pamiętać, że to śledztwo w toku, więc niewiele będę mógł powiedzieć.

– Rozumiem. Wystarczy mi to, co zdołam uzyskać. Przede wszystkim chcę wiedzieć, czy Adam Clarke został oskarżony o zabójstwo Allyson Woodland.

– Zostanie. Wierzmy, że te sprawy są powiązane.

– W jakim sensie?

– Cóż, była jego dziewczyną. Zniknęła dwa dni przed jego pojawieniem się w szkole z AK-47. Wpadł w szal zabijania. Chce być sławny jak inni sprawcy strzelanin w szkołach, jest wściekły na cały świat, może to się łączy. Najpierw zabija swoją dziewczynę, potem już nie ma odwrotu. Powstrzymuje go dopiero przydzielony do szkoły funkcjonariusz Conroy celnym strzałem w klatkę piersiową. Gdyby nie Conroy tam, na miejscu, wszystko skończyłoby się zupełnie inaczej. Powstrzymać złego człowieka z bronią może tylko...

– Dobry człowiek z bronią. Tak, to znane powiedzenie – wtrąciłam. – Potwierdziliście już, że została zamordowana, zanim Adam

Clarke wszedł do szkoły z bronią?

– Nie mamy jeszcze precyzyjnie określonego czasu zgonu, ale jesteśmy przekonani, że tak było. Wstępne oględziny sugerują, że została zamordowana poprzedniej nocy, ale żeby mieć pewność, oczywiście musimy poczekać na raport patologa.

Zapisałam sobie, żeby jak najszybciej skontaktować się z patologiem. To potrwa kilka dni. Gdyby dziewczyna zginęła, zanim Adam poszedł do szkoły, znaczyłoby to, że nie żyje od ponad tygodnia, a wiadomo, że im szybciej po śmierci ciało zostanie przebadane, tym dokładniejsze będą wyniki. Nie dało się określić, jak długo leżała w tym kontenerze, ponieważ opróżniano go raz w tygodniu, a czytałam, że została znaleziona w ten sam dzień, w którym wywożono śmieci. Mogła więc leżeć tam przez cały tydzień w upale, co na pewno przyspieszyłoby proces rozkładu i utrudniłoby dokładne określenie czasu zgonu. W tym wypadku precyzyjne określenie go było kluczowe. Gdyby została zabita po 11.47 1 października, sprawcą nie mógłby być mój brat, który wtedy leżał już na podłodze szkolnej stołówki z raną postrzałową klatki piersiowej. Proste.

– A macie już przyczynę zgonu? – zapytałam.

– Również nie. Nadal czekamy na wyniki sekcji. Powinny być za parę dni, do tygodnia.

– Jakież obrażenia? Siniaki?

– Była nieźle poobijana. Zabawił się z nią, zanim ją zabił, chory bydlak. Zerwał jej wszystkie paznokcie. Do pobicia użył jakiegoś narzędzia, którego jeszcze nie zidentyfikowaliśmy. Wie pani co, mam robotę...

– Już kończę, jeszcze tylko jedno pytanie. – Zajrzałam do notatek, które porobiłam poprzedniego wieczoru, kiedy przyglądałam się sprawie i podsumowywałam, co jak dotąd ma sens, a co nie.



McMillen mlasnął językiem. Sydney czekała w korytarzu. Posłał jej pożądliwe spojrzenie, od którego przeszły mnie ciarki.

– Oczywiście.

– Jedna kwestia nie daje mi spokoju. Przez całą noc się nad nią zastanawiałam i w kółko dochodziłam do jednego wniosku.

– Oczywiście. – Mężczyzna znów mlasnął, po czym odchylił się na oparcie fotela, a czarny but położył na biurku.

– Po jej zniknięciu media opublikowały zapis kilku połączeń z dziewięćset jedenaście, które wykonała Allyson. Według nich dzwoniła z domu porywacza. Zadzwoiła trzy razy i powiedziała dyspozytorowi, że ma kłopoty, wzywała policję. To właśnie mnie niepokoi. Nie wiedziała, gdzie jest, nie znała adresu. Jeśli dobrze rozumiem, Adam Clarke i Allyson Woodland od roku byli parą. Przecież znałaby jego adres.

McMillen wzruszył ramionami.

– Mógł ją dokądś wywieźć, do jakiegoś pustego domu za miastem. Pełno ich na wyspie. Może do letniego domku przy plaży. Powiedziała przecież, że miał na sobie kominiarkę, mogła go nie rozpoznać.

– Ale wywiózł ją tam niebieskim samochodem. Adam ma piętnaście lat, nie ma ani samochodu, ani nawet prawa jazdy.

– Samochód mógł ukraść. Wielu piętnastolatków potrafi prowadzić, nie potrzebują do tego prawka.

Przez chwilę milczałam, po czym podniosłam wzrok na detektywa.

– Nazywała go w tych rozmowach mężczyzną. Kiedy mówiła, kto po nią idzie, nazwała napastnika mężczyzną. Nie chłopakiem.

Wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem piętnastolatek jest mężczyzną, zwłaszcza jeśli postanawia zabić. Wtedy przestaje być dzieckiem. Przynajmniej dla

mnie.

– Nie sądzi pan, że nazywałaby go po imieniu? – zapytałam z niedowierzaniem. To się w ogóle nie trzymało kupy. Doświadczenie podpowiadało mi, że jeśli zbyt wiele spraw wymaga doprecyzowania albo nie ma sensu, ktoś coś przeoczył. – Kiedy padło pytanie, kto po nią idzie – dodałam wzburzona tym, że mój rozmówca wolał ignorować wszystko to, na co zwracałam mu uwagę. – Czy nie powiedziałaby, że to jej chłopak, nie nazwałaby go po imieniu?

McMillen spojrział na zegarek, westchnął i potarł twarz dłońmi.

– Miał kominiarkę.

– Ale przecież poznałaby własnego chłopaka, nie uważa pan? Człowieka można poznać nie tylko po twarzy. Poznałaby go po dłoniach, postawie, oczach.

– Wie pani co, nie mam na to czasu.

Wstałam.

– Zajmę panu jeszcze tylko chwilę. Ostatnie pytanie. Proszę na nie odpowiedzieć i będzie mnie pan miał z głowy. Według zapisów rozmów z dziewięćset jedenaście biuro szeryfa wysłało po nią patrol na adres, który podała dyspozytorowi. Nikt się tam jednak nie pojawił, prawda? Słysząc frustrację i zdenerwowanie dyspozytora, że patrolu jeszcze nie ma, kiedy Allyson dzwoni po raz trzeci. Rozmowa kończy się, bo na linii pojawia się ktoś jeszcze, a Allyson krzyczy w tle. Co się stało?

– To nie pani sprawa.

– Wysłaliście patrol pod zły adres, prawda? Nawaliliście i nie chcecie, żeby opinia publiczna się dowiedziała. Nie wykorzystaliście szansy, by ocalić Allyson, bo posłaliście cholerny patrol pod zły adres. Mam rację? O to chodzi? Dyspozytor źle usłyszał? Czy może policja? Znaleźliście w końcu właściwy dom, ale było już za późno? Namierzyliście telefon, z którego dzwoniła Allyson?

McMillen wstał. Oparł knykcie na biurku, jego nozdrza drżały, zaczął cedzić słowa przez zaciśnięte zęby.

– Nie ma pani prawa przychodzić tutaj i mówić mi, jak mam wykonywać swoją robotę. Nieważne, że była pani w FBI. Robimy tu różne rzeczy po swojemu i tego się trzymamy. Poza tym myśli pani, że nie wiem, kim pani naprawdę jest i dlaczego tu jest? Ten chłopak to pani brat, co nie? Adam Clarke to pani braciszek. Takie słyszę plotki. Zgodziłem się z panią porozmawiać, bo żal mi pani i waszej rodziny, ale to koniec. Proszę opuścić moje biuro, drzwi są za panią. Proszę je za sobą zamknąć. Dziękuję.

## Rozdział 16

E.T. spojrział na rudzielca, który właśnie wszedł do samochodu i odjechał. Sięgnął po nóż i zaczął obierać jabłko, jednocześnie otwierając laptop i przeglądarkę. Znalazł tysiące artykułów na jej temat. Zobaczył tytuły napisanych przez nią książek o seryjnych mordercach, przejrzał artykuły o tym, ilu z nich złapała dzięki swoim wybitnym umiejętnościom profilerkim, kiedy pracowała w FBI. Potem odpalił na YouTube film o jej zasługach dla zdemaskowania organizacji terrorystycznej Żelaznej Pięści, odpowiedzialnej za ataki sarinem w Miami. Przemawiała podczas konferencji prasowej, skromnisa, utrzymywała, że to nie jej zasługa, lecz policji z Miami i FBI.

Potem lektor zdradził, że córka Evy Rae Thomas była jedną z porwanych, wykorzystywanych do ataków dziewcząt, a była profilerka odnalazła ją na własną rękę i ostatecznie wyrwała ze szponów terrorystów, a przy okazji ocaliła setki istnień, powstrzymując zaplanowany atak.

– Prawdziwa bohaterka, co? – mruknął do siebie. – Przyjechała aż tutaj? Dla mnie? Kto by pomyślał?

Oglądał jeszcze chwilę, po czym włączył przewijanie i puścił końcówkę, kiedy to Eva Rae Thomas wraca na łono rodziny. Zapauzował filmik. Przyjrzał się uważnie trójce dzieciaków i facetowi, który podobno był chłopakiem Thomas i policjantem jak ona. Położył palec na głowie mężczyzny i gestem udał, że go wymazuje.

– Ładną masz rodzinę, Evo Rae – powiedział, po czym zamknął laptop i odgryzł kawałek obranego jabłka, siorbał. – Nie ma nic piękniejszego niż rodzina, co? Skoro i tak już tu jesteś, możemy się zabawić, jak myślisz?

Z głębokim westchnieniem włączył kamerkę w telefonie. Uruchomił transmisję na żywo, podwinął rękaw koszuli i przesunął nóż na

skórę. Zamknął oczy i nacisnął, wyrył w skórze sześć liter. Krew kapła mu na spodnie.

Bez bólu nie ma przyjemności. W całym tym bólu jest celowość.

## Rozdział 17

– Stołówka jest jeszcze zamknięta, ale poza tym szkoła wróciła do pracy.

Oprowadzała mnie pani Green, dyrektorka liceum Fernandina Beach. Przyjechałyśmy tu z Sydney prosto z biura szeryfa. Streściłam siostrze, co powiedział śledczy McMillen, i przyznałam się do dręczącego mnie uczucia, że coś tu się nie zgadza.

– Myślisz, że tata może mieć rację? – zapytała w samochodzie.

– Tak daleko bym się nie posunęła – odparłam – ale przyznaję, że coś tu śmierdzi.

Dlatego postanowiłam jechać do szkoły. Musiałam na własne oczy zobaczyć, gdzie Adam pojawił się z bronią i zaczął strzelać. Kiedy czytałam artykuły i oglądałam wiadomości, za każdym razem dopadała mnie ta sama myśl... Nikt nie został zabity ani nawet ranny w tej strzelaninie. Nikogo nie dosięgła nawet jedna kula. Media rozpatrywały to w kategorii cudu, dziękowały za niego policjantowi, który zareagował błyskawicznie. Sytuację tę wykorzystywano teraz w ramach ogólnokrajowej debaty o dostępności broni i sensowności zezwolenia noszenia ukrytej broni na terenach szkół. Dla mnie była to zagadka. Jeśli Adam ostrzelał z karabinu tłum ludzi, jakim cudem nikogo nie drasnęła nawet jedna kula?

Nie miało to żadnego sensu, cud czy nie cud.

– Te drzwi prowadzą do stołówki – powiedziała dyrektorka, niska kobieta w czarnych spodniach i T-shircie z logo szkolnej drużyny. – Zamknęliśmy je po tym wydarzeniu z powodu policyjnego śledztwa. Posiłki serwujemy teraz w pracowni medialnej, dzieci jedzą w sali gimnastycznej albo na dziedzińcu. Wiele osób jeszcze nie wróciło, a my ich nie zmuszamy. Dzieci z taką traumą mają problem, żeby

w ogóle wrócić do szkoły. Trudno się dziwić, bardzo się przestraszyły. Ale lekcje na jakimś etapie trzeba wznowić, prawda? A wielu naszych uczniów znajduje pociechę w powrocie do rutyny i kontrolności swoich dni. W bibliotece dyżurują terapeuci, jeśli ktoś chce się wypłakać albo czuje się obezwładniony strachem.

Okłamałam tę kobietę. Powiedziałam, że jestem agentką FBI, która przygląda się sprawie. Uznałam, że muszę to zrobić, w przeciwnym razie nie wpuszczono by mnie do szkoły i nie pozwolono rozmawiać z uczniami. Wiedziałam, że będę mieć kłopoty, jeśli ktoś się dowie, ale liczyłam, że tak się nie stanie. Dyrektorka wyznała, że bardzo chce, aby to nie była prawda... aby Adam okazał się niewinny.

– To taki kochany chłopak. Wszystkimi się opiekował. Zwłaszcza tymi, którzy tego bardziej potrzebują, z którymi nikt nie chce się zadawać, jak dzieciaki z Aspergerem czy autyzmem, często skazane na samotność. Adam się z nimi przyjaźni. Ma serce do takich spraw. To dlatego to takie wielkie zaskoczenie, że to był akurat on. To szokujące. Pokazuje, że w dzisiejszych czasach to może być każdy.

Nie zgadzałam się z tą tezą. Sprawcy szkolnych strzelanin zwykle pasowali do określonego profilu. I Adam Clarke w ogóle się weń nie wpisywał.

– Wie pani, którzy uczniowie przyjaźnili się z Adamem bliżej? Chciałabym zadać im kilka pytań – powiedziałam.

– Popytam – zadeklarowała. – Ale jak już mówiłam, dzieci są bardzo traumatyzowane i nie chcą o tym rozmawiać.

– Oczywiście. Nikt nie będzie ich do tego zmuszać.

Dyrektorka uśmiechnęła się ze smutnym westchnieniem.

– No dobrze. Zaraz wracam.

Zniknęła na końcu korytarza. Tak jak w większości szkół na Florydzie, i tutaj przejścia pomiędzy salami znajdowały się na zewnątrz,

były tylko zadane, żeby dzieci nie zmokły podczas ulewnych deszczów w okresie od maja do października. Nawet szafki umieszczono na zewnątrz.

Podeszłam do drzwi stołówki i popchnęłam je. Światła były pogaśzone, pachniało smażonym kurczakiem. Włączyłam latarkę, którą zabrałam z samochodu, i weszłam do środka. Sydney szła za mną.

Omiotłam światłem drugi koniec pomieszczenia. Spojrzałam na długie stoły i ławy. Technicy zostawili tu ślady swojej działalności, proszek daktyloskopijny i plakietki z numerami dowodów. Oświetliłam przeciwległą ścianę, tę tuż koło mnie i tę po lewej.

– Hm.

– Co? – zapytała Sydney. – Czego szukamy?

– Według zeznań naocznych świadków Adam wszedł przez te same drzwi co my. Stał w progu przez kilka sekund, zanim drzwi się zamknęły, po czym uniósł karabin i zaczął strzelać, tak?

– Tak, zgadza się.

– Czyli stał dokładnie tu gdzie ty.

– Powiedzmy. Do czego zmierzasz?

– Dzieciaki siedziały tam, na ławkach, jadły, kiedy to się stało.

– Tak?

– Gdyby do nich strzelał, na ścianach zostałyby ślady po kulach, prawda?

Sydney spojrzała tam, gdzie strumień światła z latarki padał na białe ściany.

– Ale ich tam nie ma – powiedziała. – Ani jednej dziury.

– Właśnie. Ściany są nieskazitelne, jakby je właśnie pomalowano.

Zmarszczyła czoło. Większość ludzi wygląda brzydko, kiedy to robi, ale nie Sydney. Zawsze była irytująco miła dla oka, podczas gdy



ja ze swoimi niesfornymi włosami i bladą, piegowatą cerą wyglądałam, jakbym się dopiero co obudziła.

– Co się w takim razie stało, twoim zdaniem?

Oświetliłam pomieszczenie, przesunęłam snop światła po ścianach.

– Nie mam pojęcia. Ale wygląda to tak, jakby nie padł tu ani jeden strzał.

– Naoczni świadkowie utrzymują inaczej.

– To prawda. – Uniosłam latarkę jeszcze wyżej i na prawo, na fragment ściany niemal pod sufitem, jak najdalej od strefy ze stołami.

– O, proszę. Tam są ślady po kulach.

– Dziwne – mruknęła Sydney.

– Bardzo – potaknęłam, po czym zrobiłam zdjęcie.

– Dlaczego strzelał w tamtą stronę? To nie ma sensu.

– Wiem. To zagadka. – Zrobiłam więcej zdjęć i opuściłam telefon. – Jakby usilnie starał się nikogo nie trafić, prawda?

## Rozdział 18

### *Wcześniej*

– Mój mąż? C-co... Nie rozumiem. Skąd ten pomysł?

Marlene spojrzała na siedzących przed nią mężczyzn. Jej serce zerwało się do galopu, kiedy uświadomiła sobie powagę sytuacji.

To musi być nieporozumienie.

– Czy zauważyła pani u syna jakieś nietypowe zachowania w ostatnim czasie? – zapytał ten po prawej, Rivers.

– Nietypowe w jakim sensie? On ma siedem lat. Jego zachowanie bezustannie się zmienia.

– Na przykład w szkole.

Marlene przygryzła wargę.

– Wiem, że przysporzył trochę kłopotów, ale nie sądzę, by...

– Jakich kłopotów?

Wypuściła powietrze z płuc, już ją to męczyło.

– Odebrałam w tym tygodniu dwa telefony od nauczycielki w sprawie jego zachowania – przyznała – ale to nie było nic...

– Co powiedziała?

– Poprosiła mnie o spotkanie.

– Pojechała pani?

– Oczywiście. Nie zignorowałabym takiej prośby. Żadna matka by tego nie zrobiła.

– Niektóre jednak robią – wtrącił ten po lewej, Waltman.

– Ale ja nie. Pojechałam do szkoły, spotkałam się z nauczycielką, i tyle.

– O czym rozmawialiście?

– Powiedziała, że syn nakrzyczał na nią podczas lekcji. Zadała mu pracę na temat Henry’ego Flaglera czy coś w tym rodzaju, na co odparł, że tego nie zrobi, a potem bez słowa wyszedł z sali. Nic wielkiego.

– Podobno obrzucił inwektywami nauczycielkę i inne osoby dorosłe, które próbowały nakłonić go do powrotu na lekcję. Był agresywny, bali się go.

– Cóż, nie mam pojęcia dlaczego. Jack to kochane dziecko.

– Jedna z nauczycielek chciała porozmawiać z panią na osobności, prawda? – zapytał Rivers. Zatrzymał na niej oczy wąsko osadzone w okrągłej twarzy. Marlene odczuwała rosnącą niechęć wobec obu mężczyzn. Czowała się jak w potrzasku.

– Poprosiła panią o rozmowę, kiedy kilka dni temu odbierała pani syna ze szkoły, tak?

Marlene westchnęła. O co im chodziło? Że syn poprzeklinał trochę w szkole? Nie była to żadna zbrodnia.

– Tak, powiedziała, że syn okazał jej brak szacunku podczas lekcji muzyki, używał brzydkiego języka, że jego zachowanie musi się zmienić, jeśli chciałby dalej uczestniczyć w jej zajęciach. Odparłam, że pracujemy nad tym z jego wychowawczynią, zajmujemy się sprawą.

– Ale dodała coś jeszcze, nieprawdaż?

– Jeśli to wszystko już wiecie, to po co mam to powtarzać? – Marlene podniosła głos. – Wszystko jest w papierach, tak? Rozmawialiście już z nauczycielkami, więc po co ja tu jestem?

– Chcemy to usłyszeć także od pani – odparł Waltman. – Proszę kontynuować. Co jeszcze powiedziała nauczycielka?

Marlene znów westchnęła i na moment zamknęła oczy. Jej dłonie zwilgotniały, wytarła je więc w nogawki dżinsów. Cały czas myślała

o kurczaku i o tym, czy się zepsuje, leżąc na wierzchu, czy może pies go zje. Czym nakarmi rodzinę, jeśli nie będzie miała kurczaka?

Otworzyła oczy i spojrzała na mężczyzn.

– Powiedziała, że kiedy rozmawiała z Jackiem, kiedy próbowała porozmawiać z nim o jego zachowaniu, rozplakał się.

– I co jeszcze?

– Powiedział, że się boi, bo będzie miał z tego powodu kłopoty w domu.

– Co dokładnie powiedział? – zapytał Rivers.

– Powiedział... „Tata pewnie mnie za to zbije”.

## Rozdział 19

Z Lauren i Chrisem spotkałam się w pracowni medialnej, dokąd przyprowadziła ich dyrektorka. Sydney odesłałam do samochodu, żeby nikt jej nie rozpoznał. Miała okulary przeciwsłoneczne i czarną perukę, ale nie byłam pewna, czy dzieciaki da się zwieść równie łatwo jak dyrektorkę.

Lauren była wysoka i chuda, miała brązowe włosy i zielone oczy. Ewidentnie zdenerwowana, usiadła i zaczęła się rozglądać. Chris był drobny, chodził o kulach. Uśmiechnął się do mnie uprzejmie, po czym wyjaśnił, że cierpi na chorobę dziedziczną, tak zwaną skórę wiotką, i że nie przeszkadza mu moje uważne spojrzenie, przywykł do takiego zainteresowania. Wiedział, że wygląda osobliwie.

– Adam tego nie dostrzegał. Widział mnie takiego, jaki jestem w środku, bez tych głupich patyków – dodał, kiedy podszedł do mnie, opierając się na kulach. – Nawet z tego żartował, mówił, że pewnie udaję, że wcale ich nie potrzebuję, ale nie chce mi się chodzić samodzielnie, bo jestem zbyt leniwy. Nigdy nie traktował mnie jak cała reszta, jak kogoś kruchego, kto może się w każdej chwili pęknąć.

Usiedliśmy na kanapie w kąciku czytelnicy.

– Opowiedzcie mi o Adamie – poprosiłam i spojrzałam na Chrisa. – Byliście ze sobą blisko?

– Był... jest moim najlepszym przyjacielem. Muszę sobie cały czas przypominać, że nie umarł, ale nawet jeśli się obudzi, pewnie nigdy się nie zobaczymy. – Urwał i westchnął. Widać było, że trudno mu o tym mówić.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że trzeba było go powstrzymać – dodała Lauren. – Że ja mogłam go jakoś powstrzymać.

- Dlaczego tak sądzisz? - zapytałam.

- Ja też mam takie wrażenie - wtrącił Chris. - Że mogłem to przewidzieć, zauważyć, co się z nim dzieje. I może zdołałbym coś zrobić...

- Widziałam karabin w jego dłoni - dodała Lauren. - Kiedy po niego sięgnął. Mogłam coś powiedzieć. Mogłam go powstrzymać. Może nawet kiedy go spotkałam tego ranka, mogłam powiedzieć coś, żeby poczuł się lepiej. W kółko o tym myślę, nie mogę przestać.

- A teraz mówią, że zabił Allyson - powiedział Chris. - No to może po prostu mu odbiło? Porwał ją, a potem zabił. Coś się z nim stało.

- Dlaczego tego nie widzieliśmy? - Do oczu Lauren napłynęły łzy. - Przyjaźniliśmy się. Byliśmy jego najbliższymi przyjaciółmi.

- Nie możecie sobie tego robić - powiedziałam. - Nie możecie obwiniać siebie. To Adam dokonał wyboru, że przyniesie karabin do szkoły. Nie powstrzymałoby go nic, co byście zrobili, nic, co byście powiedzieli. Ale czy wyczuliście jakąś zmianę w jego zachowaniu w dniach przed strzelaniną? Czy w jego życiu wydarzyło się coś, co mogło spowodować, że się załamał?

Chris i Lauren spojrzeli na siebie, po czym niemal równocześnie pokręcili przecząco głowami.

- Adam był... szczęśliwy - zapewnił mnie Chris. - Zawsze fajnie się z nim bawiło. Chodziliśmy na ryby, wyglupialiśmy się razem. Zna faceta, który ma łódkę, pożyczaliśmy ją od czasu do czasu. To są moje ulubione wspomnienia o nim. Nie zauważyłem w nim żadnej zmiany, a ty, Lauren?

Dziewczyna spojrzała na mnie z namysłem.

- Nie, nic mi nie przychodzi do głowy.

- Kiedy ostatnio z nim rozmawialiście?

- Widziałam go w korytarzu rano przed strzelaniną, ale nie rozmawialiśmy. Wydawał się zamyślony, a ja byłam już spóźniona na

lekcję. Musiałam więc rozmawiać z nim w ten dzień, kiedy Allyson zniknęła. To była sobota. Napisał do mnie z pytaniem, czy chciałabym jechać na plażę z nim i z Allyson. Odpisałam, że muszę zrobić projekt na francuski i nie mam czasu, a on, że będą tam cały dzień i może nawet wieczorem rozpalą ognisko. O ile wiem, zrobiła się z tego impreza z całą masą dzieciaków z naszej szkoły.

– Byliście na tej imprezie?

Pokręcili głowami. Chris wskazał na swoje kule.

– Nie najlepiej sobie radzą na piasku. Jeśli nikt się nie zgłosi do noszenia mnie, trzymam się z dala od plaż.

– Oczywiście.

– Ja nie miałam czasu – odparła Lauren – ale z tego co wiem, Allyson nie wróciła do domu. Inne dzieciaki powiedziały mi, że miała wracać z Adamem. Policja pojechała potem do niego, ale go nie było. Wrócił nad ranem, policja przesłuchała go w sprawie jej zaginięcia, ale go nie aresztowano. O ile wiem, mówił, że podrzucił Allyson do domu, po czym wrócił pieszo do siebie. Nie mieszka jednak aż tak daleko, wszyscy zaczęli się zastanawiać, co robił tyle godzin. Nikt by jednak nie pomyślał, że Adam mógł skrzywdzić Allyson. Z drugiej strony nie przyszło nam też do głowy, że przyjdzie do szkoły nas pozabijać.

Lauren urwała, aby nad sobą zapanować. Po jej policzkach płynęły łzy, bawiła się swoją szkolną legitymacją.

– Teraz mamy je nosić w widocznym miejscu – dodała. – Żeby nikt z zewnątrz nie mógł wejść do szkoły. Nikt się nawet nie zbliża do stołówki. Wystarczy, że na ulicy jakiemuś samochodowi strzeli z gaźnika i wszyscy w klasie podskakują na krzesłach. Ciągłe się rozglądamy, obserwujemy się z podejrzliwością, jesteśmy gotowi donieść o każdej najdrobniejszej zmianie w czyimś zachowaniu. Mamy gorącą linię, przez którą możemy to anonimowo zgłaszać. To piekło.

A ja nadal nie potrafię zrozumieć, jakim cudem ktoś taki jak Adam mógł zrobić coś takiego. Myślałam, że go znam. Znamy się od przedszkola. Jak to się stało?

Chris chwycił ją za rękę.

– Oboje myśleliśmy, że go znamy, ale się myliliśmy.

– Nie rozumiem. Po prostu nie rozumiem – powtórzyła Lauren. Łzy kapały na potargane czarne dżinsy. Otarła oczy grzbietem dłoni.

– Czy miał myśli samobójcze? – zapytałam. – W tygodniach poprzedzających strzelaninę.

Lauren pokręciła głową.

– Nie. Nigdy nie mówił, że chce się zabić. Zawsze był taki wesoły. Zawsze pilnował, żebyśmy też byli weselsi, wечно się wygłupiał.

– Często to ludzie z depresją wydają się najszcześliwsi – zauważył Chris.

– Ale on kochał Allyson. To niemożliwe, by ją zabił. Nie rozumiem.

– Nikt nie rozumie. Przecież on nawet nie lubił broni. Nienawidził broni, pojęcia nie mam, skąd wziął AK-47. – Chris spojrzał mi w oczy. Wydawał się skonsternowany, sfrustrowany. Wyczułam, że on również w duchu powątpiewa w winę Adama. Nie radził sobie z tym, bo zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że to niedorzeczne. Widział Adama z bronią, słyszał strzały i czuł strach.

– Opowiedz mi o tym poranku w stołówce – zwróciłam się do Lauren.

– Jadłam i zastanawiałam się, gdzie on się podziewa – odparła ze szlochem – kiedy nagle drzwi się otworzyły i wszedł do środka. Ucieszyłam się, myślałam, że usiądzie z nami i wtedy to zobaczyłam, zobaczyłam karabin, zaraz potem podniósł go, zamknął oczy i zaczął strzelać.

Aż pochyliłam się do przodu.



– Co zrobił?

– Zaczął strzelać.

– Nie, wcześniej. Powiedziałaś, że zamknął oczy?

Pociągnęła nosem i skinęła głową.

– Tak. To ostatnie, co zapamiętałam. Zaraz potem zaczęłam krzy-  
czeć, bo Adam upadł na podłogę, postrzelony przez funkcjonariusza  
Conroya. Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

– Ale zamknął oczy, zanim zaczął strzelać? – zapytałam. – Jesteś  
tego pewna?

Zastanawiała się przez chwilę, po czym skinęła głową.

– Tak, jestem pewna.

## Rozdział 20

– Zamknął oczy. Wyobrażasz sobie?

Mówiłam z pełnymi ustami. Pojechałyśmy z Sydney do centrum Fernandina Beach i znalazłyśmy knajpkę z widokiem na kanał, w której serwowano burgery rybne.

– Nie brzmi to jak ktoś, kto chciałby zabić całą masę ludzi, prawda? Jeśli chcesz zabijać, musisz patrzeć, gdzie strzelasz. To oczywiste. To brzmi tak, jakby się bał.

– Wyjaśniło się też, dlaczego nikogo nie trafił. Bo nie celował – do-dała Sydney, sięgając po frytkę. Spojrzała na nią i podniosła ją do światła. – Wiesz, że dawniej jadałam naprawdę zdrowo? Dużo warzyw i koktajli, żeby zachować szczupłą sylwetkę i promienną cerę. Odkąd wróciłaś do mojego życia, jem same śmieci, nie wiem, czy kiedykolwiek wezmą mnie jeszcze do filmu... jeśli będę tak wyglądać.

– Och, daj spokój, wyglądasz wspaniale – odparłam i ze śmiechem odgryzłam kęs burgera. – Przyznaj, że ci smakuje.

– Obawiam się, że tak. – Wzięła następną frytkę, i jeszcze jedną. – No to co ty na to wszystko?

– Nie wiem. – Przestałam przeżuwać. – Ale coś mi tu nie pasuje. Adam nie wniósł tej broni do szkoły, aby zabijać, to na pewno.

– Może w ostatniej chwili poczuł żal? Może nie zdołał zrealizować swojego zamiaru?

– To jest jakaś teoria. – Upiłam łyk coli. – Ale jest też kwestia tego, że Adam w ogóle nie pasuje do profilu sprawcy szkolnej strzelaniny. Żadnych myśli samobójczych, obsesji na punkcie broni, problemów ze zdrowiem psychicznym, objawów depresji czy też lękowych. Nie

było żadnego konkretnego kryzysu w poprzedzających strzelaninę tygodniach i miesiącach.

– Nie wiemy, czy kryzysu nie przeżywał jego związek z Allyson – zauważyła Sydney. – Może zerwała z nim w tę noc, kiedy odprowadził ją do domu, i przez to się załamał.

– Być może, rzeczywiście. Ale zazwyczaj zaplanowanie takiej akcji wymaga czasu. Ludzie nie budzą się pewnego ranka z mocnym postanowieniem, że zrobią coś takiego. Wiadomo, że większość sprawców bada sposoby działania innych zamachowców, szuka potwierdzenia swoich motywów. W tym wypadku nie było żadnej fascynacji strzelaninami w szkołach. Przejrzałam jego historię wyszukiwania na komputerze, przejrzałam media społecznościowe. Nic nie wskazuje na obsesję na punkcie strzelanin w szkołach, nie odwiedzał forów, na których dyskutuje się o takich rzeczach. To jest cecha szkolnych strzelanin: często dochodzi do nich seriami. Są zaraźliwe. Sprawcy studiują zachowania poprzedników i na tej podstawie planują swoje czyny. Zazwyczaj robią to w sieci, szukają potwierdzenia racjonalności swojej chęci zabijania. Często mają skłonności samobójcze, dochodzą do wniosku, że życie nie jest już nic warte, że mordowanie innych to dobry sposób, by odejść, a jednocześnie zemścić się na świecie i zyskać sławę, zostać kimś. Często rodzina i znajomi wiedzą o tym kryzysie, zanim pojawi się wola działania. Często słyszy się potem: „Wiedziałem, że coś jest nie tak, wiedziałam, że coś się dzieje, ale nic nie zrobiłam”. Te dzieciaki i ich rodzice mówią, że było to całkowite zaskoczenie. Nadal nie mogą uwierzyć, że Adam to zrobił, nawet jeśli widzieli go z karabinem. Wiesz dlaczego? Bo Adam nie zamierzał nikogo zastrzelić. Wszedł, uniósł broń i zamknął oczy, a potem wycelował pod sufit i czekał, by ktoś go powstrzymał, wiedział, że ktoś go powstrzyma. Ja bym chciała się dowiedzieć, dlaczego to zrobił. Myślę, że nasz brat jest tutaj ofiarą i że

jest to powiązane z zabójstwem Allyson. Tylko nie mam pojęcia, jak to udowodnić.

– Brzmi to jak szaleństwo – oświadczyła moja siostra, dojadła hamburgera i westchnęła z zadowoleniem. Przez wiele lat nie mogła tak jeść i choć zazdrościłam jej urody i cery, sama bym tak nie potrafiła.

– Bo to jest szaleństwo – odparłam. – Ale jest w tym coś więcej, wiem, że jest. I zamierzam dotrzeć do sedna tej sprawy, niezależnie od wszystkiego.

Sydney się uśmiechnęła.

– Jestem fanką dyskusji o szaleństwach, zwłaszcza kiedy dyskutuję z tobą. Możesz na mnie liczyć.

## Rozdział 21

– Już dobrze, słonko, o nic się nie martw. Mamusia jest obok.

E.T. przytulił się do niej i otoczył się jej ramieniem, kiedy położył się obok niej na łóżku. Powinien spać, ale nie mógł zmrużyć oczu. Ręka nadal go bolała w miejscu, gdzie się pociął. Skóra obrzękła wokół ran. Litery zaogniły się, by przypominać mu o tym, o czym nie mógł zapomnieć:

### MIŁOŚĆ

Przesunął palcem po nacięciach, mrużąc do siebie. Fantazjował o Evie Rae Thomas. Z początku przeraziło go nieco jej pojawienie się w mieście, zwłaszcza kiedy się dowiedział, kim jest i że słynie z demaskowania najgroźniejszych morderców w historii kraju. Z drugiej strony pochlebiało mu to.

Czy przyjechała do niego? Po niego?

Im dłużej o tym myślał, tym większą pewność zyskiwał, że dzięki niej wszystko stanie się jeszcze bardziej spektakularne. Jej pościg za nim trafi na nagłówki, tak jak w Miami. Będzie sławny. W końcu stanie się kimś. Będą o nim mówić z podziwem i kręcić głowami ze strachem, jak kiedy mówili o Żelaznej Pięści. Będą się go bać. Będą się trząść na dźwięk jego imienia. Będzie inspirować innych. Będą się uczyć o nim i jego metodach jeszcze długie lata, a potem będą go naśladować. Może powstaną o nim książki, może książkę napisze sama Eva Rae Thomas? Jak te, które znalazł w sieci, gdzie opisała najgorszych seryjnych morderców, tak przerażających, że aż cierpła skóra.

Właśnie tak.

E.T. chciał być jak oni. Równie sławny. Eva Rae Thomas bez wątpienia mogła mu pomóc osiągnąć ten cel.

Tak, jej przyjazd na wyspę mógł mu się przydać. Szczerze mówiąc, sam lepiej by tego nie zaplanował. Będzie jak w tych kreskówkach, gdzie kot ściga mysz, ale nie może jej dopaść. Eva Rae Thomas wymusi na nim bycie najlepszą – albo najgorszą, zależy, jak na to spojrzeć – wersją siebie. Zmusi go, by wspiał się na wyżyny, by podążył tam, dokąd nikt wcześniej podążyc się nie ośmielił.

Dzięki niej przeskoczy do pierwszej ligi.

## Rozdział 22

– Jeśli mam być szczery, to brzmi jak szaleństwo, Evo Rae.

Matt wpatrywał się w ekran komputera. Siedział przy swoim biurku w niemal pustym budynku komendy. Był dopiero w połowie swojego raportu, kiedy wszyscy inni już skończyli pracę.

Otrzymał w nocy wezwanie do pijanego turysty, który postanowił pobić swoją żonę przed restauracją Coconuts on the Beach. Postronne osoby zrobiły zdjęcia w ramach zbierania dowodów i wezwały policję. Służby zjawiły się w tej samej chwili, w której sprawca postanowił uciec, i rzuciły się w pościg. Mężczyzna spędził noc w celi, a Matt z kolegami cały dzień przepytывali świadków i samego sprawcę. Żona wylądowała na kilka dni w szpitalu z powodu obrażeń zewnętrznych i wstrząsu mózgu. Miała siniaki pod oczami i rozbitą wargę. Była wyraźnie poruszona i przerażona, kiedy Matt z nią rozmawiał.

Oczywiście nie był to pierwszy taki przypadek w tym małżeństwie, ale Matt miał nadzieję, że ostatni.

Cieszył się, że zdołali aresztować mężczyznę i doprowadzić do oskarżenia. Jego zdaniem nie było na świecie nic gorszego niż faceci znęcający się nad żonami. To były prawdziwe zakały. Nie, gorzej. Prawdziwe szumowiny.

Był w połowie pisania raportu, kiedy zadzwoniła Eva Rae. Jako że stęsknił się za jej głosem, słuchał uważnie, kiedy opowiadała mu o swoim dniu, o tym, że postanowiła przyjrzeć się sprawie brata i że na tej podstawie zaczęła wierzyć w to, co mówił jej ojciec: że może Adam jest niewinny. Może ta sprawa miała drugie dno.

– Ej, to ty kazałeś mi się temu przyjrzeć – odparła teraz. – Nie mów mi więc, że to szaleństwo. Dobrze wiem, jak to brzmi, ale to

mnie nie ma powstrzyma przed drażnieniem tematu.

– Wiem. Wiem aż za dobrze. Jak zamierzasz do tego podejść?

– Nie mam pojęcia... ale... okej... to nie do końca prawda. Mam pewien pomysł – wyznała, po czym zamilkła.

Wyobraził sobie, że przygryza wargę, jak to miała w zwyczaju, kiedy się nad czymś zastanawiała.

Boże, tęsknię za tobą, Evo Rae. Dlaczego ciągle coś nas rozdziela?

– Oczywiście, że masz.

– Ale to by oznaczało zaangażowanie ciebie – dodała z wahaniem. – Musiałbyś coś dla mnie zrobić. Myślisz, że to możliwe?

Z westchnieniem odchylił się na oparcie krzesła. Czy tylko z tego powodu zadzwoniła? Bo potrzebowała jego pomocy? Od jakiegoś czasu była to dla nich norma, miał wrażenie, że Eva Rae właśnie dla niego jest zbyt zajęta, zbyt zaaferowana jakąś sprawą, by z nim być, by znaleźć dla niego czas. Zawsze był jakiś dzieciak, który czegoś potrzebował, jej matka albo siostra. Do tego obok kręcił się Chad, ojciec jej dzieci, wiecznie wtrącał się w ich rozmowy albo wchodził Mattowi w drogę.

Kiedy znajdą czas, aby pobyć ze sobą jako para?

Ja też cię potrzebuję, Evo Rae.

– Dobra – skapitulował. – Wiesz, że nie potrafię ci odmówić. Co to za pomysł?



## Rozdział 23

Świętowali w hotelowym lobby.

– Udało się. Nie mogę uwierzyć, że się nam udało!

George Reed rzucił się na szyję Liamowi Bellowi, swojemu partnerowi od piętnastu lat. Kiedy go puścił, w oczach miał łzy... szczęścia.

– Możesz w to uwierzyć, stary? W końcu nam się udało. Od kiedy o tym marzymy? Od pięciu lat? Dziesięciu? Kurde, sam już nie pamiętam. A teraz w końcu się udało.

– To naprawdę wspaniałe – potwierdził Liam. – Sam nie mogę w to uwierzyć. Czy to się dzieje naprawdę? Naprawdę to zrobili? Czy tylko śnię?

– Jeśli tak, przyjacielu, to proszę, nie budź mnie. – George wybuchnął śmiechem.

Objął Liama za szyję i spojrzał na kolegów. Wszyscy pracowali w firmie od lat, też walczyli o ziszczenie tego marzenia. I też się teraz uśmiechali, oczy mieli mokre, poklepywali się po plecach.

– To trzeba uczcić szampanem – zdecydował George i zaczął się rozglądać za kelnerem.

Z parteru hotelu Ritz-Carlton rozciągał się wspaniały widok na Atlantyk. Był tam też bar i mnóstwo wnek do siedzenia, w których można było czegoś się napić i coś przekąsić. George czuł, że ręce jeszcze mu się trzęsą. Trzęsły się, odkąd obudził się tego ranka na ósmym piętrze, a pogorszyło się to jeszcze, kiedy sięgnął po długopis, by podpisać umowę sprzedaży firmy, którą budowali z Liamem przez piętnaście ostatnich lat.

Zrobili to. I teraz byli miliarderami.

Już nigdy nie będzie musiał pracować. Mógł kupić dom na Arubie, przenieść się tam, pić, imprezować i spotykać się z pięknymi, kształtnymi kobietami, którym będzie zależało tylko na jego pieniądzach. Mógł sobie kupić wszystko, co chciał, dosłownie wszystko. Sama ta myśl przyprawiała go o zawroty głowy.

Poświęcił dla tej firmy wszystko, wiele stracił po drodze. Po siedmiu latach żona zabrała dzieciaki i odeszła, nie była już w stanie tego znosić. Długich godzin jego pracy, dni, kiedy nawet nie wracał do domu się przespać, imprez, kiedy świętowali jakiś sukces, ponury nastrój, kiedy coś się nie udało. George'a naprawdę nigdy nie było, a nawet kiedy był obecny ciałem, to nie duchem. Duchem przebywał w biurze, wymyślał coraz to nowe sposoby na rozwiązanie tego czy tamtego problemu. Nie brał udziału w życiu codziennym swojej rodziny, nigdy mu ona nie wystarczała.

Odejście żony złamało mu serce. Tyle że wtedy było już za późno. Nie zdołałby tego naprawić, choć składał obietnice, których nie mógł dotrzymać, o czym oboje wiedzieli. Przeżył szok, kiedy spakowała walizki i zawiozła dzieci do matki. Jeszcze wierzył, że jakoś jej to z czasem wynagrodzi, kiedy już będzie po wszystkim, kiedy w końcu mu się uda i zostanie miliarderem. Wtedy wszystko miało się poprawić, wtedy miał znaleźć czas dla niej i dzieci.

Nie mogła jednak czekać tak długo.

– W życiu chodzi o coś więcej niż tylko pieniądze, George – rzuciła mu na pożegnanie.

Westchnął głęboko i poczuł ukłucie w żołądku. Gdyby tylko Emily go teraz widziała... mogłaby z nim świętować jego sukces.

– Sześć butelek waszego najdroższego szampana!

Trzej kelnerzy podbiegli do nich z butelkami i kieliszkami. Wręczyli George'owi jedną z butelek, żeby to on ją otworzył. Kiedy korek odbił się od sufitu, wszyscy krzyknęli z podekscytowania.

– Dwadzieścia cztery miliardy dolarów!

Rozlali szampana, zderzali się kieliszkami, krzyčili z radości i śmiali się. Kiedy opróżnili butelki, kupili sześć kolejnych, a potem jeszcze sześć. Zapłacili kelnerom za odgrozdzenie strefy baru na parterze i imprezowali przez całą noc przy głośnej muzyce, pływając się w pysznych i niebezpiecznie kuszących bąbelkach.

Kiedy zobaczyli, że Liam siedzi w fotelu w kącie ze zwieszoną głową i białą pianą spływającą z ust na garnitur, uznali, że zasnął, że wypił za dużo jak oni wszyscy. Bądź co bądź Liam zawsze miał słabszą głowę niż reszta. Potem jednak ktoś go dotknął, a Liam pochylił się do przodu i zaraz spadł bezwładnie na podłogę. Wtedy zrozumieli, że stało się coś złego. George poczuł, że jego puls przyspieszył gwałtownie, przyprawiając go o zawroty głowy. Wyciągnął rękę, by się czegoś chwycić, fotela, stolika, czegokolwiek, ale się nie udało. On również osunął się na ziemię, jego serce waliło tak szybko, jakby się miało nigdy nie zatrzymać.

Aż nagle stanęło.

## Rozdział 24

### *Wcześniej*

– Naszym zadaniem teraz jest ustalenie, jaką rolę odgrywała pani w znęcaniu się nad dzieckiem. – Rivers odchrząknął.

Ktoś przyniósł do pokoju przesłuchań wodę, Marlene rzuciła się na nią chciwie, jakby chciała wypłukać z siebie ten koszmar.

– Znęcaniu się? Skąd pomysł, że ktoś się nad nim znęcał? Na czym opiera się ten zarzut? Bo mój syn powiedział coś swojej nauczycielce? Powiedział, że tata go zbije? Co z tego? Bruce nigdy by tego nie zrobił. Nie tknął go nigdy palcem. Nie wiem, skąd w ogóle ten pomysł, poza tym że nauczycielka coś usłyszała. Może mój syn żartował, może szukał w ten sposób uwagi. Dzieci tak robią.

– My to osądzimy. Pani ma odpowiadać na nasze pytania, więc do tego proszę się ograniczyć.

Niemożliwe. To nie mogła być prawda. Co miała zrobić? Jak ich przekona, że to nie jest prawda?

Spojrzała Riversowi w oczy. Musiała od teraz uważnie dobierać słowa, wszystko mogło zostać wykorzystane przeciwko niej. Musiała pilnować, by to, co mówi, nie zostało błędnie zinterpretowane. Najwyraźniej ona również była podejrzana. To wszystko brzmiało tak niedorzecznie, że miała ochotę się roześmiać. Tyle że nie było to ani trochę zabawne. Nic w tej sytuacji nie było zabawne. Jak śmieli oskarżać ją i męża o coś takiego? Skąd się to w ogóle wzięło?

– Widziała pani obrażenia? Zauważyła pani jakieś oznaki? Przymykała pani oczy czy brała w tym udział? – zapytał Waltman.

– Brałam udział? – syknęła Marlene. – Co próbuje pan powiedzieć? Nie, zaraz. Jestem dobrą matką. Chcę, by pan wiedział...

– Wszystkie matki tak mówią – przerwał jej Waltman.

Zacisnęła usta. Najwyraźniej jej słowa nie miały znaczenia. Już osądzono, że jest winna.

– Ja jestem dobrą matką – podkreśliła z parsknięciem. – Jestem dobrą matką. A Bruce jest dobrym ojcem, który nie tknąłby syna palcem. Możecie zapytać naszych znajomych. Zeznają, że jesteśmy najbardziej oddanymi rodzicami w okolicy. Nikt nie robi dla swoich dzieci więcej niż my.

– Dobrze. Jeśli jest pani taką dobrą matką, na pewno zauważyła pani siniaki. – Rivers zaczął przekładać papiery. Wyciągnął jedną kartkę, po czym spojrzał na Marlene zza okularów i uniósł obie brwi.

– Jakie siniaki? – zapytała skonsternowana.

Nagle sobie przypomniała. Były siniaki jesienią, ale to nie tak, jak oni myślą. Nagle poczuła ulgę. O to im chodzi? W końcu pojęła, co się stało. To wszystko było zwykłym nieporozumieniem.

– Te na jego plecach? Tak, pamiętam. Poobijał się od chodzenia po drzewach na podwórku. Rośnie tam wysoka magnolia, po której lubi łązić i tak, spadł z niej jesienią, nabił sobie paskudnego sińca na plecach. Dwa razy mu się to zdarzyło i tak, miewa wtedy siniaki. W ogóle łatwo mu się robią siniaki. Wiem, że brzmi to jak głupia wymówka, ale w jego wypadku tak jest.

Rivers położył przed nią kartkę. Było to zbliżenie rozlanego fioletoowego sińca.

– Takie jak te? – zapytał, po czym podsunął jej inne zdjęcie. – Albo te?

Marlene wpatrywała się w odbitki, serce waliło jej w piersi.

– Skąd je macie? Wiem, jak to wygląda, ale mówię wam, że to od zabawy w ogrodzie. Ten nabił sobie na plecach, tak jak powiedziałam. Spadł z drzewa, dobrze to pamiętam.

– Widziała pani, jak spadał? – zapytał Waltman.

– Słucham?

– Czy widziała pani, jak spadał z drzewa?

Cała krew odpłynęła z jej twarzy.

– Z-znaczy... N-nie. Byłam w kuchni, kiedy to się stało. On bawił się na podwórku.

– A gdzie był wtedy jego tata? – dopytywał Rivers. – Kiedy to się stało?

– N-nie wiem... Pewnie pracował w ogrodzie.

Rivers otaksował ją poważnym spojrzeniem, po czym zapisał coś w notesie. Marlene poczuła, że brakuje jej powietrza.

– Co pan tam zapisuje? Proszę nie zakładać, że skoro był tam w tym samym czasie, to... No nie, proszę, to paradne.

Waltman wskazał palcem drugie zdjęcie, ignorując protesty Marlene.

– A to? Jakim cudem tak sobie obił udo?

Westchnęła.

– To od roweru, jestem niemal pewna. Tak, już pamiętam. Spadł z roweru.

– Widziała to pani?

Spojrzała na niego, wargi jej drżały. Szukała słów, zastanawiała się, co powiedzieć, aby zmienili zdanie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Przecież nie mogła ich okłamać. A powiedzenie prawdy tylko pogorszyłoby sprawę. Wiedziała, jak to wygląda. Wiedziała, co sobie myślą. Miała wrażenie, że ilekroć otwiera usta, tylko pogarsza sprawę.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – naciskał Rivers. – Czy widziała pani, jak syn spadł z roweru?

Z rozpaczą pokręciła głową.

– Nie. Nie, nie widziałam. Nie widziałam, jak spada z drzewa, nie widziałam, jak spada z roweru, ponieważ zazwyczaj nie ma mnie przy nim, kiedy się bawi. Gotuję, sprzątam... Trzeba zrobić pranie...

– Ale jest przy nim pani mąż, dobrze rozumiem? – zapytał Waltman. – To on był z Jackiem, kiedy pojawił się ten siniec.

– T-tak... Tak, zazwyczaj to on pilnuje Jacka, kiedy ten bawi się przed domem. Pracuje w ogrodzie albo budują coś razem, kiedy ja zajmuję się innymi sprawami.

– Jak często pani zdaniem Jack wraca do domu posiniaczony po zabawie z ojcem? – zapytał Rivers.

Marlene szeroko otworzyła oczy. Jak w ogóle odpowiedzieć na takie pytanie?

– N-nie wiem. To chłopaki, zdarza im się poszaleć.

– Czyli odpowiedź brzmi: często? – domyślił się Rivers.

– Ch-chyba tak.

Zwiesiła ramiona, kiedy Rivers znów zaczął pisać w notesie. Czowała ucisk w żołądku, łzy cisnęły się jej do oczu, ale wiedziała, że w niczym jej nie pomogą. Utknęła tutaj, nie mogła zrobić nic, nic powiedzieć, aby wyjaśnić im, że nie są złymi rodzicami. Nie byli takimi rodzicami, a jej mąż na pewno nie był takim człowiekiem.

Na pewno, prawda?

## Rozdział 25

– Postanowiłam pomóc. Nie tobie, Adamowi. Myślę, że miałeś rację, kiedy mówiłeś, że Adam nikogo by nie skrzywdził.

Wpatrywałam się w Davida, który leżał na kanapie w domu babci. Oczy miał czerwone, pewnie płakał. Podniósł się powoli.

– Nie robię tego dla ciebie – podkreśliłam, żeby do niego dotarło. – Chcę, by to było jasne.

Przełknął ślinę i pokiwał głową. Zerknął na mnie nerwowo i odezwał się niemal szeptem:

– Dziękuję.

– Chcę też, byś wiedział, że tym samym dużo ryzykuję. Mogę się wpakować w poważne kłopoty za to, co dziś zrobiłam.

Przygryzłam wargę, próbując powstrzymać gniew, nie okazywać go. Na sam widok ojca miałam ochotę krzyknąć.

Czy on miał w ogóle pojęcie, ile szkód narobił, jak bardzo zranił mnie swoim postępkami? Czy w ogóle zdawał sobie z tego sprawę?

– Rozumiem. Dziękuję ci, skarbie.

Pokręciłam głową.

– O nie. Nie masz prawa tak się do mnie zwracać.

Pokręcił głową.

– Przepraszam. Ciągle to robię. Bardzo przepraszam.

Przełknęłam ślinę, by pozbyć się ucisku w gardle.

– Dobrze. – Już miałam wyjść z pokoju, kiedy mnie zatrzymał.

– Jak się czujesz?

Okręciłam się na pięcie i spojrzałam na niego, zacisnęłam obie dłonie w pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę.



– Nie masz prawa zadawać mi takich pytań, rozumiesz? Porzuciłeś mnie, kiedy byłem dzieckiem, odebrałeś mi siostrę. Nie masz prawa teraz udawać ojca, czy to jasne? – syknęłam, czując, że krew się we mnie gotuje.

– Jestem twoim ojcem – odparł.

Miałam wrażenie, że stoję tu z własnym dzieckiem, które pyskuje albo źle się zachowuje. Wzbierał we mnie ten sam rodzaj gniewu.

Ale nie tylko.

– Nie jesteś. Nigdy nie będziesz. Odszedłeś, pamiętasz? Zostawiłeś mnie. Nie próbowałeś nawet się ze mną skontaktować.

– Tak powiedziała ci mama? – zapytał.

Walczyłam ze łzami. Nie zamierzałam dać mu satysfakcji zobaczenia moich łez, powstrzymałam je więc, zebrawszy do tego wszystkie siły.

– Bo to nieprawda – kontynuował. – Pisałem do ciebie. Na początku pisałem raz w miesiącu, ale kiedy nie było odpowiedzi, zacząłem pisać rzadziej, aż pisałem tylko z okazji twoich urodzin. Zgaduję, że nigdy nie przekazała ci moich listów. Tak właśnie podejrzewałem.

Wpatrywałam się w niego, krew jeszcze we mnie wrzała, ale trochę się uspokoiłam. Władzę nade mną przejęło zagubienie. Czyżby matka naprawdę ukrywała przede mną listy od niego? Byłoby to w jej stylu, ale...

– To niczego nie zmienia – oświadczyłam. – Nie zmienia tego, że wróciłeś tu piętnaście lat temu i nawet nie próbowałeś mnie odnaleźć.

Pokręcił głową, pociągając nosem.

– Po powrocie do Stanów szukałem cię, znalazłem w Waszyngtonie. Uważnie śledziłem twoją karierę, powtarzałem sobie, że powinienem odnowić kontakt, ale się bałem. Wiedziałem, że matka na-

stawiała cię przeciwko mnie, tak jak ja nastawiłem Sydney przeciwko niej, bo nie chciałem, by do niej wróciła. Zmieniłem jej nazwisko, dałem jej całkiem nowe życie w Londynie, byłem pewien, że zapomni o matce i siostrze, ale nigdy nie zapomniała. A kiedy zaczęła mówić o powrocie już jako dorosła, kiedy się wyprowadziła i zaczęła rozwijać własną karierę, nie powiedziałem jej, gdzie znaleźć ciebie i matkę. Nie jestem z tego dumny, nie był to dobry ruch z mojej strony, ale się bałem. Bałem się, że ją stracę, i ostatecznie tak się właśnie stało. Teraz wiem, że to był błąd.

To mnie przerosło. Z trudem oddychałam. Kręciło mi się w głowie, musiałam oprzeć się o kanapę, żeby się nie przewrócić.

– Dobrze się czujesz? – zapytał i wstał.

Powstrzymałam go gestem.

– Nie zbliżaj się do mnie, słyszysz? Nie waż się mnie tknąć. Niczego od ciebie nie chcę. Doskonale radziłam sobie do tej pory bez ciebie. To się nie zmieni, nieważne, ile wymówek usłyszę. Już za późno, Davidzie. Ten statek odpłynął.

Po tych słowach odwróciłam się i wypadłam z pokoju jak burza. Wybiegłam na werandę, stałam na niej kilka sekund, próbując złapać oddech, kiedy nagle przed domem przemknęło dziesięć radiowozów z włączonymi syrenami.

## Rozdział 26

E.T. wpatrywał się w trzy ciała ułożone na barowej kanapie. Wokół roilo się od umundurowanych funkcjonariuszy o poważnych minach, a on filmował to wszystko komórką z ukrycia, niezauważony.

Dla swoich fanów. Dla oddanych fanów.

Część jeszcze żyła, kiedy przyjechały karetki, by zabrać ich do szpitala, inni leżeli na podłodze. Policyjny fotograf robił zdjęcia i filmował miejsce przestępstwa i ciała, jeden z funkcjonariuszy zbierał zeznania świadków.

Trzy trupy to całkiem niezły wynik, ale miał nadzieję, że grono jeszcze się powiększy. Może umrą w karetce albo w szpitalu. Jeśli E.T. miał dorównać byłym celom Evy Rae Thomas lub też innym wielkim nazwiskom z historii, musiał popracować nad wynikami.

Ted Bundy zabił trzydzieści kobiet... do tyłu się przyznał. Mogło ich być więcej. Najbardziej skuteczny współczesny seryjny zabójca Harold Shipman zabił dwieście osiemnaście osób, o tym wiadomo. Zakłada się, że ofiar mogło być nawet dwieście pięćdziesiąt.

O takich liczbach mógł tylko pomarzyć, co nie oznaczało jednak, że nie będzie próbować. Chciał być najsłynniejszy. Chciał być najlepszy. Dopiero się rozkręcał.

Wymknął się z sali i znalazł łazienkę. Zamknął za sobą drzwi i przejrzał się w lustrze. Z podekscytowania oblał się potem. Obwisła skóra pod jego brodą zakolysała się, kiedy ochlapał twarz wodą – to przypomniało mu, że jego czas jest ograniczony.

Sięgnął do kieszeni po scyzoryk i otworzył go. Uruchomił kamerkę w telefonie, podwinął rękaw i zaczął ciąć. Krew ze skóry kapłała do umywalki, kiedy litery nabierały kształtu.

RADOŚĆ

## Rozdział 27

– Co się dzieje?

Sydney wyszła z pokoju, który zajmowałyśmy. Przez całą wieczór czytała. Spotkała się ze mną na werandzie w wilgotną, gorącą noc. Patrzyłam w stronę, w którą podążały wozy strażackie, karetki i radiowozy. Widziałam światła w oddali, rzucały na palmy czerwono-niebieską lunę.

– Nie wiem – odparłam – ale biorąc pod uwagę liczbę radiowozów, nic dobrego.

– To chyba coś przy plaży, tam, gdzie te wysokie apartamentowce i hotele. Chcesz sprawdzić?

Nie musiała dwa razy pytać. Wsiadłyśmy do minivana i pojechałyśmy w kierunku plaży długą drogą, przy której rosły porośnięte oplątwą drzewa. Mech zwisał z gałęzi, tworząc nad nami tunel. Za dnia wyglądało to uroczo, w nocy natomiast, kiedy robiło się ciemno, stawało się niepokojące, zwłaszcza kiedy ktoś zmierzał ku powodzi mrugających świateł.

– To chyba Ritz-Carlton – powiedziała Sydney, wskazując palcem wejście do dużego hotelu.

Podjechałam bliżej i zatrzymałam się tuż przed policyjnym kordonem. Zaparkowałam, obie wysiadłyśmy i dołączyłyśmy do tłumu gapiów.

– Co tu się dzieje? – zapytałam parkingowego. Z plakietki na jego koszuli dowiedziałam się, że ma na imię Phil. Był blady i roztrzęsiony.

– W barze na dole dziesięciu facetów świętowało dobiecie jakiegoś dużego targu, kiedy nagle się pochorowali, a potem zaczęli umierać, tu, na miejscu. Podobno jeszcze tam leżą, na podłodze.

– Ojej – jęknęła Sydney.

– Część zabrały karetki – kontynuował Phil. – Widziałem jednego z nich. Był zupełnie nieruchomy. Leżał bezwładnie na noszach, kiedy pędzili z nim do karetki.

– Wiadomo, co się stało? – zapytałam.

Phil pokręcił głową, ogryzając paznokcie.

– A kto to może wiedzieć? Zatrucie pokarmowe?

Spojrzałam na drzwi, w których nagle pojawił się śledczy McMillen. Obok niego szedł mundurowy. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym śledczy się odwrócił.

– McMillen?! – zawołałam i pomachałam na niego.

Przystanął na dźwięk swojego nazwiska, po czym uśmiechnął się do mnie zimno.

– Pani Thomas... Co pani tu robi? Węszy?

Wzruszyłam ramionami.

– Być może. Co się stało?

– Zatrucie pokarmowe.

– Z ofiarami śmiertelnymi? Co to za zatrucie pokarmowe, które zabija natychmiast?

– Wyjątkowo niebezpieczne – odparł. – Muszę lecieć. Trochę jesteśmy zajęci.

– Pan krwawi. – Wskazałam palcem jego rękaw.

Opuścił wzrok.

– Och, to nie ja. Jedna z ofiar z wymiotowała na mnie krwią.

– Jakie są szanse, że ktoś przeżyje?

– Nie wiem, panno Wścibska, nie jestem lekarzem. A teraz proszę wybaczyć, muszę iść. Tak na marginesie, proszę przestać biegać po wyspie, podając się za agentkę FBI, bo już nią pani nie jest. Podobno pani odeszła?

## Rozdział 28

– Radosne świętowanie w hotelu Ritz-Carlton na wyspie Amelia zakończyło się zeszłej nocy tragicznie. Zmarło co najmniej pięć osób, które chciały uczcić tu podpisanie umowy sprzedaży firmy wartej dwadzieścia cztery miliardy dolarów. Nagle wszyscy się pochorowali i zaczęli padać jak muchy. Policja wciąż nie wie, co zabiło pięć osób. Pięć kolejnych osób przebywa w szpitalu w stanie krytycznym. Podejrzewa się zatrucie pokarmowe, jak powiedział mi wcześniej seryf Evans. Dodał też, że sprawa wymaga dalszego śledztwa, zanim cokolwiek będzie wiadomo na pewno. Johnie, oddaję głos do studia.

Wpatrywałam się w telewizor w kuchni babci, która robiła dla mnie jajecznicę na bekonie. Właśnie skończyłam rozmawiać z dziećmi, które jak zwykle kłóciły się o to, kto powinien zająć się królikami. Ostatecznie oświadczyłam, że powinni opracować z ojcem jakiś grafik, a potem go przestrzegać. Miałam już dość tych kłótni, ogłędnie mówiąc. Psu każdy nasz telefoniczny kontakt, a mnie coraz bardziej to doskwierało. Tak rzadko rozmawialiśmy. Tęskniłam za nimi jak szalona.

– Okropna historia – powiedziała Eileen, podając mi talerz. – Wszyscy ci ludzie się pochorowali, bo coś zjedli, tak?

– Może – odparłam bez przekonania, popijając kawę. Mocno zaciśkałam palce na kubku. Sydney brała prysznic na górze. Traciła mnóstwo czasu na przygotowania, a ja musiałam czekać, aż skończy. Nie przywykła do życia w typowym domu i konieczności dzielenia się prysznicem, było to oczywiste. Do tego żyła w przekonaniu, że zawsze musi wyglądać idealnie, nawet jeśli czekało ją tylko śniadanie z rodziną. Powiedziałam jej, że nie musi mieć nieskazitelnego makijażu ani za każdym razem prostować włosów lub też zawijać ich w misterne loki. Sama nigdy tego nie robiłam i moje włosy wy-

glądały dobrze. Były takie... kręcone i proste jednocześnie... co świetnie się sprawdzało w moim przypadku.

Tak przynajmniej myślałam.

Kiedy wrócimy do domu? Tęskniłam za dziećmi i za moją miłością.

David pojechał już do szpitala, Eileen też się tam wybierała. Stan Adama się nie zmieniał. Obrzęk nie ustępował, dlatego dotąd go nie wybudzili. Modliłam się, by mu się poprawiło. Wtedy mógłby nam opowiedzieć, co się naprawdę stało w dzień strzelaniny.

Oczywiście nie mogło to być jednak takie łatwe. Jak zawsze. Przynajmniej nie w moim życiu.

Telefon zawibrował mi w kieszeni, więc odebrałam. Dzwonił Matt. Uśmiechnęłam się, przeszłam do salonu, przytrzymałam aparat przy uchu i usiadłam przy laptopie.

– Marzyłam, że zadzwonisz – oświadczyłam i stuknęłam w klawisze, aby wybudzić komputer.

– Cześć, piękna. Miło słyszeć, że o mnie marzysz.

Wypuściłam powietrze z płuc.

– Marzę o tobie, skarbie, przecież wiesz. I tęsknię za tobą. Tęsknię jak szalona. Chcę rozszyfrować tę dziwną sprawę i wrócić do ciebie. Nie mogę się już doczekać, kiedy cię zobaczę.

Westchnął.

– Ja też tęsknię. Bardzo.

– Masz dla mnie to, o co prosiłam?

– Tak. Sprawdź pocztę. Wszystko już tam jest. Pamiętaj, nikt nie może wiedzieć, że udostępniłem ci te dokumenty, bo też będę mieć kłopoty.

– Jak to: też? Nie mam żadnych kłopotów – odparłam. – Jeszcze nie.

Roześmiał się, ale zabrzmiało to trochę fałszywie. Wiedziałałam, że wróciły do niego wspomnienia z tego straszego lata, kiedy byłam w Miami. To musiało być dla niego koszmarne. Zniknęłam na trzy miesiące, nie dawałam znaku życia. Wiem, że się martwił, nie mogłam tego znieść. Czyżbym znów go na to narażała? Czyżbym nabierała takiego zwyczaju?

– To nie jest powtórka z Miami. Obiecuję, że nie.

– Mam nadzieję – mruknął.

– Tyle że... Cóż, nie mogę tak po prostu odpuścić. Skoro już wiem, że dzieje się coś, czego nikt inny nie widzi.

– To znaczy?

– Hm... Słyszałeś, co się wydarzyło wczoraj w hotelu Ritz-Carlton?

– Piąte przez dziesiąte. Annie poinformowała nas dzisiaj rano. Mamy być wyczuleni na podobne objawy i reagować błyskawicznie, gdybyśmy o czymś takim usłyszeli. Podobno to było zatrucie pokarmowe?

– Tak mówią, ale nie jestem pewna. Coś mi tu nie pasuje. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Ale co?

– Zazwyczaj na skutek zatrucia pokarmowego źle się czujesz, wymiotujesz i tak dalej. Nie dostajesz ataku serca.

– Jeśli masz słabe serce albo cierpisz na coś innego, to się może zdarzyć.

– Fakt, ale w tym wypadku na miejscu zmarły trzy osoby. Trzy, Matt. To dużo. Dwie kolejne w szpitalu, a ofiar może być jeszcze więcej. To...

– Co? O czym myślisz?

– Dziwny zbieg okoliczności.

– I?



– Wiesz, że nie wierzę w zbiegi okoliczności. Coś tu śmierdzi.

– Ludzie, koniec świata, Eva Rae myśli, że coś tu śmierdzi. – Powiedział to żartobliwym tonem, ale usłyszałam powagę w jego głosie. To nie był tylko żart. Za dużo zmieścił w nim sarkazmu, a Matt rzadko uciekał się do sarkazmu. Trochę mnie to zabolalo.

– Mówię poważnie, Matt. Pięć osób nie umiera od zatrucia pokarmowego. Coś się tu dzieje. Tak samo jak w przypadku zabójstwa Allyson i sprawy mojego brata.

– Myślisz więc, że ktoś ich zamordował? Tych pięciu mężczyzn w hotelu? – Jego ton wskazywał, że nigdy nie słyszał nic równie niedorzecznego. Nie byłam przyzwyczajona do tego, by tak się do mnie odnosił. Czy o coś się na mnie pogniewał?

Być może, ale nie miałam teraz na to czasu.

– Wiesz co, dzięki za mail. Zaraz go przeczytam i później pogadamy, dobrze?

Rozłączyłam się, zanim zdołał zaprotestować. Nie miałam ochoty dłużej z nim rozmawiać. Bałam się, że powiem czegoś, czego pożałuję. Miałam już dość tego, że bezustannie ranię najbliższe mi osoby. Odnosiłam wrażenie, że ostatnio nie robię nic innego.

## Rozdział 29

– Jesteś debilem, Matt!

Uderzył dłonią w biurko w przypiływie frustracji, po czym ścisnął grzbiet nosa i zamknął oczy.

Dlaczego tak się zachowywał podczas rozmowy z Evą Rae? W końcu do niego zadzwoniła, chciała porozmawiać, a on ją zranił, bo jej nie uwierzył.

Głupio, Matt. Bardzo głupio.

Nie chodziło nawet o to, że nie uwierzył, po prostu wkurzyły go jej priorytety. Od dwóch dni chodził wściekły, że znów go zostawiła, to było jak powtórka z Miami. Tyle że tym razem do niego zadzwoniła, a nie było jej dopiero kilka dni. Wiedział, że nie potrwa to trzy miesiące jak wtedy, że Eva Rae nie postawi się znów w tak ryzykownej sytuacji.

Mimo to nie zdołał nad sobą zapanować. Martwił się o nią, zastanawiał się, co znowu knuje. Jeśli na Amelii grasował zabójca, to musiał być sprytny, a pogoń za nim na pewno wiązała się z ogromnym ryzykiem.

Nie można jednak przymknąć oczu i nic nie robić, kiedy podejrzewa się, że popełniono zbrodnię. Tak myśli Eva Rae, ty przecież też, pamiętasz?

– Masz gościa.

Podniósł wzrok na sierżanta Masona.

– Słucham?

– W recepcji czeka jakiś koleś. Pyta o ciebie.

– Serio? – Matt wstał i wyszedł z pokoju. Na widok Chada postanowił zawrócić, ale się rozmyślił. A jeśli to coś ważnego? Jeśli chodzi o Evę Rae?

– Chad! Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – Wyciągnął rękę na powitanie.

Chad odwzajemnił uścisk, odrobinę za mocny, kiedy obaj naprężyli mięśnie.

Kurczę, jesteście chodzącym stereotypem. Cud, że jakakolwiek kobieta zdołała nas pokochać.

– Cześć – mruknął Chad.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chciałem cię prosić o pomoc.

– Mnie? O co chodzi?

– Dzieciaki strasznie tęsknią za matką, więc... no cóż... postanowiłem zawieźć je tam na weekend. Na Amelię. Poniedziałek mają wolny, więc uznałem, że zaskoczmy ich matkę wizytą, bo nie zapowiada się, żeby szybko wróciła do domu. Matka Evy Rae też wyjeżdża, więc chciałem zapytać, czy popilnujesz królików.

Matt wpatrywał się w stojącego przed nim mężczyznę z niedowierzaniem.

Popilnujesz królików? Mam pilnować królików, kiedy ty pojedziesz do mojej dziewczyny? Pilnować królików, kiedy ty będziesz robić to, o czym sam marzę?

O nie, nie ma mowy.

– Bardzo chętnie – odparł Matt, drapiąc się w czoło – ale też planowałem, że tam pojadę. Mam kilka dni wolnego, chciałem je spędzić z Evą Rae. Pojeździć razem po wyspie, wiesz, takie rzeczy...

Chad zrobił zdumioną minę.

– O, serio? Nie wiedziałem. Eva Rae nic nie mówiła, kiedy z nią rano rozmawiałem.

– Taa, chciałem jej zrobić niespodziankę. No wiesz, romantyczny gest. Tak więc wybacz, stary. Musisz poszukać kogoś innego do

opieki nad królikami.

Przyjacielsko poklepał Chada po plecach, odwrócił się i odszedł. Przeszył go zwycięski dreszcz. Uczucie triumfu minęło, kiedy uświadomił sobie, że musi jeszcze wybłagać wolny weekend u szefowej.

## Rozdział 30

Poprosiłam Matta, by pomógł mi zdobyć dostęp do raportu Biura Szeryfa Hrabstwa Nassau z dnia, kiedy mój brat wkroczył do liceum Fernandina Beach z karabinem w dłoni.

Otworzyłam mail, nadal czując frustrację po rozmowie z Mattem i walcząc z dręczącym mnie poczuciem winy. Trudno mi znieść kolejną rozłąkę. Nie było to uczciwe ani wobec niego, ani wobec nas jako pary. Z drugiej strony przecież to on powiedział, że powinnam przyjrzeć się tej sprawie, to on zachęcał mnie, bym coś z tym zrobiła, bym pomogła bratu, jeśli zdołam. Dlaczego więc nagle wkurzało go to, że poszłam za jego radą?

Tęskni za tobą, a ty tęsknisz za nim.

W sumie mogłam się wykazać zrozumieniem. Frustrowało mnie to, że wyładował się na mnie. Co miałam zrobić? Nie jechać do brata, kiedy zadzwonił ojciec? Nie słuchać przeczucia, które kazało mi przyjrzeć się tej sprawie bliżej, skoro mnie o to poproszono? Przecież Matt wiedział, że nie mam wyboru, stąd zapewne brała się jego frustracja. Bo nie miał prawa złościć się z tego powodu. Bo to on mnie zachęcał, więc teraz nie mógł powiedzieć, że to był zły pomysł, nawet jeśli czuł, że źle wpływa to na nasz związek.

Dlaczego wszystko musiało się wiecznie tak komplikować?

Westchnęłam i otworzyłam raport. Przeczytałam go pobieżnie, bo część faktów już znałam, uważniej przyjrzałam się zeznaniom naocznych świadków. Zapoznałam się z relacjami Lauren i Chrisa. Serce mi się ścisnęło na myśl o tym, jakie to musiało być dla nich trudne: patrzeć, jak ich najlepszy przyjaciel robi coś tak bardzo złego. Oboje powtarzali, że nie potrafią tego pojąć, w komentarzach zaznaczono, że Lauren wydawała się być w szoku.

– Biedne dzieciaki – mruknęłam, po czym przeniosłam wzrok na zdjęcie brata stojące na półce nad kominkiem. Pozował do niego z naszym tatą Davidem nad jeziorem z wielką rybą, którą złowili. Uśmiechał się szeroko.

– Miałeś wszystko – powiedziałam do fotografii. – Ojca, który cię kochał, dziewczynę, dobre stopnie, przyjaciół, którzy cię ubóstwiali. Tak świetnie sobie radziłeś. Dlaczego miałbyś chcieć to zniszczyć? Co takiego, jakie zło mogło cię do tego popchnąć?

Wróciłam wzrokiem do ekranu i otworzyłam zdjęcia z miejsca przestępstwa. Przewijałam je, dopóki coś nie kazało mi się zatrzymać. Wpatrywałam się w jedno ujęcie przez kilka minut, a w głowie szalała mi goniała myśl.

Czy to było ważne? Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że tak.

– Na co patrzysz?

Do pokoju weszła Sydney. Zrobiła sobie zielony koktajl, który trzymała w dłoni. Włosy miała jeszcze mokre po prysznicu. Spojrzałam na szklankę i rozciągnęłam usta w uśmiechu.

– Wracamy do kieratu, co?

– Możesz się śmiać, ile wlezie. Muszę wrócić do formy, po prostu muszę. Od jutra zaczynam biegać. Mają tu wspaniałe plaże. To mi dobrze robi. Dzwonił mój agent. Ma dla mnie rolę, podobno idealnie bym się nadawała. Minęło sporo czasu od mojego ostatniego filmu, przecież wiesz. Boję się, że staję się dla nich za stara, zaczynają mnie pomijać na rzecz młodszych koleżanek. Młodszych i ładniejszych. Konkurencja jest ogromna. Zwłaszcza jeśli ma się ponad czterdzieści pięć lat, jak ja. Muszę być w lepszej formie niż te młodsze, w przeciwnym razie mnie nie obsadzą. Zdjęcia startują za trzy tygodnie, zostaje więc trochę czasu na powrót do formy. Problem polega na tym, że postać, którą mam grać, jest ode mnie co naj-

mniej dekadę młodsza i... cóż... ja też muszę wyglądać młodziej. Szkoda gadać. – Uniosła szklankę jak do toastu, po czym upiła łyk.

Roześmiałam się i pokręciłam głową.

– Nie wiem, jak ty to znosisz. Ja bym nie mogła. Nie przeżyłabym dwóch dni w tej branży. – Wciągnęłam brzuch, wypowiadając te ostatnie słowa.

– Mogłabyś budować formę ze mną – zaproponowała Sydney. – Byłoby fajnie, miałybyśmy takie siostrzane chwile.

Zerknęłam na nią spod uniesionych brwi.

– A już myślałam, że mnie znasz. Odpowiadając na twoje pierwsze pytanie, przeglądam zdjęcia z dnia strzelaniny.

Sydney znów uniosła szklankę do ust, po czym wykrzywiła wargi.

– Kurczę, nienawidzę tego. Kto lubi jarmuż? Serio!

– Spójrz na to. – Wskazałam palcem ekran. – Musisz to zobaczyć. Mam wrażenie, że to coś ważnego.

– To znaczy co?

– Według raportu Adam ścisnął je w dłoni w chwili, kiedy został postrzelony.

Podeszła bliżej i zmrużyła powieki.

– To Allyson, prawda? Poznaje ją po długich brązowych włosach i oczach.

Potwierdziłam.

– To zdjęcie Allyson, jest na nim chyba nieco młodsza. Widać, że ścisnął je mocno w dłoni. Chcę wiedzieć dlaczego. Dlaczego zabrał to zdjęcie ze sobą do szkoły w dzień strzelaniny.

Sydney wskazała palcem następną fotografię.

– A to co?

– Podobno to jest napis umieszczony na odwrocie zdjęcia.

– Co tam jest napisane? – Postawiła szklankę na blacie. Odniosłam wrażenie, że już tego koktajlu nie dopije.

– PŻMK.

Zmarszczyła czoło.

– Dziwne, prawda? Dlaczego ktoś to napisał na odwrocie? Co to znaczy?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Ale myślę, że musi to być coś ważnego, skoro ścisnął to w dłoni. I chcę rozszyfrować ten skrót. Policja uważa, że miał przy sobie to zdjęcie, bo Allyson z nim zerwała. Według nich to dlatego ją zabił, a potem rozpętał strzelaninę w szkole.

– To dość logiczny wniosek – mruknęła Sydney.

– Właśnie. – Sięgnęłam po telefon. – Idziemy.

– Ale... dokąd?

– Zobaczysz. No chodź.



## Rozdział 31

Podjechałam pod główne wejście i wysiadłam. Sydney występowała jak zwykle incognito: w peruce i okularach przeciwsłonecznych, razem weszliśmy do środka, gdzie czekała już ta sama kobieta, z którą rozmawiałam podczas poprzedniej wizyty.

– Chciałabym się zobaczyć z Lauren Simmons – oświadczyłam.

Kobieta spojrzała na mnie tak, jakbym właśnie przedstawiła się jako przybysz z kosmosu.

– Przykro mi, nie mogę pani...

Za jej plecami pojawiła się dyrektorka.

– O nie, nie ma mowy. Nie ma pani prawa wstępu na teren szkoły. Okłamała nas pani. Wczoraj był tu śledczy McMillen z biura szeryfa. Wszystko nam wyjaśnił. Wiemy już, kim pani jest, i nie możemy pani wpuścić na teren szkoły. Przykro mi, ale musi pani wyjść.

Westchnęłam.

– Chciałabym tylko zadać kilka pytań Lauren. Albo Chrisowi. Jedno pytanie. To zajmie pięć minut.

– Jeśli pani zaraz nie wyjdzie, będziemy musiały wezwać funkcjonariusza, aby panią wyprowadził – odparła Green. – Śledczy McMillen podkreślił, że nie powinniśmy z panią rozmawiać. Mamy do niego dzwonić, gdyby znów się pani pojawiła.

– Och, bez przesady.

Dyrektorka sięgnęła po krótkofalówkę.

– Funkcjonariusz Conroy proszony do gabinetu dyrektora.

Uniosłam obie dłonie w geście kapitulacji.

– Dobrze, dobrze, już wychodzę.

Wróciłyśmy z Sydney do samochodu. Burknęłam głośno z niezadowolaniem, kiedy zamknęłyśmy za sobą drzwi. Uruchomiłam silnik i ruszyłam. Wyjeżdżałam z parkingu, kiedy Sydney zauważyła, że ktoś jedzie na rowerze w kierunku szkoły.

– Zgadnij, kto się dzisiaj spóźnił?

Spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam Lauren.

– Dziękujemy losowi za funkcję drzemki w budzikach.

Zjechałam na pobocze, upewniwszy się, że znajduję się już poza terenem szkoły, wysiadłam z samochodu i podeszłam do Lauren. Na mój widok zahamowała i wyjęła słuchawki z uszu.

– Czy mogę ci zająć pięć minut, Lauren?

Zerknęła na zegarek i pokiwała głową.

– Pewnie. I tak już jestem spóźniona. Zresztą to bez znaczenia. Bardzo nam pobłażają, odkąd... no cóż, wie pani odkąd. Nie ma już nawet kar za spóźnienia. Wszystkim nam trudniej się teraz podnieść z łóżka. Naszym rodzicom jest trudno. Moja mama przepłakała cały ranek, nie mogłam... Nie mogłam jej tak zostawić. Tak się martwi, że coś mi się stanie. Powtarzam jej, że marne szanse, by coś takiego spotkało mnie ponownie, ale ona... no, martwi się. Trudno się dziwić. Sama jestem przerażona. Unikam tłumów, jeśli tylko mogę. Ciągle się za siebie oglądam, patrzę wszystkim na twarze i ręce, zastanawiam się, czy coś zauważę, gdyby ktoś zamierzał wyjąć broń i zacząć strzelać. Już raz spojrzałam w oczy koledze z bronią i teraz mam wrażenie, że zobaczyłabym jakiś znak, że z czymś by się taka osoba zdradziła. Pewnie tylko mi się tak wydaje.

– Przykro mi, że musisz mierzyć się z takimi sprawami, ty i twoja mama. – Przypomniała mi się moja córka Olivia. Ona również wiele przeszła w tym roku, serce mi pękało na samą myśl. Każdy rodzic pragnie chronić swoje dziecko, niezależnie jednak od tego, jak bardzo się stara, nie zdoła zapanować nad wszystkim. Dostałam bole-

sną lekcję. Chciałam zamknąć moje dzieci w złotej klatce, by uchronić je przed całym złem tego świata, ale nie mogłam. Nie wszystko da się kontrolować. Dzieci trzeba posyłać w świat, pozostaje tylko modlić się, by wróciły do domu, by anioł stróż nad nimi czuwał, by pomógł im przetrwać kolejny dzień. – Nie zabiorę ci dużo czasu. Chciałam tylko, byś zerknęła na jedno zdjęcie.

Sięgnęłam po komórkę i wywołałam na ekranie fotografię, którą znaleziono w dłoni Adama.

– To Allyson.

– Tak myślałam – potwierdziłam. – A to? Ten napis na odwrocie? Te litery? PŻMK? Wiesz, co oznaczają?

Pokazałam jej rewers, a ona uśmiechnęła się smutno.

– To skrót takiego ich żartu słownego. Jedno mówiło: powiedz, że mnie kochasz, a drugie odpowiadało: że mnie kochasz. Taka zabawa. Urocze to było.

## Rozdział 32

W szpitalu panowała cisza. Przynajmniej w małej sali, w której się znajdował. E.T. pochylił się nad chłopcem, filmował go komórką. Oddychały za niego maszyny, wydawały z siebie urocze dźwięki, kiedy klatka piersiowa unosiła się i opadała rytmicznie. Wokół dało się wyczuć zapach śmierci. Chłopak i tak był już w zasadzie martwy.

E.T. wyciągnął rękę i pogłaskał go delikatnie po policzku, po czym szepnął do jego ucha:

– Nie będzie bolało, ani trochę.

Sfilmował całe ciało i spojrzał na liczby wyświetlające się w telefonie. Zalogowało się zaledwie pięćdziesiąt osób. Niewiele w porównaniu z nagraniem mężczyzn umierających w hotelu Ritz-Carlton. Tamto miało prawie tysiąc wyświetleń i setki komentarzy. Tego dnia oglądało niecałe sto osób, ale to musiało mu wystarczyć. Nieliczni, którzy się zalogowali, na pewno nie zrobili tego na próżno. Kierowało nimi pragnienie obejrzenia przedstawienia, a on zamierzał im to dać. Poza tym zaraz mogło się pojawić więcej obserwatorów.

Uśmiechnął się szeroko, po czym wyjął rurkę z ust chłopca powoli, tak by cała znalazła się na nagraniu. Wydawała dźwięk niczym pełzający wąż. Znieruchomiał na kilka sekund, spojrzał na śpiącego, który zabulgotał i zaczął łapczywie chwytać powietrze, kiedy jego ciałem wstrząsnęły spazmy.

E.T. poczuł, że puls mu przyspiesza, kiedy to wszystko filmował. Zauważył, że liczba obserwujących gwałtownie rośnie. Jego obserwujący, jego fani zapewne przekazywali sobie, że znów działa. Sto pięćdziesiąt wyświetleń i nagle prawie pięćset. Całkiem niezłe.

Sekundy dłużyły się niczym lata. Kiedy na monitorze pojawiła się płaska linia, włączył się alarm. E.T. filmował dalej, kiedy za

drzwiami rozległy się głosy. Włożył chłopcu rurkę z powrotem do ust, wepchnął ją przemocą do jego gardła najgłębiej, jak się dało w tym ograniczonym czasie, który miał, po czym odwrócił się i wyszedł. Sfilmował jeszcze, jak pielęgniarki wpadają do środka, krzątają się wokół łóżka. Nikt go nie zauważył.

Odwrócił aparat na siebie, uniósł w górę kciuki do swoich widzów, po czym ruszył korytarzem do wyjścia. Nie mógł się już doczekać, kiedy Eva Rae się dowie, kiedy uświadomi sobie, co się właśnie stało.

Chciał, by wiedziała, kto tu sprawuje kontrolę. To była jego wiadomość dla niej.

## Rozdział 33

Wracałam do domu z poczuciem rozczarowania. Nie, to było coś więcej. Zniechęcenie. Naprawdę chciałam, by litery ze zdjęcia znaczyły coś ważnego. Chciałam, by wskazały mi klucz do rozwiązania tej sprawy, jakiś ślad, a one potwierdziły tylko, że młodzi się kochali i że Allyson miała coś wspólnego z powodami, dla których Adam postanowił wkroczyć do szkoły z bronią.

Musiał to jednak być jakiś inny powód niż ten, w który wszyscy wierzyli.

– Może coś innego w tym raporcie zdoła nam pomóc – powiedziała Sydney, kiedy zaparkowałam przed domem babci. Nigdzie nie zauważyłam jej samochodu. Pewnie pojechała odwiedzić Adama, tak jak rano zapowiadała.

Odetchnęłam głęboko z podenerwowaniem. Czyżbym doszukiwała się w tej sprawie czegoś, czego w niej nie było? Czy zbyt rozpaczliwie próbowałam dowieść niewinności brata?

A jeśli tak, to dlaczego?

Bo chciałam udowodnić coś ojcu? A może sobie? O to chodziło? Czy to mnie tak całkowicie zaślepiło? Nie pozwalało mi dostrzec prawdy?

Nie, coś tu jest nie tak. Przecież widziałaś ślady po kulach pod sufitem. Słyszałaś, że zamknął oczy. Nic w tej sytuacji nie składa się na obraz odmalowywany przez policję. Chłopiec nie wpisuje się w profil, ani trochę.

– Być może. – Zgasiałam silnik. – Idę do środka i znów go przejrzę. Musi tam być coś, co mogłoby nam pomóc.

– To ja idę przeczytać scenariusz filmu. Muszę się wczuć w rolę, jeśli mam dobrze wypaść.

Usiadłam przy laptopie i wbiłam wzrok w ekran. Nie byłam pewna, jak się za to zabrać. Czułam, że mój brat jest niewinny i z jakiegoś powodu wszystko to łączyło się w mojej głowie z licznymi ofiarami nocnych wydarzeń w hotelu Ritz-Carlton. Nie wiem, skąd się u mnie wzięła ta obsesyjna myśl, ale raz po raz do niej wracałam. To naprawdę dziwne, by tyle osób zmarło na jednej wyspie niemal w tym samym czasie.

Włączyłam przeglądarkę i zaczęłam czytać, co media piszą o tym incydencie. Było wiele teorii, ale większość najwyraźniej sądziła, że to zatrucie pokarmowe, co mnie wydawało się dziwne. Według dziennikarzy po podpisaniu umowy uczestnicy szampańskiej imprezy zjedli z kontrahentami kolację w ekskluzywnej restauracji Le Clos w centrum Fernandina Beach. Nie wszyscy jedli to samo, kontrahenci się nie pochorowali, inni goście odwiedzający restaurację tego wieczoru też nie.

Dlaczego padło akurat na tę dziesiątkę?

Na górze zadzwonił telefon Sydney. Odebrała. Potem zapadła cisza, która przeciągnęła się do kilku minut, po czym na schodach rozległy się kroki i Sydney wpadła do salonu.

Miała szeroko otwarte oczy, była bardzo blada.

– Musimy jechać do szpitala.

Posłałam jej przerażone spojrzenie.

– Dlaczego? Co się stało?

– Zatrzymanie akcji serca. U Adama.

## Rozdział 34

Spotkałyśmy się z Davidem i Eileen w szpitalnym holu. David wyglądał, jakby miał się zaraz pochorować, Eileen wpatrywała się w przestrzeń z pustką w oczach. Adama nie było w pokoju.

– Co się stało? – zapytałam.

– Doszło do nagłego zatrzymania akcji serca – odparła Eileen. – Zabrali go gdzieś. Od tamtej pory nikt nam nic nie powiedział.

David obgryzał paznokcie. Był na skraju załamania nerwowego, zapragnęłam objąć go ramieniem i pocieszyć. Nagle wydał mi się taki słaby... w ogóle nie przypominał człowieka, na którego byłam taka wściekła. Nie wyglądał jak ktoś, kto może porwać dziecko czy zamienić czyjeś życie w piekło. Nie wyglądał jak potwór, którym go w myślach uczyniłam.

Ale zrobił to, Evo Rae. Nieważne, jak niewinnie wygląda, nieważne, jaki jest smutny, to nie zmienia faktu, że porwał Sydney i wszystko zniszczył. Wszystko.

– Jakim cudem doszło do nagłego zatrzymania akcji serca? – zapytałam.

David wzruszył ramionami.

– Podobno tak się zdarza. Chyba... chyba muszę usiąść.

Stracił równowagę i zatoczył się na mnie. Chwyciłam go w objęcia i nagle znieruchomiałam. Obejmowałam człowieka, którego nie zamierzałam nazywać tatą, człowieka, którego darzyłam pogardą. Nagle jednak przestałam się na niego gniewać.

– Pomóż mi, Syd – poprosiłam, a ona podbiegła i chwyciła go pod drugie ramię. Razem podprowadziłyśmy go do krzesła i posadziłyśmy.



– Przepraszam. – Oczy wypełniły mu się łzami. – Pewnie masz mnie za idiotę. Nie potrafię nawet ustać na nogach... To... – Spojrzał mi prosto w oczy, a mnie ścisnęło w sercu. – Nie mogę stracić również jego.

Nie wciskaj mi kitu. To ty odszedłeś.

– Adam był moją drugą szansą, wiesz? Szansą, by tym razem zrobić to jak należy. Z jakiegoś powodu jego narodziny pomogły mi pogodzić się z tym, że... – Pokręcił głową. – Słyszysz mnie? Mówię jak stary głupiec. Stary i słaby.

Poczułam ucisk w gardle i z trudem przełknęłam ślinę. Sama już nie wiedziałam, jak się czuję. Szalała we mnie burza emocji, nie rozumiałam, co się dzieje. Czyżbym mu współczuła? Czyżbym rozstała się ze swoim gniewem? Czy byłam na to gotowa?

Wyprostowałam się i odpędziłam łzy.

– Poszukam lekarza – zadeklarowałam.

Babcia poklepała mnie po ramieniu i zerknęła na mnie współczująco, a ja uciekłam ze łzami w oczach.

Proszę, niech Adam nie umiera. Proszę, niech mój brat nie umiera, nawet nie miałam okazji go poznać.

Pociągnęłam nosem. Próbowałam zatrzymać lekarza, który biegł w moją stronę, ale nie znalazł dla mnie czasu. To samo zrobiła pielęgniarka, stanęłam więc na końcu korytarza, obezwładniona kotłującymi się we mnie emocjami. Chciało mi się płakać, ale w jednej chwili nie byłam w stanie wycisnąć z siebie łez, by w następnej ze wszystkich sił je powstrzymać. Było to dziwaczne uczucie.

Odwróciłam się do drzwi sali Adama, wbiegłam do środka i zamknęłam je za sobą. Osunęłam się po ścianie na ziemię i w końcu pozwoliłam, by łzy popłynęły.

## Rozdział 35

Siedziałam pod drzwiami, łzy płynęły mi policzkach. Pławiłam się w bezsilności i współczuciu dla samej siebie, kiedy zauważyłam coś na podłodze. Wpatrywałam się w to przez kilka sekund, po czym się podniosłam i podeszłam bliżej. Łóżko wyjechało z pokoju z Adamem, zostało po nim puste miejsce. Na podłodze leżało za to coś, na widok czego prawie stanęło mi serce.

Co się tu dzieje?

Pochyliłam się i podniosłam z zakurzonej podłogi paznokcie. Obejrzałam go pod światło, a mój puls gwałtownie przyspieszył. Paznokieć był długi, pokryty jasnoróżowym lakierem.

Musiał należeć do dziewczyny.

Wpatrywałam się w niego, z trudem oddychając. Pokój wirował wokół mnie, kiedy próbowałam doszukać się w tym wszystkim sensu. Odwróciłam się – z paznokciem na dłoni – i wybiegłam na korytarz. Obok mojej babci stał zastępca szeryfa Corel.

– Dzień dobry – powiedziałam, podchodząc.

Spojrzał na mnie zaskoczony moim nagłym pojawieniem się.

– Gdzie pan był? – zapytałam.

– Słucham?

– Kiedy doszło do zatrzymania akcji serca u Adama, gdzie pan był? – powtórzyłam. – Na swoim posterunku przed drzwiami, strzegł pan wejścia?

– Byłem na końcu korytarza, dlaczego pani pyta? – zapytał, wyraźnie urażony.

– Na końcu korytarza? Czyli każdy mógł wejść do pokoju mojego brata? Nie powinniście go ochraniać?

– Proszę się uspokoić. Nie muszę się pani tłumaczyć, ale moim zadaniem jest zapobiec ucieczce chłopaka, gdyby się obudził.

– Ktoś niedawno groził mu śmiercią w pana obecności, a pan nie sądzi, aby należało go pilnować? Upewnić się, że nikt nie zrealizuje swojej groźby?

– Proszę pani...

– Czy na tej przeklętej wyspie mieszka ktoś kompetentny? – Podniosłam głos.

– Co się tu dzieje? – Podszedł do nas David i odciągnął mnie na bok. – Dlaczego atakujesz zastępcę szeryfa, Evo Rae?

Próbowałam się uspokoić. Łatwiej jednak powiedzieć niż zrobić, zwłaszcza kiedy sterczał nade mną David. Z drugiej strony podeszła Sydney.

– Myślisz, że ktoś próbował zabić Adama?

– Tak – oświadczyłam.

– Myślisz, że to mógł być Ryan, ojciec Allyson? – zapytał David. – Myślisz, że Ryan próbował zabić Adama?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem kto, ale to on mu groził, prawda?

– A dlaczego myślisz, że ktoś próbował zabić Adama? Lekarz powiedział, że doszło do zatrzymania akcji serca, to nie jest niespotykane u pacjentów w śpiączce.

– Wiem, ale... No cóż, znalazłam coś w jego pokoju.

Otworzyłam dłoń i pokazałam im paznokieć. David spojrział na moją rękę, a potem na mnie z troską w oczach.

– Paznokieć? Nie rozumiem... Co to oznacza?

– To dziewczęcy paznokieć.

– I?

– Został wyrwany, patrz.

- N-naprawdę nie rozumiem.

- Moim zdaniem mógł należeć do Allyson. Śledczy z biura szeryfa powiedział mi, że wyrwano jej paznokcie, kiedy jeszcze żyła. Myślę, że zabójca przesłał mi wiadomość, podkładając tutaj ten paznokieć i próbując zabić Adama. Chce, bym wiedziała, że on wie o mojej obecności tutaj, chce mi powiedzieć, że może mnie dopaść wszędzie. Pewnie chce też pozbyć się Adama, bo gdyby ten się obudził, mógłby nam powiedzieć, dlaczego poszedł do szkoły z karabinem. Kiedy Adam się obudzi, zabójca zostanie zdemaskowany.

David przygryzł wargę tak, jak ja to zawsze robiłam, a mnie zachciało się krzyczeć. Nie mogłam znieść tego, jak bardzo jestem do niego podobna, podczas gdy Sydney wyglądała jak nasza matka, pełna wdzięku i pozbawiona wad.

Dlaczego to ja musiałam po nim dziedziczyć?

- No nie wiem, Evo Rae. - Sydney lekko przechyliła głowę. - Brzmi to trochę wariacko, nawet jak na ciebie.

- Być może - przyznałam z wahaniem. - Ale instynkt podpowiada mi, żebym poszła tym tropem. On pokazuje mi, że jest gotowy na gierki. Znam to. Jeśli chce wojny, proszę bardzo.

- Przyszedł lekarz. - Babcia podeszła do nas z poważną miną. - Chce nas poinformować o stanie Adama.

Wszyscy odwróciliśmy się do lekarza, który wziął głęboki oddech, a potem spojrzał na ojca. W przypiływie rozpaczki David wyciągnął rękę i chwycił moją dłoń. Wydałam niemy okrzyk i spojrzałam na nasze splecione palce. Ścisnął je mocno, a ja się nie wyrwałam.

- Zdołaliśmy reanimować pańskiego syna. Najbliższe godziny pokażą, czy jego serce jest dostatecznie silne, by utrzymać go przy życiu.

Wszyscy westchnęliśmy z ulgą.

– To znaczy, że żyje? – zapytał David. Łzy znów napłynęły mu do oczu, ale tym razem były to łzy radości.

Lekarz pokiwał głową z nikłym uśmiechem.

– Tak. Jego stan się nie zmienił, ale serce znów bije.

– Bogu niech będą dzięki. – Eileen przycisnęła dłoń do piersi.

Kiedy lekarz odszedł, uświadomiłam sobie, że nadal trzymamy się z Davidem za ręce. Odsunęłam się, zanim sytuacja stała się niewygodna. W duchu roztrząsałam fakt, że to mnie chwycił za rękę pod wpływem emocji.

Nie Sydney i nie swoją matkę, lecz mnie.

## Rozdział 36

David i Sydney zostali na noc w szpitalu pilnować Adama, a mnie Eileen odwiozła do domu. Chciałam trochę popracować, ona zaś musiała nakarmić kota sąsiadów, którym opiekowała się pod ich nieobecność.

Dziwnie było siedzieć w samochodzie z kobietą, która była moją babcią. Nigdy nie miałam babci, nie wiedziałam więc, co o tym wszystkim myśleć ani czy w ogóle chcę mieć ją w swoim życiu. Na pewno po części chciałam. Eileen wydawała się całkiem fajna z grzywą srebrzystych włosów pod bandaną i w T-shircie z logo Harleya Davidsona. Zastanawiałam się, jaka była za młodu. Musiała być niezłą laską.

– Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę w garażu? – spytała, kiedy zatrzymałyśmy się na czerwonym. – O tym, że mogliśmy cię odszukać, mogliśmy przynajmniej spróbować?

Skubałam krawędź koszuli, wyglądając przez okno.

– No tak...

– Sęk w tym, że próbowaliśmy.

– Słucham?

– Znaczy ja próbowałam. Twój tata poleciał z Sydney do Londynu i przestał się odzywać. Poleciałam tam dwa lata później z wizytą, zwłaszcza żeby zobaczyć się z Syd, ale ostatecznie nie udało mi się zbudować z nią relacji. Z synem też nie miałam przez lata kontaktu, to się zmieniło dopiero, kiedy wrócił znienacka, z własnym synem, i poprosił, bym pomogła mu go wychować. Tuż po wyjeździe Davida do Londynu skontaktowałam się z twoją matką i zapytałam, czy mogę się z tobą zobaczyć. Nie pozwoliła mi. Nie mogę jej winić. Była wściekła na Davida, to rozumiiałe. Na mnie pewnie również, bo go

nie powstrzymałam. Skąd miałam jednak wiedzieć, że porwie dziecko i wywiezie je z kraju? Przecież nie zwierzył mi się ze swoich planów. Gdyby to zrobił, powiedziałabym mu, że postradał rozum. Chodzi mi jednak o to, że... cóż, nie tylko twoja matka poniosła stratę. Ja również. Straciłam syna i obie wnuczki. Pozbawiono mnie szansy, by patrzeć na wasze dorastanie. Byłam taka wściekła na Davida za to, co zrobił, ale na pewnym etapie musiałam mu wybaczyć, wiesz? Nie dlatego, że na to zasługuje, lecz dlatego, że mnie to zżerało od środka. Życie w gniewie i zgorzknieniu to nie życie, gdyby mnie ktoś pytał.

Powoli wypuściłam wstrzymywane powietrze.

– Chcesz powiedzieć, że ja też powinnam mu wybaczyć? O to ci chodzi? Bo w przeciwnym razie będę nieszczęśliwa?

– Ależ skąd! To nie moja sprawa, to sprawa między tobą a nim, skarbie. Nie, ja chcę, żebyś wybaczyła mnie. – Uśmiechnęła się, kiedy wjechałyśmy w naszą ulicę. – Chcę, byś wiedziała, że się starałam. Naprawdę się starałam. Ale przecież znasz swoją matkę. Nie było mowy, żeby ustąpiła. Ostatecznie po prostu przestała ze mną rozmawiać. Kiedy dzwoniłam, odkładała słuchawkę, kiedy do niej pisałam, nie odpisywała... nawet jeśli czytała moje listy. Kiedy wysyłałam ci prezent, odsyłała go bez rozpakowania.

Uśmiechnęłam się. To było bardzo w stylu mojej kochanej matuli.

– Próbuję powiedzieć, że ludzie robią czasami różne głupie rzeczy z powodu desperacji albo na złość, bo myślą, że nie ma innego wyjścia i że potem, cóż, potem może nawet tego żałują, może nie wiedzą, jak się do tego przyznać.

– I znów wracamy do tematu Davida. No tak, chyba masz rację. I może też Adama – wymamrotałam, po czym dodałam: – Ponieważ nie było innego wyjścia.

Eileen wjechała na podjazd i zaparkowała.

– Słucham?

Pokręciłam głową i otworzyłam drzwi.

– Nic, nic. Naszła mnie pewna myśl.

– Aha.

– Kto to czeka na werandzie? – zapytałam, po czym sama sobie odpowiedziałam na widok znajomej twarzy: – A on czego chce?



## **Rozdział 37**

### *Wcześniej*

– Wiem, jak to wygląda.

Marlene przeniosła wzrok z Riversa na Waltmana. Czuła coraz większe zmęczenie, nie była pewna, ile jeszcze znieśie.

– Ale się mylicie. Mój mąż Bruce nigdy nie tknął Jacka palcem. Zapewniam. Jack kłamie, może szuka uwagi. Wiecie, jakie są dzieci. Wygadują różne rzeczy i nie myślą o konsekwencjach. Zapewniam jednak, że to wszystko kłamstwa. Może wytwór wybujałej dziecięcej wyobraźni. Dzieci czasami kłamią. Przecież wiecie.

– Tak? – odparł Rivers. – Kłamią na takie tematy? Na temat przemocy domowej?

– Ależ oczywiście, to się musi zdarzać, prawda? Kłamią przecież o różnych rzeczach.

– No dobrze. – Waltman pochylił się nad blatem i skrzyżował dłonie. – Podsumujmy, co pani syn powiedział pracownikom opieki społecznej podczas kilkugodzinnego wywiadu, a potem zadecyduje pani, czy kłamał.

Marlene odchyliła się na oparcie krzesła, ucisk w gardle coraz bardziej utrudniał jej przełykanie.

Było tego więcej?

– Kiedy jestem niegrzeczny, zamyka mnie w szopie na podwórku – odczytał Rivers z kartki. – Jest tam bardzo gorąco, nie mogę oddychać. Nie dostaję jedzenia ani wody, nawet kiedy jestem bardzo głodny i chce mi się pić.

Marlene zmarszczyła czoło.

– Słucham? Nigdy...

– Bije mnie pięściami albo kopie. Czasami używa narzędzi z szopy i to boli – kontynuował Rivers.

Marlene pokręciła głową. Co tu się dzieje? To wydawało się takie niedorzeczne, jeśli znało się Bruce'a. Bruce był czuły i troskliwy. Kochał syna nade wszystko. Uwielbiał spędzać z nim czas i puszczać la-tawce.

„Ale jeden raz go uderzył, pamiętasz? Kiedy Jack pyskował. Ale to dlatego, że miał zły dzień w pracy. Obiecał, że to się nigdy nie powtórzy”.

– Bije mnie po wrażliwych częściach ciała, kiedy nie jestem dość twardy – czytał dalej Rivers. – Na przykład kiedy się rozplacę, bo spadnę z roweru. Raz uderzył mnie w brzuch, kiedy się rozplaka-łem, bo podrapałem sobie kolano. Ale najczęściej bije mnie po plecach. Kopie mnie, jeśli upadnę, kiedy gramy w bejsbol. Mówi mi, że tak wygląda prawdziwe życie. Że muszę być twardy. – Oderwał wzrok od dokumentów. – Kontynuować?

Nie wiedziała, jak zareagować. Pokręciła głową, przerażona. Jeśli jej syn rzeczywiście powiedział to wszystko, musiała to być prawda, czyż nie? Zbyt wiele było szczegółów, aby mógł to wymyślić siedmio-latek...

Ale co to oznaczało? Czyżby Bruce naprawdę znęcał się nad ich synem? A ona brała w tym udział, bo tego nie dostrzegła? Czy mogli ją oskarżyć o to, że przymykała oczy i tym samym była współwinna? Czy odbiorą jej z tego powodu Jacka? Bo nie zauważyła? Czy na to właśnie zasługiwała?

Być może.

Co z ciebie za matka, jeśli nie wiesz, że ktoś znęca się nad twoim synem?

## Rozdział 38

Próbowałam ukryć irytację faktem, że to on siedział na werandzie. Był ostatnim człowiekiem na ziemi, jakiego miałam ochotę teraz oglądać. Zauważył nas, wstał i szarpnął za krawat, zbliżając się do mnie. Na niebieskiej koszuli widać było ślady potu pod pachami i na piersi. Zastanawiałam się, jak długo czekał na nasz powrót.

– Śledczy McMillen – powiedziałam i weszłam po pięciu stopniach na werandę.

Policjant skinął głową i uchylił kapelusza przed babcią, która minęła nas i ruszyła do środka.

– Pani Clarke, pani Thomas.

Drzwi z siatki trzasnęły za Eileen, która rzuciła gościowi tylko nieobecne i obojętne „witam”.

– Hm... Co mogę dla pana zrobić? – zapytałam z nadzieją, że da się to szybko załatwić. – Mam za sobą ciężki dzień.

– Wiem – odparł z westchnieniem. Grzbietem dłoni otarł pot z górnej wargi. Przez chwilę rozważałam zaproszenie go do klimatyzowanego wnętrza, ale się na to nie zdecydowałam. Nie była to wizyta towarzyska, co do tego miałam pewność. – Słyszałem, co się stało w szpitalu. Musiało to być okropne przeżycie dla pani i pani rodziny.

Nawet sobie nie wyobrażasz... Pewnie byłoby lepiej dla ciebie, gdyby Adam umarł, co? Zaoszczędziłoby ci to mnóstwo czasu i problemów, prawda?

– Owszem – mruknęłam.

Przypomniałam sobie o paznokciu. Włożyłam go do torebki opakowanego w folię. W głębi serca wiedziałam, że ktoś próbował dzisiaj zabić mojego brata, i zamierzałam się dowiedzieć, kto to był.

Miałam jednak przeczucie, że będę musiała się przy tym obejść bez pomocy miejscowych służb.

– Przyjechałem, bo powinna pani o czymś wiedzieć – oświadczył – o pani bracie i tej sprawie.

– Tak? A co takiego?

– Zapewne myśli pani, że pomiędzy Allyson a pani bratem wszystko układało się cudownie i niewinnie, ale... cóż, mamy dowody, że Allyson spotykała się z kimś jeszcze.

– A co to za dowody?

– Znaleźliśmy wiadomości w jej telefonie.

– Okej. Kto to jest?

– Jeszcze nie wiemy.

– Jak to: nie wiecie? Przecież to potencjalny podejrzany.

– W telefonie nie było nazwiska, zamiast niego Allyson używała emotikona. Uśmiechniętej buźki.

– Przecież możecie namierzyć numer!

– Namierzyliśmy. Numer na kartę kupiony za gotówkę w Walmarcie trzy miesiące temu.

– Czyli to może być ktokolwiek – podsumowałam po chwili namysłu.

– Ale nie o to chodzi – kontynuował McMillen.

– To znaczy? Według mnie chodzi właśnie o to. Macie kolejną osobę podejrzaną, którą należy się zainteresować i przyjrzeć jej bliżej, zanim zamkniecie sprawę mojego brata.

– On wiedział. O to chodzi. Adam wiedział, że Allyson spotyka się z kimś jeszcze za jego plecami.

– Skąd wiecie?

– Z danych jego telefonu. Kłócili się o to. Zapytał ją o to kilka dni przed imprezą na plaży. Widział jej wiadomości do tego innego fa-

ceta. Oprócz tego mamy zeznania ich znajomych z imprezy, którzy potwierdzają, że pokłócili się tej nocy, kiedy zniknęła. Adam chwycił ją za rękę, próbował zmusić do pocałunku, ona uciekła rozgniewana, a on pobiegł za nią. Wtedy widziano ją po raz ostatni. Składa się to w niezły obrazek, prawda? I ma sens. Wkurzył się, był zazdrosny, ona mu odmówiła. Pękł. Zabił ją, a potem postanowił popełnić samobójstwo, rozpętując strzelaninę w szkole, ponieważ był zły na cały świat i innych uczniów. Może część wiedziała o zdradzie i mu nie powiedziała, może to był powód jego gniewu. Może w stołówce był wtedy drugi chłopak Allyson. Kto wie? To daje jednak waszemu chłopcu motyw. Wiem, że to pani niedawno odnaleziony brat i tak dalej, ale fakty są takie, że w ogóle go pani nie zna.

Przygryzłam wargę, uświadomiwszy sobie, że policjant ma rację, nawet jeśli nie chciałam tego przyznać.

– Moim zdaniem pan się myli – odparłam. – Nie chciał nikogo zabić. Nawet nie próbował. Zamknął oczy i strzelał pod sufit. A dzisiaj ktoś próbował go zabić, ponieważ jeśli się obudzi, powie prawdę. Zdoła wyjaśnić, że ktoś inny zamordował Allyson i zmusił go do strzelaniny w szkole. Adam zrobił to, ponieważ nie miał innego wyjścia. Trzymał w dłoni zdjęcie ukochanej, ponieważ zabójca, prawdziwy zabójca, wykorzystał ją, by wyrzucić na niego presję, przekonał go, że Allyson umrze, jeśli Adam tego nie zrobi. To moja teoria. Uważam, że ten sam człowiek zamordował pięć osób w hotelu Ritz-Carlton. Jeśli przyjrzy się pan uważnie szampanowi, którego tam pito, znajdzie pan ślady trucizny. To nie jest przypadek, to nie jest zbieg okoliczności. Moim zdaniem najważniejsze teraz pytanie to kiedy i jak morderca uderzy ponownie. Na tym trzeba się skupić.

McMillen wpatrywał się we mnie, coraz szerzej otwierał oczy i buzię. Po chwili jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Jest pani jeszcze bardziej szalona, niż myślałem. To najdurniejsza historia, jaką w życiu słyszałem.

– Cóż, spodziewałam się, że tak pan zareaguje. To nie zmienia faktu, że musiałam pana ostrzec. Ma pan na swojej spokojnej wyspce bardzo sprytnego zabójcę, który nie spocznie, dopóki ktoś go nie powstrzyma, proszę mi wierzyć. Miałam już z takimi typami do czynienia, im większy sukces odnoszą, tym większego nabierają przekonania o swojej niezwyciężoności. Teraz zabił pięć osób za jednym zamachem. Nie sposób przewidzieć, ile uśmierci następnym razem. Pytanie brzmi, ile zgonów musi obciążyć pańskie sumienie, zanim zacznie pan słuchać. – Wzięłam głęboki oddech. – A teraz proszę wybaczyć, muszę zadzwonić do swoich dzieci, które zaniebduję, żeby tu zostać i rozwiązać tę sprawę, ponieważ nikomu innemu na tym nie zależy. Dobranoc. Wcale nie było mi miło.

Okręciłam się na pięcie i podeszłam do drzwi z siatki, po czym je otworzyłam. McMillen nałożył kapelusz i postawił kilka kroków do schodków, po czym się zatrzymał.

– Ma pani zwidy, pani Thomas. Ale rozumiem, skąd się to bierze. To z powodu brata. Chce pani myśleć o nim jak najlepiej, to jasne. Ja też nie uważam, żeby był złym człowiekiem. Myślę, że złamano mu serce. Zgadzam się: nie miał innego wyjścia, tak czuł, ale pani wyjaśnienie nie jest wiarygodne. Uprzejmie proszę, aby przestała się pani mieszać w śledztwo i pozwoliła nam wykonywać naszą pracę.

Po tych słowach odszedł, a ja zostałam w progu domu, z dłonią na klamce, walcząc z przemożnym pragnieniem, by zacząć krzyczeć.

## Rozdział 39

Poprosiłam babcię o adres Chrisa i dowiedziałam się, że mieszka na końcu ulicy. Przyjaźnili się z Adamem od wczesnego dzieciństwa, spędzali razem mnóstwo czasu. Babcia zamyśliła się na chwilę, kiedy to powiedziała, a ja wyczułam, że tęskni za tamtym okresem. Trudno było jej się dziwić.

Chłopak otworzył drzwi, kiedy tylko zapukałam, i opierając się na kulach, wyszedł na ganek.

– Pani Thomas? Co pani tu robi? Wszystko w porządku? Coś z Adamem? Coś się stało?

Zamknął za sobą drzwi.

– Przepraszam. Nie chciałam cię przestraszyć. Adamowi nic nie grozi po tym, jak nas wczoraj nastraszył. Jego serce pracuje, stan jest stabilny.

Na twarzy chłopca odmalowała się ulga.

– Przestraszyła mnie pani. Słyszałem, co się wczoraj stało, i pomyślałem, że nie przeżył nocy.

– Ach, nie, Adam czuje się dobrze, o ile mi wiadomo.

– To dobrze. Chciałem go dzisiaj odwiedzić, jeśli mnie wpuszczą.

– To bardzo miło z twojej strony. Mam nadzieję, że nie przyszłam za wcześnie i nie obudziłam całego domu. Nie mogłam spać i w ogóle nie przyszło mi do głowy, że to sobota.

– Nic się nie stało. Rzadko śpię długo. Nie chcę marnować dnia, tym bardziej jeśli to dzień wolny.

– Racja. Lepiej coś z tego dnia wycisnąć.

– W czym mogę pomóc?

– Cóż, to trochę delikatna sprawa, wybacz więc, że mówię o tym tak obcesowo, ale chciałam zapytać, czy wiedziałeś, że Allyson spotyka się z kimś jeszcze. Policja twierdzi, że Adam wiedział i z tego powodu był na nią zły. Uważają to za motyw, ale ja mam wątpliwości.

Chris spoważniał, a po chwili potwierdził skinieniem głowy.

– Tak, wiedziałem o tym. Adam podzielił się ze mną podejrzeniami, że Allyson spotyka się z kimś jeszcze, podobno widział wiadomości od niego w jej telefonie. Bał się, że ją straci. Załamałby się. Wszyscy o tym wiedzieli, nie tylko ja.

Pokiwałam głową.

– Wiesz, kto to był? Uczeń z waszej szkoły?

Chris pokręcił głową.

– Nie, o ile mi wiadomo. Podobała się wielu chłopakom w szkole.

– Czyli to nie był ktoś z waszego liceum. Z innego w takim razie?

Chris widocznie przełknął ślinę i znów pokręcił głową.

– Nie. Jeśli mam być szczerzy, to było trochę dziwne. I trochę obleśne.

Zmarszczyłam czoło z konsternacją.

– Obleśne? To znaczy? Co masz na myśli?

Nie patrzył mi w oczy.

– To był jakiś starszy facet. No wie pani, starszy od nas. Dorosły.

– Starszy? – To się zaczynało robić ciekawe. Jeśli ten mężczyzna był dorosły, możliwe, że to właśnie jego szukaliśmy. Serce zaczęło walić mi w piersi na samą tę myśl. To był prawdziwy ślad, poszlaka mogąca doprowadzić do rozwiązania tej sprawy.

– Znasz go?

– Nie. Wiem tylko, kto to jest i takie tam.

Pokiwałam głową.



- To znaczy, że znasz jego imię i nazwisko?

Chris potaknął.

- Jasne.

## Rozdział 40

Pan Jenkins mieszkał w nowiuteńkim domu przy Robert Oliver Court na końcu ślepej uliczki, przy której stały same całkiem nowe domy. Okolica wydawała się bardziej zamożna niż reszta wyspy. Plaża znajdowała się w zasięgu spaceru.

Podjechałam pod wskazany adres i zaparkowałam na ulicy, po czym spojrzałam na szare ściany i kolumny po obu stronach drzwi.

Kiedy wysiadłam, zauważyłam na trawie dziewczęcy rower. Serce prawie mi stanęło.

Facet miał dzieci.

Zapukałam. Otworzyła mi pięcioletnia, może sześcioletnia dziewczynka. Uśmiechnęłam się.

– Cześć. Zastałam tatę?

– Taaato! – zawołała.

Usłyszałam dobiegający z za jej pleców głos. Kobięcy. W drzwiach pojawiła się twarz, kobieta stanęła w progu.

– Tak? O co chodzi?

Mój puls przyspieszył. Facet miał nie tylko dziecko, ale też żonę. W jakim celu spotykał się więc z piętnastolatką? Była jego kochanką? Na samą myśl zebrało mi się na mdłości. Wyobraziłam sobie Olivie ze starszym facetem. Co bym zrobiła, gdybym się o czymś takim dowiedziała?

– Ja tylko...

Rozległ się kolejny głos, w drzwiach pojawił się mężczyzna. Kiedy spojrzałam mu w oczy, od razu zapomniałam, z czym przysłam. Nie mogłam tak po prostu zniszczyć tej rodziny. Musiałam improwizować.

– Przeprowadzam ankietę – oświadczyłam. – Przepraszam, że nie-pokoję o tak wczesnej porze, ale prowadzimy badania na temat...

– Od razu pani przerwę – wtrącił pan Jenkins. – Nie jesteśmy zain-teresowani. Próbujemy spędzić miły sobotni poranek jako rodzina i szczerze mówiąc, nic więcej nas nie obchodzi. Miłego dnia.

Po tych słowach zamknął drzwi i posłał mi jeszcze przebiegły uśmiezek, zanim całkiem zniknął. Cofnęłam się, serce wciąż łomotało mi w piersi.

To jego szukałam? Czy to on był moim zabójcą?

Wróciłam do samochodu, wsiadłam i wzięłam głęboki oddech. Musiałam dowiedzieć się więcej o panu Jenkinsie, ale jak? Działa-łam bez wsparcia odpowiednich służb.

Odpaliłam silnik i wyjechałam na ulicę. Minęłam wybrzeże i hotel Ritz-Carlton, poczułam ucisk w sercu na myśl o wszystkich rodzi-nach, które poniosły stratę minionej nocy, po czym zatrzymałam się przy restauracji o nazwie Salt Life Food Shack i weszłam do środka. Umierałam z głodu, bo wyszłam z domu bez śniadania, a zbliżała się pora obiadu. Zamówiłam smażonego strzępiela i kawałek tarty li-monkowej na deser, po czym zjadłam wszystko, rozmyślając o tej dziwnej sprawie i jej ostatnim zwrocie. Czułam, że wzbiera we mnie gniew.

Jakim człowiekiem trzeba być, żeby nawiązać romans z piętnasto-latką? Coś musiało być z taką osobą nie tak. Bardzo nie tak.

## Rozdział 41

Wstał wcześniej i od razu wyruszył. Chciał wyprzedzić Chada i na pewno dotrzeć na Amelię przed nim. Było to dziecinne, owszem, ale nie mógł znieść myśli, że Chad miałby się tam pojawić pierwszy i zachowywać się, jakby wszystko należało do niego. Eva Rae również. Matt musiał umocnić swoją pozycję i pokazać Chadowi, gdzie jego miejsce.

Kiedy przejeżdżał przez most na Amelię, poczuł łaskotanie w żołądku. A jeśli wcale nie życzyła sobie jego wizyty? Jeśli nie ucieszy się na jego widok?

Jeśli każe mu wrócić do domu?

Pękłoby mu serce.

„Na pewno się ucieszy – myślał. – Dlaczego miałaby się nie ucieszyć? Przecież mnie kocha. Za bardzo się martwię. Muszę wyluzować”.

Wziął głęboki oddech, akurat gdy wjechał na wyspę. Nigdy wcześniej nie był na Amelii, podobało mu się tu. Dużo wody, moczary, nisko położone drogi. Ciekawe, jak sobie tu radzili podczas sztormów i huraganów. Zapewne trudno było ewakuować ludność w miejscu, gdzie jest tak dużo mostów, moczary prawdopodobnie również wtedy zalewało. Był kiedyś w Jacksonville, myślał, że tutaj będzie podobnie, ale w niczym nie przypominało to wielkiego miasta. Wyglądało raczej jak jego rodzinne strony.

Annie nawet nie mrugnęła, kiedy zawnioskował o parę dni wolnego. Poprosiła, by przekazał Evie Rae pozdrowienia – choć wcale nie powiedział, że się do niej wybiera – i nakazała mu nie pracować na urlopie.

– Czas wolny należy traktować poważnie – oświadczyła. – Za ciężko ostatnio pracujesz, ty też musisz odpocząć, bo długo tak nie pociągniesz.

Taki był plan. Jego matka zgodziła się zaopiekować Elijahem przez weekend, żeby Matt mógł pobyć z Evą Rae, spędzić z nią czas, odpocząć i nabrać sił. Pragnął być obok niej, reszta mogła poczekać.

Miał tylko nadzieję, że Chad nie będzie wchodzić im w drogę. Ani nikt inny. Cóż, były oczywiście jeszcze dzieciaki, które potrzebowały jej bardziej niż on. Ale z nimi mógł się nią dzielić. To ich ojciec mógłby znów zniknąć.

O dobry Boże. Był zazdrosny.

Nie pamiętał, kiedy czuł się tak poruszony z powodu kobiety. Możliwe, że w czasach liceum, kiedy to Eva Rae umawiała się przez trzy tygodnie z Timem Spencerem. To było okropne, miał wrażenie, że umrze. Tak było źle.

Nie miał już jednak piętnastu lat, tylko czterdzieści jeden, co oznaczało, że trzeba wziąć się w garść.

Roześmiał się pod nosem ze swojej głupoty i zdał się na nawigację, by poprowadziła go przez wyspę do domu babci Evy Rae. Kiedy go znalazł i wjechał na podjazd, ucieszył się, nie widząc żadnych innych samochodów zaparkowanych przed garażem. W pobliżu nie kręciły się też żadne dzieci.

Ani Chad.

## Rozdział 42

Czy to... Czy to... Nie, niemożliwe...

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy wjechałam na podjazd i zobaczyłam czerwoną toyotę. Zgasiłam silnik, wyskoczyłam z minivana i trzasnęłam drzwiczkami.

– Matt?

Stał na werandzie, rozmawiał z babcią. Serce waliło mi w piersi tak, jakby miało się z niej zaraz wyrwać.

Na całym świecie nie było nikogo, kogo bardziej chciałabym teraz zobaczyć.

– Matt?

Uśmiechnął się nerwowo i wyrzucił ręce w górę.

– Niespodzianka!

– N-nie wierzę! – Wbiegłam po stopniach. Uśmiechnęłam się i rzuciłam mu się na szyję, a potem pocałowałam go delikatnie, przymykając powieki. Kiedy nasze wargi się rozchyliły, otworzyłam oczy, by mógł w nie głęboko spojrzeć. Serce mi stopniało.

– Co ty tu robisz? Nie spodziewałam się ciebie.

Wzruszył ramionami.

– Miałem kilka dni wolnego, pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę.

Babcia się uśmiechnęła.

– Zaprosiłam go, by nocował tutaj. Mamy mnóstwo miejsca, zwłaszcza od śmierci twojego dziadka. Muszę powiedzieć, że Matt trochę mi go przypomina. Kiedy zobaczyłam go w drzwiach, myślałam, że to on. Prawie dostałam ataku serca. Pomyślałam, że to sam

dobry Bóg zesłał go tutaj, by zabrał mnie do domu, ale najwyraźniej to jeszcze nie moja pora. Jeszcze wiele dobrych lat przede mną.

– Mam nadzieję – odparłam, obejmując Matta w pasie i przyciągając go bliżej.

– Chodźcie do środka – kontynuowała Eileen. – Sydney i David właśnie wrócili ze szpitala, jedzą w kuchni.

– Co z Adamem? – zapytałam.

Babcia wzruszyła ramionami.

– Podobno bez zmian. Ale przynajmniej żyje, to najważniejsze, prawda?

Pokiwałam głową. Miała rację, ale sama marzyłam, by chłopak wreszcie się obudził.

– Nie stójcie tak w tym upale, wchodźcie.

Już mieliśmy z Mattem przekroczyć próg, kiedy u wylotu ulicy pojawił się kolejny samochód. Trąbił głośno, jego pasażerowie krzyczeli. Odwróciłam się i po raz drugi tego ranka prawie stanęło mi serce.

– Mamo!

– Alex?

Czarny lincoln navigator wjechał na podjazd i zatrzymał się za moim starym minivanem. Alex krzyczał z głową wystawioną za okno, a gdy tylko samochód stanął, wyskoczył i rzucił się w moją stronę z wyciągniętymi rękami.

– Alex! – pisnęłam, chwyciłam go w objęcia i okręciłam w powietrzu. Zamknęłam oczy i odetchnęłam zapachem jego włosów, a potem obsypałam go pocałunkami, aż go tym zmęczyłam i zażądał, by postawić go na ziemi. Łzy napłynęły mi do oczu na widok Christine i Olivii. Uściskałam je obie mocno, powstrzymując płacz. Aż do tej chwili nie uświadamiałam sobie, jak bardzo mi ich brakuje. Wiedziałałam, że tęsknię, ale odpychałam to od siebie, zmuszałam się, by

o tym nie myśleć, bo tak bolało. A teraz byli tutaj, nie mogłam w to uwierzyć. – Co wy tu robicie? – zapytałam, pociągając nosem.

Za dziećmi stanął Chad.

– Stęskniliśmy się za tobą. – Zauważył Matta, który zatrzymał się kilka kroków za mną, i zrobił rozczarowaną minę. – Ach, widzę, że jedna niespodzianka już była. Musiał nas wyprzedzić po drodze.

Uściskałam Chada przelotnie, po przyjacielsku, po czym znów wzięłam w ramiona dziewczynki.

– Nie wierzę, że naprawdę tu jesteście. Tak za wami tęskniłam. – Coś mi przyszło do głowy. – Chwileczkę, a króliki? Jeśli wszyscy jesteście tutaj, to kto się nimi zajmuje?

Chad wrócił do samochodu i wyciągnął z niego dużą klatkę. Trzy angory skubały w niej siano.

– Ta-dam.



## Rozdział 43

Potrzebowała czasu, aby przywyknąć do mieszkania tutaj. Robyn, córka Billie, często to powtarzała, ale Billie i tak nie była pewna, czy ta przeprowadzka to był dobry pomysł. Tęskniła za domem, za swoimi rzeczami, meblami, obrazami, za ogródkiem, którym uwielbiała się zajmować w takie ładne dni jak ten. Czego by nie dała, by móc znów tam wrócić, choćby na kilka ulotnych, pięknych chwil.

Życie w domu opieki nie spełniało jej oczekiwań. Może było to dobre rozwiązanie dla osoby po wypadku, potrzebującej pomocy, ale na pojawienie się pielęgniarki trzeba było czekać całą wieczność, nawet jeśli wzywało się ją alarmem.

– Wiesz, że przeżyłam pożary w trzydziesty szóstym? – zapytała siedząca obok Billie w świetlicy Olivia. Cierpiała na zaniki pamięci krótkotrwałej, Billie słyszała tę opowieść już tysiąc razy. Ale to nic. Olivia była miła i radosna, Billie wiedziała, że jeszcze zatęskni za tymi powtarzаныmi historyjkami.

Po trzecim udarze Robyn zaczęła mówić o konieczności poszukania pomocy. Utrzymywała, że Billie nie jest sobą – nie wykonywała najprostszych czynności takich jak samodzielne wizyty w łazience, miała trudności z ubieraniem się, a nawet z jedzeniem.

Niemniej przeprowadzka do domu opieki w wieku zaledwie sześćdziesięciu lat była dla niej ciosem. Tylko to jej zostało?

Tak miało wyglądać od teraz jej życie?

Spojrzała na stojącą przed nią szklankę. Sięgnęła po nią i chwyciła ją w dłonie. Trzęsły się tak, że wychlapała płyn na stolik, zanim podniosła naczynie do ust. W połowie gestu musiała się zatrzymać, bo ręce odmówiły posłuszeństwa.

„No dalej, Billie. Dasz radę!”

Westchnęła zmęczona. Nie mogła się pogodzić ze swoją obecną sytuacją. Mieszkała z tymi wszystkimi starymi ludźmi, z których większość stała już jedną nogą w grobie. Czy naprawdę nic więcej jej już nie czekało?

Tylko ta jałowa egzystencja?

Przeniesiono ją do świetlicy, bo dzisiaj miała ją odwiedzić córka. Była niedziela. Billie wolała przebywać w swoim pokoju, unikała kontaktów z innymi więźniami, jak ich nazywała. A ten dom nazywała więzieniem, ku wzburzeniu córki.

– Zajęłabym się tobą sama, gdybym tylko mogła – powtarzała Robyn, próbując zagłuszyć poczucie winy. – Wiesz, że bym się tobą zajęła, prawda, mamó? Ale nie mogę.

„Bo cały czas pracujesz, wiem. Ale może gdybyś zmieniła pracę? Na taką, która nie wymaga tylu wyjazdów? Na pewno da się tu znaleźć taką pracę. Może zdalną? Ja się tobą zajmowałam, kiedy mnie potrzebowałaś. Kiedy niczego nie potrafiłaś zrobić samodzielnie. Życie jest krótkie, nie rozumiesz? Ja zrozumiałam to o wiele za późno. Nie popełnij tego samego błędu. Niech to, co się stało ze mną, będzie dla ciebie lekcją. Dano nam niewiele czasu razem. Nie wiemy, kiedy ten czas dobiegnie końca”.

Chciała to powiedzieć córce, ale nigdy tego nie zrobiła. Głównie dlatego, że po trzecim udarze coraz trudniej było jej artykułować słowa. Tak wiele chciała powiedzieć, czasami miała wrażenie, że wybuchnie, kiedy próbowała i ponosiła porażkę. Chciała powiedzieć Robyn, że już czas na dzieci, na małżeństwo, na usatkwowanie się. Na te dobre rzeczy. A nie wspinanie się po korporacyjnej drabinie. Nie wieczne zabieganie o aprobatę szefa i próby wypracowania sobie pozycji w zdominowanym – zdaniem Billie – przez mężczyzn świecie.

„Nie warto. Uwierz mi. To wszystko ostatecznie nie będzie mieć znaczenia. Musisz się skupić na tym, co naprawdę ważne”.

Podeszła do niej pielęgniarka, sięgnęła po chusteczkę i otarła zasłiniony podbródek Billie, uśmiechając się z litością. Billie poczuła wstyd. Nawet nie wiedziała, że się ośliniła. Tak jak nie wiedziała, kiedy trzeba iść do łazienki.

Jakie to było upokarzające – nie dawać sobie rady nawet z najprostszymi czynnościami.

Tego ranka wszystkich więźniów zebrano w świetlicy. Niektórzy siedzieli przy wielkich oknach, obserwowali przez nie drogę i poruszające się po niej samochody. Jedna grupa grała w karty na kanapie, inna w szachy, jeszcze inna w planszówki. Więźniowie spacerowali bez celu, popychając przed sobą balkoniki. Wszystko to, żeby zabić czas. Billie nie chciała zabijać czasu, nie chciała nie mieć nic do roboty. Nie chciała tylko czekać na śmierć, by się stąd wyrwać.

– Billie? Przyszła twoja córka – powiedziała pielęgniarka, za którą pojawiła się jakaś postać.

– Cześć, mamó, jak się dzisiaj czujesz?

Billie podniosła głowę i spojrzała córce w oczy, zobaczyła w nich litość, która mogła być też współczuciem.

Robyn usiadła na krześle obok z głębokim westchnieniem.

– Ach, jak dobrze znów tu być. – Założyła nogę na nogę bez żadnego wysiłku, nie do wiary, że Billie jej tego zazdrościła. – Nie uwierzysz, jaki miałam stresujący tydzień. Od jednego lotniska do drugiego, rozmowy z ludźmi, taksówki, te wszystkie klaksony i syreny w wielkich miastach. Dobrze tu wrócić, tu jest tak... no cóż... miło i cicho. Spokojnie.

Billie nie chciała ciszy i spokoju. Chciała żyć dalej swoim życiem i zajmować się ogrodem.

Kątem oka zauważyła pojazd, który nie przejechał obok domu opieki jak inne ani nie zatrzymał się na podjeździe. Zauważyła go, a on jechał dalej. Nie mogła jednak nic powiedzieć. Wydusiła z sie-

bie tylko kilka stęknień. Widząc jej wysiłki, córka chwyciła ją za rękę i znów spojrzała na nią z litością.

– Nie martw się, mamó. Słowa przyjdą.

Ciężarówka staranowała drzwi wejściowe, rozbiła szyby i przyspieszyła w kierunku siedzących w grupach więźniów. Niektórzy krzyczeli, inni – chodzący – próbowali wstać i uciec. Większość była jednak zbyt wolna, tylko nielicznym, tym najdalej w głębi sali, udało się uniknąć śmierci. Ci przykuci do wózków, jak Billie, nie mieli szans.

## Rozdział 44

– Nie zjedz wszystkich truskawek.

Alex spojrzał na siostrę, zgarnął ostatnie owoce i włożył je sobie do ust, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Ale z ciebie głupol! – Christine wrzasnęła tak głośno, że prawie zakrztusiłam się kęsem jednego z góry placków, które usmażyła dla nas Eileen. Alex zaczął zawodzić.

– Maamo! Bo ona mówi, że jestem głupi.

– Nie powiedziała, że jesteś głupi, matolku. Nazwała cię głupolem – wtrąciła Olivia.

Posłałam jej spojrzenie pytające, czy uważa swój wkład w tę rozmowę za niezbędny. Odpowiedziała mi uśmiechem i wzruszeniem ramion.

– Maamooo! – jęczał Alex.

Spojrzałam na Matta, nasze oczy się spotkały. Noc spędziliśmy w moim pokoju, Sydney przeniosła się do babci, żebyśmy mogli być razem, musiałam jej to jakoś wynagrodzić. Widać było po Mattcie, że ma przemożną ochotę wrócić na górę i zamknąć za sobą drzwi. Tak jak ja. Mogłabym spędzić cały dzień w jego ramionach, ale dzieci też mnie potrzebowały. Bardzo za mną tęskniły, co z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu zawsze przejawiało się tym, że zachowywały się marudnie, kłóciły się i były ogólnie nieznośne. Jakby chciały mnie ukarać za to, że wyjechałam i postawiłam je w sytuacji, w której musiały tęsknić.

Wiedziałam, że chcą tylko, by wszystko wróciło do normy, bym była z nimi. Teraz jednak nie wydawało się to możliwe.

– Jaki cudowny poranek. – Do kuchni wkroczył Chad. Właśnie wrócił z biegania, był bez koszulki. Rzuciło się w oczy, że zaczął tre-

nować po naszym rozstaniu, nie mogłam oderwać wzroku od jego spoconej, umięśnionej klaty. Nie dlatego, że mi się tak podobał, lecz dlatego, że nigdy wcześniej nie miał mięśni i teraz wyglądał całkiem inaczej. Bardzo schudł i szczerze mówiąc, rezultat był wspaniały.

Matt zauważył, że się gapię, więc opuściłam wzrok na jedzenie. Chad sięgnął po pomarańczę i zaczął ją obierać. Wcześniej podrzucił ją kilka razy i wziął jeszcze dwie, żeby nimi żonglować, na co Alex wybuchnął głośnym śmiechem.

Eileen przydzieliła mu własny pokój, dzieciaki musiały się podzielić. To nie ułatwiało sprawy.

Powiedzieć, że w domu zapanował chaos, to nic nie powiedzieć. Oczywiście cieszyłam się, że przyjechali, naprawdę się cieszyłam, ale... było tego za dużo. Zwłaszcza że wyczuwałam pomiędzy Chadem a Mattem dziwną rywalizację, która działała mi na nerwy.

Po śniadaniu zasugerowałam Alexowi, by pobawił się na podwórku i spożytkował trochę tej energii. Christine i Olivia od razu przepadły w swoich telefonach, a ja wyniosłam kawę na werandę, by popilnować Alexa, który podszedł do starej huśtawki. Adam musiał się na niej bawić, kiedy był młodszy. Ogród był spełnieniem marzeń każdego chłopca, Alex miał się więc czym zająć, a ja mogłam odpocząć. Matt przyszedł do mnie ze swoim kubkiem i usiadł obok. Uśmiechnęłam się i pocałowałam go lekko, po czym wzięłam głęboki oddech, rozkoszując się tą rzadką chwilą spokoju z mężczyzną, którego kochałam.

Położyłam głowę na jego ramieniu, marząc, by trwało to bez końca.

Westchnienie Matta przerwało ciszę.

– Czy możemy porozmawiać o tym, co jest w twoim pokoju? Na ścianach i na biurku? Pełno wycinków z gazet i zdjęć. Na jednej ze ścian wiszą twoje odręczne notatki i pomysły na to, jak zmusić ko-

goś, żeby zabijał, motywy, dla których ktoś miałby to zrobić. Widziałem też listę cech ofiar uporządkowanych według rasy, płci, wieku, stanu cywilnego, pracy, wykształcenia, karalności, obecności w mediach społecznościowych, posiadanych zwierząt domowych, koloru włosów, wagi i wzrostu. Pół nocy spędziłaś przed komputerem, kiedy myślałaś, że śpię, i położyłaś się dopiero nad ranem, udając, że przez cały ten czas byłaś obok. Przebudziłem się o drugiej, widziałem, że siedzisz przy biurku, nie mów mi więc, że mi się wydawało.

Wzruszyłam ramionami i upiłam łyk kawy, po czym podwinęłam pod siebie nogi.

– To nosi znamiona obsesji, nie sądzisz? – dodał.

Posłałam mu spojrzenie z ukosa.

– W jakim sensie: obsesji?

Powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Wiem, że to ja zasugerowałam ci, byś pomogła rodzinie, ale nie wiedziałem, że taki będzie rezultat. Nie wiedziałem, że to zajdzie tak daleko. Podobno miejscowa policja uważa, że masz zwidy, że oszalałaś. Bierzesz w ogóle pod uwagę, że mogą mieć rację?

Parsknęłam gniewnie.

– Przyjechałeś powiedzieć, że powinnam odpuścić? W takim razie zmarnowałeś kupę czasu.

Westchnął, a ja spojrzałam na Alexa, który znalazł kij bejsbolowy i piłkę. Nagle ogarnęła mnie obawa o babcine okna.

– Wiadomo, że nie po to przyjechałem.

– No to po co?

– Bo się za tobą stęskniłem. Tak trudno to pojąć? Nie potrafisz pogodzić się z tym, że cię kocham i chcę być z tobą? Czy musi być inny powód? Ten ci nie wystarczy?

Upiłam łyk kawy, wbiłam wzrok w czarny płyn, po czym podniosłam głowę na Matta.

– Nie wiem. Po prostu... Cóż, wydaje mi się, że chodzi o coś więcej. Rzadko robisz takie rzeczy, Matt.

– No to teraz zacznę. – Wstał i podszedł do drzwi. – Rzadko też w kimś się zakochuję. Ty jesteś pierwsza.

– Matt...

Wszedł do środka, zanim zdołałam powiedzieć, co chciałam.

Kurczę. Zraniłam go.

– Patrz, mamó! – krzyknął Alex, po czym wyrzucił piłkę w powietrze i uderzył w nią kijem tak mocno, że poszybowała w kierunku domu sąsiadów. Wstrzymałam oddech, czekając na trzask rozbijanej szyby, ale na szczęście nic się nie stało. Pocisk wylądował gdzieś w trawie, a Alex na mnie spojrzał.

– Mogę po nią iść? Maamo?

Pokiwałam głową.

– Pewnie. Idź.

Rozsiadłam się z kubkiem wygodniej i zaczęłam się zastanawiać, czy nie wejść do środka porozmawiać z Mattem, kiedy już wróci Alex. Nagle telefon zawibrował mi w kieszeni, więc po niego sięgnęłam. Otrzymałam wiadomość z nieznanego numeru. Był to filmik. Uruchomiłam odtwarzanie i zamarłam.

Z początku nie wiedziałam, na co patrzę. Film nakręcono z perspektywy kierowcy, przez przednią szybę. Jakiś pojazd ciężarowy – chyba wywrotka – nagle staranował drzwi i wjechał w głąb budynku. Usłyszałam krzyki, ludzie próbowali uciekać. Jedni pierzchali na boki, inni, większość, ginęli pod kołami. Pojazd taranował wózki inwalidzkie, siedzące w nich osoby wylatywały w powietrze. W pewnej chwili wywrotka się zablokowała, kierowca wycofał, po czym znów wrzucił bieg i zmiążdżył kobietę, która stała przy ścianie.



To wtedy zatrzymałam odtwarzanie i cisnęłam telefon na deski werandy. Zemdliło mnie, obejmowałam się kurczowo ramionami, kiedy w drzwiach pojawił się Chad.

- Hej, hej, co się stało?

Rzuciłam mu się na szyję i rozplakałam się, miałam wrażenie, że zaraz eksploduje mi żołądek.

## Rozdział 45

Zastępca szeryfa Griffins nie potrafił zapomnieć tych obrazów. To on pierwszy pojawił się na miejscu zdarzenia, po tym jak odebrali zgłoszenie o wypadku w domu opieki Waterfall Hills. Teraz był jednym z wielu patrolujących, którzy szukali czarnej wywrotki marki MACK. Jak się okazało, gdy już nieliczni ocalali podali markę i cechy charakterystyczne pojazdu – skradzionej z placu budowy. Wpatrywał się właśnie w poszukiwaną ciężarówkę, która stała na poboczu w zatoce przy A1A. Spod maski unosił się dym, zderzak był widocznie uszkodzony. Bez wątpienia to właśnie jej szukali, to ona staranowała drzwi wejściowe do domu opieki i zabiła wiele osób.

Griffins zatrzymał się za ciężarówką i wezwał wsparcie.

– Widzę poszukiwany pojazd. Ktoś siedzi w środku – powiedział przez radio. – Powtarzam: widzę potencjalnego zabójcę z domu opieki.

Chwilę później nadjechało wsparcie, wysiadł więc z samochodu. Dłonie mu się trzęsły, kiedy sięgał po broń.

– Ręce do góry – zawołał, kiedy otoczyli wywrotkę. Nadjeżdżały kolejne radiowozy, wyskakiwał i z nich policjanci gotowi do akcji. Griffins przestraszył się, że to tylko jeszcze bardziej wzburzy kierowcę, który musiał znajdować się na skraju desperacji.

Zabił tych wszystkich staruszków.

Chory człowiek, bez dwóch zdań. Bardzo chory. Pytanie tylko, czy również uzbrojony.

– Ręce do góry, powiedziałem.

Podszedł bliżej, ale nadal nie widział dłoni mężczyzny. To go tym bardziej wytrącało z równowagi.

– Ręce do góry!

Zero reakcji. Facet w wywrotce nawet nie drgnął, wyglądało to dziwnie.

– Proszę opuścić szybę – zawołał Griffins, zaciskając drżące palce na broni. Kiedy podszedł jeszcze bliżej, zauważył, że kierowca jednak się rusza. Cały się trząsnął. Odwrócił głowę i spojrzał na Griffinsa, któremu jeszcze bardziej przyspieszył puls.

– Ręce! – krzyknął.

Wargi mężczyzny drżały, kiedy podniósł obie ręce do góry. Chyba wymamrotał „proszę” i dodał „nie strzelaj”, ale Griffins mógł się mylić.

Dwa lata temu stracił kolegę w podobnej sytuacji. Furgonetka przejechała na czerwonym, więc kolega rzucił się w pościg. Kierowca sięgnął po strzelbę i go zabił. Sprawcy nigdy nie znaleziono. Kolega osierocił troje dzieci i żonę, która nie miała pojęcia, jak zdoła dalej żyć.

Mając w pamięci ten wypadek, Griffins nie zamierzał ryzykować. Wolał strzelić pierwszy, niż umrzeć. Taka służba. W jego pracy sprawy bardzo szybko mogły przybrać bardzo zły obrót.

– Czy jest uzbrojony? Czy ktoś widzi broń? – rozległ się głos.

Griffins spojrzał na faceta w szoferce, który trząsnął się i płakał. Czuł, że jego serce zaraz eksploduje. Nie zauważył dotąd żadnej broni, ale to nie oznaczało, że sprawca nie trzyma jej na kolanach albo niżej, między nogami.

– Proszę wysiąść z samochodu. Ręce proszę trzymać na widoku.

Mężczyzna wykonał polecenie. Otworzył drzwiczki i wysiadł, unosząc ręce wysoko nad głową.

– Proszę – szlochał. – Proszę do mnie nie strzelać.

Griffins obejrzał uważnie jego ręce, a potem spodnie, by sprawdzić, czy czegoś w nich nie ukrywa. To wtedy zobaczył krew – na nogawkach i spływającą z wyciągniętych palców w dół.

Nagle poczuł przyływ paniki. Skąd się wzięła ta cała krew? Mężczyzna płakał, cały się trząsł. Griffins był coraz bardziej zdenerwowany. Jego koledzy sprawdzali samochód, szukali broni. Dwóch mierzyło do kierowcy, który osunął się na kolana. Ręce nadal trzymał za głową. Nagle jedna z nich opadła do boku, a jeden z policjantów krzyknął:

– Sięga po broń!

Padły jednocześnie trzy strzały. Ciało podskoczyło, kiedy kule przeszły klatkę piersiową, a potem poleciało do przodu, zaryło nosem w ziemię.

Griffins podszedł do martwego kierowcy, ręce ciągle mu się trzęsły, na czoło wystąpił pot. Kiedy czekali na karetkę, z jakiegoś powodu nie potrafił oderwać wzroku od blizny w kształcie aligatora na policzku mężczyzny.

## Rozdział 46

– Kto mógł jej przesłać coś takiego?

Chad wpatrywał się w zastępcę szeryfa Williamsa, który w końcu zgodził się przyjechać. Kiedy Chad zadzwonił do biura szeryfa po raz pierwszy, usłyszał, że wszystkie patrole są zajęte z powodu wypadku i że muszą poczekać. Upłynęło kilka godzin, zanim się zjawili. Podałam Williamsowi swój telefon, żeby mógł obejrzeć ten okropny filmik. Poprosił mnie o zgodę na zabranie telefonu do badań i zadeklarował, że zwróci mi go jak najszybciej.

– Na pewno wkrótce znajdziemy odpowiedź na to pytanie – odparł zastępca szeryfa.

– To prawdziwe nagranie? – zapytałam. – To się naprawdę wydarzyło, nie zostało spreparowane?

Williams pokiwał głową.

– Do zdarzenia doszło dziś rano.

– O Boże. Biedni ludzie. – Przycisnęłam dłoń do ust. Kadry filmu nadal przemykały mi przed oczami, przyprawiając mnie o mdłości.

– Ujęliśmy sprawcę.

– Macie go? Co się stało?

– Nie żyje, proszę pani. Otoczyli go, a wtedy sięgnął po broń, więc został zastrzelony. Zginął od razu. Nie mogli ryzykować po tym, co zrobił.

– Oczywiście, że nie – wtrącił Chad. – To musiał być bardzo chory człowiek.

– Niestety. Nawet w społecznościach tak małych jak nasza wyspa zdarzają się takie osobliwe przypadki. Na szczęście rzadko. Ten człowiek zadarł z niewłaściwymi ludźmi, to na pewno.

– I macie pewność, że to on prowadził wywrotkę z filmu? – zapytałam.

Williams pokiwał głową.

– Tak.

– Całkowitą pewność? – dopytywałam, choć wiedziałam, że brzmi to prowokacyjnie. – Ani cienia wątpliwości?

– Nie, proszę pani. Żadnych wątpliwości. Ten człowiek nie żyje. Proszę się nie martwić. Nie będzie już pani przysyłać takich rzeczy.

Uniósł wyżej mój telefon zamknięty w plastikowej torebce, aby dać mi do zrozumienia, że chodzi o filmik.

– Przynajmniej może posłużyć za dowód – oświadczył Chad. – Jeśli został wysłany z jego telefonu, da się udowodnić, że to był on, prawda?

– Dokładnie. Bardzo nam państwo pomogli.

Chad i zastępca szeryfa uścisnęli sobie dłonie. Ja skrzyżowałam ramiona na piersi, zastanawiając się, dlaczego to wszystko znów nie daje mi spokoju.

– Do widzenia, proszę pani.

Po wyjściu funkcjonariusza Chad objął mnie ramieniem i przytulił.

– To było nieprzyjemne, co? Okropne, to, co się stało. Nic dziwnego, że się zdenerwowałaś.

Pozostałam w jego objęciach i spojrzałam na Matta, który stał za nami. Wyglądał jak dziecko, które zgubiło ulubioną zabawkę. Na ten widok wyswobodziłam się z uścisku Chada.

– Nic mi nie będzie. Muszę tylko chwilę odpocząć. Pójdę się położyć.

Przy drzwiach odwróciłam się i spojrzałam Mattowi prosto w oczy, po czym weszłam do środka, zastanawiając się, dlaczego

znów zraniłam ukochanego mężczyznę. Dlaczego tym razem nie mogło mi się udać? Łączyło nas coś wyjątkowego, a ja nie potrafiłam o to zadbać. Jakbym czerpała wodę pustymi rękami. Nasz związek przeciekał mi przez palce, a ja nie mogłam nic na to poradzić.

## Rozdział 47

Zdrzemnęłam się pół godziny. Bardzo tego potrzebowałam. Kiedy się obudziłam, na łóżku obok mnie siedział Matt, musiał nade mną czuwać, kiedy spałam. Uśmiechnęłam się na jego widok, ale nie odwzajemnił się tym samym.

– Może niepotrzebnie tu przyjeżdżałem – powiedział. – Mam wrażenie, że to był błąd.

Podniosłam się.

– Żartujesz? Bardzo się cieszę, że przyjechałeś. Tęskniłam za tobą jak szalona. Nawet sobie nie wyobrażasz.

Odetchnął powoli.

– Wydaje mi się... Czuję się nie na miejscu pomiędzy tobą a Chadem. Jakby łączyła was więź, z którą nie mogę rywalizować.

– Skąd ten pomysł? To dlatego, że się do niego przytuliłam, kiedy otrzymałam ten filmik? Tylko dlatego, że to on był obok. To mógł być ktokolwiek.

– Ale nie był. Padło na twojego byłego. Poza tym nie chodzi tylko o to i o fakt, że się tobą zaopiekował, kiedy tego potrzebowałam, ale też o to, jak wyglądacie razem. Rozmawiacie i śmiejecie się. Nie wiem, o co w tym chodzi, ale mam wrażenie, że łączy was coś, z czym nie mogę się mierzyć.

Wbiłam wzrok w podłogę i zauważyłam, że już się spakował.

– Wyjeżdżasz? Przecież mieliśmy spędzić dzień razem, miałeś jechać jutro.

Pokiwał głową, pochylił się i pocałował mnie w policzek.

– Zbieram się. Nie potrzebujesz mnie tutaj.

– Matt... Proszę... N-nie mów tak. Bardzo się cieszę z twojej wizyty. Proszę, daj mi szansę, to ci to wynagrodzę...



Wstał i sięgnął po swoje rzeczy.

– Nic się nie stało, Evo Rae. Nie przejmuj się tym. Masz tu rodzinę. Z nią powinnaś być. Nie będę stawać pomiędzy tobą a twoją rodziną. Nie zdziwię się, jeśli zechcesz do niego wrócić. Pewnie powinniście spróbować, dla dzieci. To byłoby najlepsze dla nich. A Chad nie jest taki zły, kiedy się go trochę lepiej pozna. Na pewno jest dobrym ojcem.

– Matt, proszę, to...

Jego spojrzenie zdradzało, że nieważne, co zrobię lub powiem, on już podjął decyzję i jej nie zmieni. Odprowadziłam go wzrokiem do drzwi. Wyszedł, zabierając ze sobą boleśnie duży fragment mojego serca.

Podbiegłam do okna, by zobaczyć, jak idzie do samochodu, po drodze pożegnał się z dziećmi. Alex mocno się do niego przytulił, poczułam łzy pod powiekami. Chad stanął obok dzieci, pomachał Mattowi na pożegnanie, a ja nie mogłam przestać płakać. Spojrzałam na dzieciaki, które poszły z ojcem do ogrodu. To znaczy poszli Alex i Christine, Olivia usiadła na werandzie z telefonem.

Czy Matt miał rację? Czy ze względu na dzieci należało dać temu związkowi drugą szansę? Chad zostawił mnie dla innej kobiety, a wcześniej długo zdradzał. Już to było niewybaczalne. A może jednak nie? Może każdy z nas ma prawo do popełniania błędów? Czy ja nie odegrałam w tym wszystkim swojej roli? Przecież nie byłam domatorką, która dbała o swoje małżeństwo. Pochłonęła mnie kariera w FBI, myślałam, że jeszcze zdołam wszystko naprawić.

Musiałam przyznać, że lubiłam te chwile, które spędzaliśmy w piątkę. Podobało mi się szczęście na twarzach dzieci wywołane tym, że ich rodzice są znowu razem. Nie bylibyśmy pierwszą rodziną, która przeszła przez coś takiego. To nie było niemożliwe.

Z westchnieniem przygryzłam wargę, obserwując rozgrywkę bejsbolową pomiędzy Chadem, Alexem i Christine. Chad rzucił Alexowi piłkę, a mój syn perfekcyjnie ją odbił. Piłka wystrzeliła w powietrze i zniknęła na podwórku sąsiada, a Alex wydał głośny okrzyk.

– Widziałeś to, tato? Widziałeś?

Roześmiałam się lekko, kiedy we troje pobiegli obok poszukać piłki, i otarłam łzy z policzków.

Może właśnie tego potrzebowałam? Posklejać moją rozbitą rodzinę?

## Rozdział 48

Niedzielne wieczory w Green Turtle Tavern zawsze przyciągały największe tłumy. Może dlatego, że inne lokale się o tej porze zamykały, może dlatego, że muzyka i towarzystwo w ogóle czyniły z tego miejsca najczęściej odwiedzany bar w centrum Fernandina Beach.

– Poproszę piwo – zwrócił się E.T. do barmana, kiedy już przepchnął się przez tłum. Na werandzie stanął facet z gitarą, grał różne kawałki na życzenie publiczności. Ludzie stawali się coraz głośniejsi, alkohol lał się strumieniami. Muzyk nie był szczególnie dobry, miał problemy z wyższymi dźwiękami. Ale publiczności się podobało, potrafił nawiązać z nią kontakt.

– Zagraj *Waltzing Matilda* – zawołał ktoś, kiedy E.T. wyszedł z piwem na zewnątrz. Rozglądał się przez chwilę za miejscem siedzącym, aż w końcu znalazł je na ławce obok pary, która całowała się w płataninie rąk i nóg pomiędzy kolejnymi łykami drinków.

Publiczność głośno oprotestowała tę propozycję. Obok przeszedł pies w przebraniu rekina, jego właścicielka trzymała w dłoni papierosa i piwo.

– Zagraj *Bobby McGee* – padła kolejna sugestia. Facet z gitarą przyjął to z zadowoleniem i zaczął grać.

Dwie kobiety w dżinsowych minispódniczkach, z papierosami i piwem w dłoniach zaczęły tańczyć. Było gorąco, wentylatory pod sufitem miały powietrze, ale nie przynosiło to żadnej ulgi. Na drewnianych ścianach ludzie wypisywali wiadomości i wycinali swoje imiona. Jak Beth i Mike, którzy ujęli je w serce. Dwie osoby grały w ping-ponga na tyłach.

E.T. rozglądał się wokół, z satysfakcją wspominając wydarzenia tego poranka. Wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Eva Rae

otrzymała filmik. Chciał, by zobaczyła, czego dokonał, upajał się myślą, że wie.

Lekko dotknął uda. Skóra pod nogawką dżinsów pulsowała tam, gdzie wcześniej wyrył słowo.

POKÓJ

Przez całe popołudnie oglądał wiadomości, wiedział, że Jeffa znaleziono w wywrotce i że został zabity, zanim zdołał przemówić. Wszystko układało się zgodnie z planem. Czternaście ofiar w domu opieki, jedna osoba w stanie krytycznym. Nieźle, ale wciąż mało. Tego samego dnia pewien koleś z Filipin wkroczył do kościoła i zabił pięćdziesiąt sześć osób, streamując wszystko na stronie. Jego film zdobył więcej wyświetleń niż relacja z domu opieki, co rozwścieczyło E.T.

Wiedział, że jest lepszy. I zamierzał to udowodnić.

Kiedy rozmyślał o następnym etapie swojego planu, według niego dzieła prawdziwego geniusza, dziewczyna, którą wyznaczył na centralną postać kolejnego stadium, wyszła z baru z piwem w dłoni. Usłyszała muzykę i zaczęła kołysać biodrami, a jej przyjaciółka uśmiechnęła się do jakiegoś koleśka na drugim końcu tarasu.

E.T. patrzył na nią, dopóki tego nie zauważyła. Kiedy na niego spojrzała, uśmiechnęła się i delikatnie podrapała się po policzku długimi, pomalowanymi paznokciami.

## Rozdział 49

Melanie Kagan kołysała powoli biodrami. Miała ochotę zatańczyć, ale nie chciała tego robić przy tych wszystkich ludziach. Jej przyjaciółka Ella się nie krępowała, tańczyła z dwiema innymi kobietami, trzymając piwo wysoko w powietrzu, podczas gdy mężczyźni wokół gwizdali i krzyczeli. Ella przyzywała Melanie gestami, ale ta pokręciła głową.

Nie, to nie było w jej stylu. Była na to zbyt nieśmiała. Nawet po alkoholu nie tańczyła. Nie tak jak one.

Jakiś facet się jej przyglądał, siedział tuż za nią. Pochlebilo jej, że patrzy na nią, a nie na seksowne tancerki. Nie była przyzwyczajona do takiej uwagi. Zazwyczaj mężczyźni patrzyli na Elle, nie na nią. Ten wydawał się natomiast zainteresowany tylko nią, nikim innym. Gapił się, a kiedy odwróciła głowę i odwzajemniła uśmiech, uniósł piwo w geście toastu. Zrobiła to samo, po czym oblała się rumieńcem i uciekła wzrokiem, odstawiła piwo na stół za swoimi plecami i zapaliła papierosa. Facet wydawał się znacznie starszy, musiał być po czterdziestce, podczas gdy Melanie miała dwadzieścia pięć lat, ale... Podobało jej się, jak na nią patrzył. Wyglądniałe spojrzenie, ten uśmiech. Bardzo to było miłe.

I tak nie poszłaby na całość z takim starym facetem, ale mogła trochę sobie pofolgować. Bądź co bądź on pewnie też miał żonę i rodzinę, a teraz chciał się tylko zabawić. Nie sypiała z facetami, których nie знаła, zwłaszcza jeśli była pewna, że do niczego to nie doprowadzi. Jej siostra zaszła w ciążę jako osiemnastolatka, bo popełniła ten właśnie błąd. Jej wybranek, wtedy trzydziestoletni, turysta, nigdy więcej się nie odezwał.

Nie. Melanie wiedziała, jak o sobie zadbać, wiedziała, na co uważać, ale lubiła się też zabawić. Mogła więc zabawić się z tym face-

tem, tylko odrobinę.

Kiedy piosenka dobiegła końca, wróciła Ella, cała spocona i rozemocjonowana. Koleś, z którym tańczyła, pociągnął ją za rękę, więc mrugnęła do Melanie.

- Nie masz nic przeciwko, prawda?

Melanie pokręciła głową.

- Ależ skąd. Baw się dobrze.

- Dzięki, skarbie. - Rozchichotana Ella odeszła ze swoim wybrankiem.

Melanie przez chwilę zastanawiała się, co chce robić dalej... Czy powinna podejść do faceta, który się na nią gapił? Kiedy się jednak odwróciła, okazało się, że zniknął. Rozczarowana, odstawiła piwo, spojrzała na zegarek i uznała, że równie dobrze może wrócić do domu.

Zeszła po stopniach z tarasu restauracji, a kiedy potknęła się na żwirowej ścieżce, uświadomiła sobie, że wypła chyba więcej, niż jej się wydawało.

Jakim cudem tak się upiła jednym piwem? Przecież nawet go nie skończyła.

Próbowała skupić wzrok na ścieżce, by znaleźć skrót przez zarośla do miejsca, gdzie mieszkała. Miała wrażenie, że ziemia ucieka jej spod nóg, wszystko wokół spowiła mgła.

Kiedy się zatoczyła na wysokich obcasach i poleciała na ziemię, dwie silne ręce schwyciły ją, zanim uderzyła głową w żwir.

## **Rozdział 50**

### *Wcześniej*

Zwolnili ją do domu. Na razie, jak zaznaczyli. Miała wrócić na kolejne przesłuchanie za dwa dni. Opiekę nad Jackiem przejął Departament Dzieci i Rodziny, umieścili go w domu tymczasowym, gdzie nie wolno go było odwiedzać, dopóki śledztwo nie dobiegnie końca.

Marlene przepłakała całą drogę do domu, zastanawiając się, co się dzieje z jej synem i kiedy znów będzie mogła się z nim zobaczyć.

Nie mogli ich przecież rozdzielić na zawsze.

A może mogli? Może tak należało postąpić? Jeśli jej mąż naprawdę znęcał się nad synem, a ona tego nie widziała, nie mogła przecież nazywać siebie dobrą matką. Nie mieściło jej się w głowie, że to wszystko działo się pod jej nosem, a ona niczego nie podejrzewała.

Jak mogła być taka ślepa?

A może wcale nie była ślepa? Może widziała znaki, tyle że je ignorowała? Może w głębi ducha wiedziała, co się dzieje? Może przymykała oczy, bo było to zbyt bolesne? Bo nie chciała widzieć?

Wydawało się to niemożliwe, a jednak...

Kiedy wjechała na podjazd, wzięła głęboki oddech na widok samochodu Bruce'a.

Wrócił do domu.

Czekał na nią w kuchni. Siedział na stołku przy blacie, twarz ukrył w dłoniach. Kiedy otworzyła drzwi i weszła do środka, podniósł głowę i spojrzał na nią, oczy miał czerwone.

– Marlene, dzięki Bogu jesteś.

Podbiegł do niej i chwycił ją w ramiona. Nie przytuliła się do niego. Kiedy ją puścił, odłożyła torebkę na mały stolik przy drzwiach, podeszła do lodówki, wyjęła z niej butelkę z resztką białego wina i wyciągnęła korek. Nalała sobie kieliszek, który opróżniła jednym haustem. Dolała sobie wina, wpatrując się w kurczaka, który leżał na blacie. Pies go nie zjadł. Ale już nie miała ochoty gotować. Chciała tylko pić wino. Nigdy nie była jego wielką koneserką, nie lubiła tracić nad sobą kontroli, ale teraz pragnęła, by krople otępiły każde włókno w jej ciele.

Musiała jakoś uciszyć rozwrzeszczane głosy w głowie.

Bruce zmierzył ją smutnym spojrzeniem.

– Mnie też przesłuchali. Zadawali pytania o moją relację z Jackiem. Raz po raz pytali o nasze zabawy na podwórku, co razem robimy, jak reaguję, kiedy mnie zdenerwuje, jak często go biję, czy używam do tego jakichś przedmiotów. Szaleństwo. Jakby wcześniej uznali, że znęcam się nad synem i nie zamierzali słuchać moich wyjaśnień. Co im powiedziałaś?

Odetchnęła powoli i potarła dłonią czoło.

– Prawie nic, bo przecież nic nie widziałam. Nigdy nie było mnie obok, kiedy to się działo.

– Zaraz... Wierzysz im?

Spojrzała na mężczyznę, którego aż do tej chwili gorąco kochała. Teraz czuła do niego już tylko odrazę. Widziała go oczami wyobraźni na podwórku, jak bił Jacka, kopał go, zamykał w szopie, do której nigdy nie chodziła. Jakby wiedział, że nigdy nie wyjdzie do ogrodu, bo taka była zajęta obowiązkami domowymi, no i mu ufała. Cieszyła się, że ojciec i syn spędzają razem czas, to było dobre dla chłopca. Uważała się za dobrą matkę, bo pozwalała im się razem bawić, bo ich do tego zachęcała. Była taka dumna z męża, że spędza czas z synem. Robił to, czego większość mężczyzn unikała. Priorytetem była



dla niego rodzina, a zwłaszcza syn. Jack dorastał, otoczony ojcowską opieką. Miał szczęście w porównaniu z tymi wszystkimi dziećmi, które nie miały ojca. Media ciągle trąbiły o tym, że w dzisiejszych czasach chłopcy są zaniedbywani i wyrastają przez to na seryjnych zabójców i sprawców szkolnych strzelanin, bo tyle w nich gniewu na cały świat, bo nigdy nie mieli ojców.

Jack był szczęściarzem. Tak zawsze myślała. Boże, była taką idiotką.

– M-muszę przyznać, że już nie wiem, w co mam wierzyć.

Zwiesił ramiona, jakby nagle uszło z niego całe powietrze, a z nim resztki nadziei.

– Ty... ty nie mówisz poważnie! – Głos mu się rwał. – Wierzysz, że mógłbym się znęcać nad synem? Nad naszym... moim synem? Jakiem? Nad chłopcem, którego kocham nad życie?

Z jej oka wypłynęła łza. Otarła ją i znów podniosła do ust kieliszek.

– Mówili takie rzeczy, Jack mówił im takie rzeczy, jak mam...

Bruce chwycił ją za ramiona. Nieco ją tym przeraził. Spojrzał jej prosto w oczy.

– Nie rozumiesz, że tego właśnie chcą? Zwrócić nas przeciwko sobie. Nie pozwól im wygrać. Musimy się w tym wspierać, Marlene. W przeciwnym razie tego nie przeżyję. Nie przetrwany tego. Musimy tworzyć wspólny front. Nie wierz im, Marlene. Proszę. Nigdy nie tknąłem tego dziecka palcem. Masz na to moje słowo. Musisz mi uwierzyć.

Znów westchnęła.

– Sama nie wiem, Bruce. Nie wiem już, w co wierzyć. Jestem taka skołowana. Wiesz, jak oni na mnie patrzyli? Jak na najgorszą matkę na świecie. Nie jestem taka, Bruce. Jestem dobrą matką. Zawsze byłam dobrą matką.

– Tak, tak. A ja jestem dobrym ojcem. Jesteśmy dobrymi rodzicami. Nie, więcej. Jesteśmy wspaniałymi rodzicami.

– Ale... skąd... dlaczego oni mówią takie rzeczy? – zapytała z płaczem. – Takie straszne, straszne rzeczy?

Wziął ją w ramiona. Miała wrażenie, że ściska ją nieco za mocno. Czuła przy nim dyskomfort.

– Nie wiem, skarbie. Ale dotrzemy do sedna sprawy. Skontaktowałem się z prawnikiem, który nam pomoże. Uporamy się z tym. Ze wszystkim. Nie możemy tylko zwracać się przeciwko sobie, słyszysz? Nie możemy.

## Rozdział 51

– To znowu on. Ja to wiem.

W poniedziałek pod wieczór siedziałam naprzeciwko śledczego McMillena w biurze szeryfa na stałym lądzie. Jeszcze dobrze nie usiadłam, a już zaczęłam mówić.

McMillen westchnął i odchylił się na oparcie krzesła.

– A skąd ten pomysł?

– Od razu to widać.

– Młoda dziewczyna znika po imprezie, a pani od razu myśli, że to ten pani zabójca ją porwał, choć nie mamy żadnego dowodu na jego istnienie?

Z powagą pokiwałam głową.

Wiedziałam, że mi nie wierzy, ale czułam, że muszę ich ostrzec, muszę komuś powiedzieć. Kiedy tylko usłyszałam, że Melanie Kagan zniknęła, zrozumiałam, że to znowu on.

– Tak.

– Pójdę pani na rękę. Założmy więc, że ten człowiek istnieje. Czy mogłaby mi pani wyjaśnić, dlaczego porwał tę młodą dziewczynę? Nie pasuje to do jego dotychczasowych działań, prawda? Oczywiście przy założeniu, że w ogóle istnieje, a nie jest tylko wytworem pani wybujałej wyobraźni.

– Porwał Allyson – odparłam. – Poza tym nie wiem jeszcze, jaki jest jego profil. Pracuję nad tym i dam znać, kiedy będę go mieć.

– Wie pani co, nie wszystko, co zdarzy się na tej wyspie, musi mieć związek z wielkim spiskiem uknutym przez zwyrodniałego zabójcę.

Westchnęłam poirytowana. Tę samą rozmowę odbyłam z siostrą tego ranka. Ona również uznała, że posuwam się za daleko w swoich

założeniach, bo powiedziałam, że Melanie została porwana przez mojego zabójcę. Ona również uważała, że nie wszystko, co się dzieje, musi od razu wiązać się z Allyson i naszym bratem.

Ku mojemu zdumieniu wsparł mnie za to nasz ojciec. Nie podo- bało mi się, że aż tak mnie wspiera, bo przecież nic od niego nie chciałam, ale uświadomił Sydney, że nie zaszkodzi przyjrzeć się sprawie, jeśli tego chcę.

– Daj spokój, tato – mruknęła Sydney. – Naprawdę w to wierzysz?

Tata pokiwał głową i spojrzał na mnie. Nasze oczy na chwilę się spotkały, a ja poczułam coś, czego nigdy wcześniej nie czułam, czego nie chciałam czuć, więc odwróciłam wzrok, aby tego uniknąć.

– Owszem – zadeklarował. – Jeśli wierzę w niewinność syna, mu- szę też wierzyć Evie Rae. A ja wierzę w jego niewinność. Zapewniam was, że mój syn, mój Adam nie chciał nikomu zrobić krzywdy.

Przechyliłam głowę i spojrzałam na McMillena.

– Dom opieki to również jego plan. Jestem pewna. Ci ludzie w ho- telu to też jego sprawka.

McMillen westchnął.

– Oczywiście, że tak.

– Przesłał mi ten filmik. Miał pan czas rzucić okiem?

Pokiwał głową.

– Tak, widzieliśmy go. Okropność. Nic dziwnego, że widzi pani rzeczy, których nie ma.

– No to jak pan wyjaśni to, że otrzymałam filmik?

Wzruszył ramionami.

– Facet, który to zrobił, słyszał o pani... wiedział, że jest pani na wyspie. Chciał, by pani to zobaczyła. Ale jakie to ma znaczenie? Ni- gdy się nie dowiemy dlaczego, ponieważ sprawca nie żyje.

– A gdybym powiedziała, że moim zdaniem to nie był sprawca?

McMillen wybuchnął śmiechem. Spodziewałam się tego. Nie zaskoczyło mnie to ani nie zezłościło. Byłam już ponad to, bo nie chodziło o mnie.

– Znów sobie pani różne rzeczy wyobraża. Poza tym filmik został przesłany z telefonu, który znaleźliśmy w ciężarówce. A wcześniej nim nagrany. To był telefon Jeffa Facera.

– Skąd pan to wie? Był na niego zarejestrowany, czy może był to numer na kartę, a pan założył, że skoro został znaleziony w ciężarówce, musiał do niego należeć?

McMillen nie odpowiedział i to mi wystarczało. Wstałam i uśmiechnęłam się triumfująco.

– Tak myślałam.

## Rozdział 52

Nie wróciłam do domu od razu. Po wyjściu z biura McMillena skręciłam w prawo do magazynu dowodów. Podobno mój telefon został już przebadany i mogłam go odzyskać. Skopiowali zawartość, nie potrzebowali samego aparatu.

Pokwitowałam odbiór, a kobieta za ladą poszła go poszukać. Kiedy czekałam, wyjrzałam przez okno i zauważyłam coś, co przykuło moją uwagę.

Na tyłach stała wielka czarna wywrotka MACK.

Kobieta wróciła z moim telefonem w folii i podała mi go. Wzięłam go, wyszłam na zewnątrz i podbiegłam do ciężarówki. Technik w kombinezonie i rękawiczkach zbierał odciski palców we wnętrzu, a ja podeszłam od strony maski.

Zajrzałam do środka, zanim mnie zauważył.

– Tak? Mogę w czymś pomóc?

– Fotel kierowcy był w takiej pozycji, kiedy znaleźliście ciężarówkę?

Technik zrobił zdziwioną minę.

– To znaczy?

– Czy przesuwaliście fotel kierowcy?

Był wyraźnie skonsternowany.

– Nie. Ciężarówka jest w dokładnie takim stanie, w jakim została znaleziona.

– I nikt nie przesunął fotela, żeby łatwiej było pracować w środku?

Technik pokręcił głową.

– Nie. Wszystko jest tak, jak było.

Pokiwałam głową, zadowolona z odpowiedzi.

- Znaczy, że to samo tyczy się ustawienia lusterek i kierownicy?
- Tak, wszystko to wszystko.
- Świetnie. Dziękuję.
- Nie ma za co.

Kiedy pędziłam do drzwi, sięgnęłam po telefon. Już miałam zadzwonić do Matta, z przyzwyczajenia, ale powstrzymałam się z ciężkim sercem. Wbiłam wzrok w jego imię na wyświetlaczu.

Czy to był koniec? A może czekał na mój ruch? Chciałam jego czy chciałam naprawić relację z Chadem? Może uciekałam od tego wszystkiego w uganianie się za zjawami? Może moje zaangażowanie w tę sprawę to był rodzaj ucieczki? Bo nie chciałam podjąć decyzji?

Wsiadłam do samochodu, zapaliłam silnik i wyjechałam z parkingu. W mojej głowie trwała gonitwa myśli, kiedy mijałam mokradła. Im więcej wiedziałam o tym człowieku, tym bardziej byłam przekonana, że uważa, iż to wszystko ujdzie mu na sucho, że zdoła się nadal ukrywać, że upiecze mu się, nawet kiedy się przede mną zdemaskuje, śmiejąc mi się w twarz.

Pytanie brzmiało: dlaczego? Dlaczego to robił? Czego było trzeba, aby go powstrzymać?

Mój chłopak miał mnie dość, moja rodzina miała mnie dość. Czy stracę wszystko, próbując go złapać? Czy w ogóle było warto?

Oczywiście, że było. Zabójca myślał, że jest za mądry, by dać się złapać. A to pokazywało jedno: w ogóle mnie nie znał.

## Rozdział 53

– Może wykapiemy się w basenie, co, synu? Idziesz ze mną?

Matt wpatrywał się w Elijaha. Chłopiec siedział na kanapie w salonie, nogi podwinął pod siebie, na kolanach trzymał iPada. Nawet nie spojrzał na ojca.

– Elijah?

Matt westchnął głęboko. Chłopiec ignorował jego istnienie. Z matką Matta uwielbiał przebywać i – szczerze mówiąc – Matt miał już tego dość. Chciał, by z synem łączyło go to, co Chada z Alexem.

Na samą myśl o Chadzie krew się w nim zagotowała. Naprawdę nie znosił tego gościa. Nie mógł uwierzyć, że wyjechał, że zostawił Evę Rae w ramionach tego idioty.

Tak należało postąpić. Byli prawdziwą rodziną i znów mogli się nią stać, jeśli Matt nie będzie wchodzić im w drogę.

To było słuszne, szlachetne rozwiązanie.

Teraz miał cały dzień wolny, ponieważ Annie kazała mu odpocząć, ale jego syn, jego własny syn nie chciał spędzać z nim czasu, nie chciał z nim rozmawiać. Choćby Matt go błagał.

Żałosne. Czuł się jak głupiec. Może po prostu nie nadawał się na ojca.

– No to idę sam. – Odwrócił się i podszedł do drzwi tarasowych. Zatrzymał się przed nimi na chwilę, po czym je rozsunał. Liczył na to, że Elijah go zatrzyma, poprosi, by Matt zaczekał, bo jednak chce z nim iść.

Niestety. Chłopiec dalej siedział na kanapie, grał w jakąś głupią, bezużyteczną gierkę na iPadzie. Nic innego nie robił codziennie po szkole i w weekendy.



– Bardzo dużo przeszedł – mówiła babcia, kiedy Matt skarżył się, że chłopiec z nim nie rozmawia, i zastanawiał się, czy nie odebrać mu iPada. – Daj mu czas.

Dał mu już jednak dość czasu, prawda? Minęło tyle miesięcy, a chłopak dalej ani trochę nie interesował się ojcem. Może tak już miało zostać. A jeśli Elijah nigdy więcej się do niego nie odezwie?

Czy Matt stosował błędne podejście? Może należało je zmienić?

Często myślał, że powinien być surowszy, może ukarać chłopca, nakrzyczeć na niego, kiedy nie odpowiadał, ale to nie było w jego stylu. Nie był nerwusem, rzadko podnosił głos.

Nie nosił w sobie gniewu. Nie taka była jego natura. Może zbyt łatwo ulegał, ale nie wierzył w krzyczenie na dzieci i kary cielesne. Krzyk też był przemocą, zawsze tak uważał. Ojciec krzyczał na niego przy każdej możliwej okazji i Matt stracił przez to dla niego cały szacunek. Kochał go, pewnie, tęsknił za nim codziennie, odkąd ojciec zmarł na raka płuc, ale jego zdaniem to nie był wzorzec. Wierzył, że Elijah w końcu się do niego przekona, jeśli tylko on będzie dla niego miły, będzie z nim rozmawiać. Dlaczego dzieciak był taki oporny?

„Wini cię za śmierć matki, przecież to wiesz, Matt”.

Wyszedł na zewnątrz i zasunął za sobą drzwi. Pod jego powiekami wezbrały łzy, kiedy wskoczył do wody.

„Potrzebuję cię, Evo Rae. Nie jestem pewien, czy zdołam żyć bez ciebie”.

## Rozdział 54

– Jak było?

Sydney podniosła wzrok znad scenariusza, kiedy weszłam do domu babci. Siedziała w salonie, ćwiczyła rolę. Ostatnio nic innego nie robiła.

– W biurze szeryfa?

Powoli wypuściłam powietrze.

– Świetnie! Ich zdaniem jestem wariatką, ale przecież to nic nowego, prawda? Wydaje się, że to dość powszechna opinia w tej okolicy. Odzyskałam telefon. To już coś.

– Przykro mi, że ci nie wierzą.

– Dlaczego? Przecież sama mi nie wierzysz.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Powiedziałaś coś w tym stylu, i to z przekonaniem.

Zmarszczyła czoło.

– Wcale nie. Oczywiście, że ci wierzę.

Roześmiałam się.

– Musisz jeszcze poćwiczyć, siostró. Nie byłaś przekonująca.

Wzięła głęboki oddech.

– Próbowałam powiedzieć, że może nie wszystko, co się dzieje wokół nas, ma związek z twoją sprawą. Może niektóre wydarzenia to są przypadki.

Tym razem to ja zmarszczyłam nos.

– Nie lubię tego słowa. Nie wierzę w...

– Przypadki, wiem, wiem. Chciałam powiedzieć, że moim zdaniem w historii Adama jest coś więcej, niż się wydaje policji. W to

nadal wierzę. Nie zgrywaj więc przede mną największej outsiderki we wszechświecie. Bo nią nie jesteś.

– Wierzysz w to, nie wierzysz w całą resztę. Super.

Podeszłam do schodów i już miałam wejść na pierwszy stopień, kiedy Syd dodała:

– Chad zabrał dzieciaki na plażę. Kazał ci przekazać, że możesz do nich dołączyć, jeśli chcesz.

Spojrzałam na zegarek. Zrobiło się późno, wcale nie chciałam iść na plażę, ale czułam, że dla dobra rodziny powinnam. Znalazłam strój, spakowałam torbę i pojechałam do nich. Dzieciaki bawiły się na piasku z ojcem. Zatrzymałam się parę metrów od nich i przez chwilę się im przyglądałam. Dziewczynki zakopywały w piasku Alexa. Pewnie bawiło je to, że brat nie może się ruszać i że mogą go teraz bezkarnie prowokować. Nawet Olivii poprawił się humor. Alex piszczał z radości, dopóki Christine nie obsypała mu piaskiem twarzy. Wtedy zaczął płakać. Chad kazał jej przestać.

– Przepraszam – mruknęła Christine.

Poczułam ucisk w sercu. Obecność Chada w życiu dzieci to było błogosławieństwo. Doskonale wiedział, jak sobie z nimi radzić, a ja oddychałam z ulgą, że cała odpowiedzialność nie spoczywa już tylko na mnie. Jakby ktoś zdjął z moich barków wielki ciężar.

Już nie byłam sama.

Kiedy podeszłam bliżej, zauważyła mnie Olivia.

– Mama!

Odłożyłam torbę. Chad podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Jupi, mama przyjechała.

– Mama. Mamo! Patrz na mnie – zawołał Alex.

– O Boże. Nie masz ciała! Trzeba wezwać policję. Ktoś ukradł twoje ciało.

To go rozśmieszyło. Mnie też. Nie dlatego, że było śmieszne, lecz dlatego, że byłam szczęśliwa. Czas spędzany z rodziną dawał mi szczęście.

Zostaliśmy na plaży jeszcze dwie godziny, do zachodu słońca, a kiedy wracaliśmy do domu, poczułam nowe dla mnie doznanie spełnienia, przynależności. Od wieków moje dzieci nie były takie radosne.

Weszłam do pokoju, położyłam torbę na podłodze i zauważyłam, że w fotelu w ciemnościach siedział mój tata i wpatrywał się w ścianę z moimi zdjęciami i notatkami.

- David? - prawie pisnęłam. - Przestraszyłeś mnie. Co ty tu robisz?

## Rozdział 55

David nawet nie drgnął. Nie spojrzał na mnie, kiedy do niego podeszłam. Siedział z rękami splecionymi na wysokości twarzy, wydawał się zamyślony. Kiedy w końcu mnie zauważył, jego oczy płonęły.

– Davidzie, dobrze się czujesz?

Zacisnął wargi.

– Kiedy go widzę w takim stanie, Evo Rae, to jak... tortury.

Pokiwałam głową.

– Jeśli w grę wchodzi nasze dzieci...

Urwałam, bo do oczu napłynęły mi łzy, kiedy pomyślałam, co bym czuła, gdyby to jedno z moich dzieci tam leżało.

– Z Adamem mi się udało, wiesz? Był moją drugą szansą, okazją, żeby to zrobić dobrze. Byłem doskonałym ojcem, byłem wszystkim tym, czym nie mogłem być dla ciebie ani nawet dla twojej siostry. Z Sydney to było... cóż, obu wam spastrałem życie, prawda? Z Adamem miało być inaczej. Z nim miałem czyste konto, tak dobrze nam szło. On sobie tak świetnie radził. Był dobrym uczniem, miał szóstki i piątki, czasami jakąś czwórkę, ale był dobrym uczniem. Nie pakował się w kłopoty. Miał znajomych. Miał uroczą dziewczynę, którą uwielbiał. Biegał amatorsko, właśnie przyjęli go do reprezentacji szkoły. Wiem, że nie ma w nim zła, znam swoje dziecko. A teraz leży tam, całkiem bez życia, a jeśli się obudzi, zabiorą mi go. Spędzi większość życia w więzieniu za coś, czego nie zrobił. Nie zabił Allyson, nie zabił jej.

– Hej, ja ci wierzę. Wiesz, że ci wierzę. – Westchnęłam. – Ale jakoś nie mogę nikogo więcej przekonać.

– Chcę go złapać. Tak bardzo chcę złapać tego, kto zrobił to mojemu synowi. Może zdołam ci jakoś pomóc? Powiedz mi, co masz.

Chcę pomóc. Nie mogę tylko siedzieć w szpitalu i czekać. Dłużej tego nie zniosę. Muszę coś zrobić.

Patrzyłam na niego. Czy chciałam jego pomocy? Czy byłam w stanie odsunąć od siebie gniew na tyle, by zachowywać się wobec niego w cywilizowany sposób? Czy byłam w stanie znieść jego obecność?

Powoli odetchnęłam. Nie mogłam zignorować tego, że ojciec pragnie ratować syna. Nikt tak dobrze jak ja nie znał tego uczucia.

– No dobra. – Podeszłam do ściany, którą wykleiłam samoprzylepnymi karteczkami. Sięgnęłam po jedną z nich i pokazałam mu ją. – Nazywam go Pasożytem. Bo wierzę, że wykorzystuje innych, obarcza ich winą za swoje zbrodnie. Jest jak pasożyt, wykorzystuje ludzi do własnych celów, nic nie daje w zamian, wyczerpuje zasoby innych, a potem ich zabija. Jak pijawka.

Ojciec posłał mi słaby uśmiech. Nie próbowałam go rozbawić ani pocieszyć, tłumaczyłam tylko, jak działa ten człowiek... jak moim zdaniem udało mu się tak długo pozostać w cieniu i unikać zdemaskowania.

– To jedyna prawidłowość w jego postępowaniu, którą na razie widzę – kontynuowałam. – To, jak aranżuje swoje zbrodnie: żeby wyglądały tak, jakby popełniali je inni. Nieważne, do czego się posunie, nikt nie chce w to uwierzyć. Nikt nie posunąłby się tak daleko. Takimi słowami reagują ludzie, kiedy próbuję im to uświadomić. Wydaje się to niemożliwe, to tylko takie moje spekulacje albo w ogóle zwidy. Do tego stopnia jest sprytny. To jest jego talent, jeśli można to tak nazwać.

Tata powoli pokiwał głową.

– Moim zdaniem brzmi to sensownie. Masz już jakichś podejrzanych?

– W tym właśnie problem. – Podeszłam do biurka i sięgnęłam po zdjęcie wydrukowane z Facebooka. – To jest pan Jenkins. Ma czterdzieści pięć lat, mieszka tutaj, na wyspie, z żoną i dzieckiem, pracuje w hotelu Ritz-Carlton jako barman. To jest mój główny podejrzany.

David spojrział na zdjęcie, a potem na mnie.

– Dlaczego on?

– Spotykał się z Allyson za plecami Adama. Adam się dowiedział i zdaniem policji to go popchnęło do zbrodni. Ich zdaniem to jest motyw zabójstwa i strzelaniny w szkole. Jenkinsa łączy coś zarówno z Allyson, jak i ze zgonami w hotelu Ritz-Carlton. Pracuje tam.

– Rozumiem. – David uważnie wpatrywał się w fotografię. – Uważasz, że to, co wydarzyło się w domu opieki, to też jego sprawka? Dlaczego?

– Jest ten filmik, który mi przesłał. Nikt normalny nie nagrałby czegoś takiego, a potem wysłał, chyba że po to, by mnie sprowokować, by mi powiedzieć: patrz, co robię, nikt ci nigdy nie uwierzy. Robi się coraz bezczelniejszy, bo widzi, że wszystko uchodzi mu na sucho, bo nikt nawet nie podejrzewa, że to wszystko jest powiązane.

– Nikt poza tobą.

– Dokładnie. Ale mnie nikt nie wierzy, a jego to bawi. Prowokuje go to do kolejnych kroków, do przyspieszania, do zabijania częściej i więcej, bo uważa się za niezwycięzonego, nietykalnego. To bardzo niebezpieczne, bo nie wiemy, jaki będzie jego następny ruch. Nie ma żadnej określonej metody działania, więc niczego nie wywnioskuję. Ale coś jeszcze każe mi wierzyć, że to on stoi za tym, co się wydarzyło w domu opieki. Obejrzałam tę ciężarówkę, kiedy byłam w biurze szeryfa po telefon. Zajrzałam do środka. Niemożliwe, żeby to Jeff Facer siedział za kółkiem. Spójrz.

Pokazałam mu zdjęcie zrobione komórką, kiedy technik nie patrzył.

– Spójrz na ustawienie fotela kierowcy i lusterek. Uczę Olivie, moją najstarszą córkę, prowadzić. Ma o wiele dłuższe nogi ode mnie, jest wyższa, więc za każdym razem musi sobie poprawiać fotel, żeby nie uderzać kolanami w kierownicę. Jeff Facer był wysoki, miał długie nogi. Spójrz na to zdjęcie z gazety. Miał metr dziewięćdziesiąt trzy. Nie ma mowy, żeby taki wysoki facet usiadł w tym fotelu i prowadził. Nie ma mowy.

– Myślisz więc, że osoba, która prowadziła ciężarówkę, a potem posadziła za kółkiem Jeffa Facera, żeby znalazła go policja, miała krótsze nogi?

– Tak. Jak pan Jenkins. On ma sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, więc z łatwością by się tam zmieścił. Ktoś tego wzrostu wjechał ciężarówką w dom opieki i zabił tych wszystkich ludzi. To nie był Jeff. Pasożyt wiedział jednak, że kiedy tylko znajdą ciężarówkę z kierowcą, policjanci będą w takim stanie emocjonalnym, że go zabiją. Na to liczył.

– Jak w przypadku Adama. – David się rozpromienił. – To jest taki sam przypadek. Pasożyt wiedział, że w szkole jest funkcjonariusz, bo są we wszystkich szkołach od strzelaniny w Parkland. Wiedział, że Adam zostanie zastrzelony, że jego obwinia o śmierć Allyson i inne ofiary w szkole.

– Na szczęście jednak Adam był mądry. Nie mierzył w ludzi. Zamknął oczy i wycelował w ścianę pod samym sufitem, nikogo nie trafił.

– Ale dlaczego? – zapytał David. – Tego właśnie nie rozumiem. Dlaczego to zrobił?

Odetchnęłam głęboko.



– Moim zdaniem Pasożyt porwał Allyson w noc imprezy na plaży i zagroził Adamowi, że ją zabije, jeśli Adam tego nie zrobi. To dlatego Adam ścisnął jej zdjęcie w dłoni, kiedy wszedł do stołówki. Nie chciał tego zrobić, ale nie widział innego wyjścia. Wierzył, że to jedyny sposób, by uratować jej życie. Oczywiście Pasożyt i tak ją zabił.

David pokiwał głową.

– To ma sens. To jedyny powód, dla którego mój syn zrobiłby coś tak strasznego. Z miłości.

Usiadłam z westchnieniem.

– To wyjaśnia też, dlaczego Allyson została znaleziona w kontenerze. Przestała być potrzebna. Spełniła swoją funkcję, więc ją wyrzucił. Gdybym tylko mogła porozmawiać z policjantami, którzy próbowali aresztować Jeffa Facera i w rezultacie go zastrzelili... Biuro szeryfa nie zamierza współpracować. Naprawdę mnie tam nie znoszą.

David podniósł głowę, na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– W tym akurat chyba mógłbym pomóc.

## Rozdział 56

Palace Saloon znajdował się w centrum Fernandina Beach. Był to podobno najstarszy bar na Florydzie, mówiono, że stuletnie duchy piją tu za zdrowie gości.

Bajeczka o duchach mnie nie przekonywała, nawet jeśli część bywalców wyglądała, jakby musiała opędzać się od zjaw z przeszłości. Należał do nich zastępca szeryfa Griffins. Siedział sam w kącie, a przed nim stała wysoka szklanka z niedopitym piwem. Wpatrywał się w telewizor, w którym toczyła się jakaś rozgrywka. Nie śledził jej zbyt uważnie.

David podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu. Powiedział mi, że zna Griffinsa od lat, ich dzieciaki wychowywały się razem, były w tym samym wieku.

– Mark?

Griffins się uśmiechnął. Widać było, że przesadził z alkoholem. Miał zamglony wzrok.

– David, brachu.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym tata mnie przedstawił.

– To moja córka.

Dziwnie było słyszeć taką prezentację, wiedziałam, że upłynie dużo czasu, zanim się do tego przyzwyczaję. Wyciągnęłam rękę, a Griffins ją uścisnął.

– Miło mi.

– Napijcie się czegoś? – wybełkotał zastępca szeryfa.

Tata zamówił piwo dla całej trójki. Wolę wino, ale nic nie powiedziałam. Nie przyszedłam tu pić.

– Jak się trzymasz? – zapytał David. – Po tym, co się stało?

Posadził mnie na środku, żebym wszystko słyszała.

Griffins pokręcił głową i upił łyk piwa.

– Dali mi tydzień wolnego.

– No to nie najgorzej. Trochę wolnego dobrze ci zrobi po czymś takim.

– To pan dorwał Jeffa Facera, prawda? – wtrąciłam. – Czytałam o tym.

Mężczyzna przytaknął, z dumą, ale też ciężkim sercem, to było widać.

– Sięgnął po broń? – dopytywałam.

Odwrócił wzrok. Dopił piwo i zamówił następne. Widać było, że jest pijany, z trudem trzymał pion na stołku, ciągle zsuwał się na bok. Zapadła dłuższa cisza, przez chwilę szeryf oglądał telewizję, po czym szepnął:

– Nie było żadnej broni.

– Nie było? – Poczulałam, że mój puls przyspiesza.

– Wydawało nam się. Tylko nie mówcie nikomu. – Zbliżył palec do ust, ale miał problemy z ich dotknięciem. – Kazali nam zachować to dla siebie.

– Ona też jest gliną – wtrącił David. – Możesz jej zaufać.

Griffins spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

– Koleżanka po fachu, co? Kto by pomyślał? Taka kruszyna?

– Mała, ale groźna – oświadczył David.

– Mogę o coś zapytać?

Nadeszło jego kolejne piwo. Griffins upił łyk, po czym pokiwał głową.

– P-pewnie.

– Zwrócił pan uwagę na paznokcie?

– Paznokcie?

– Paznokcie Jeffa Facera.

Kolejny łyk piwa.

– Co z nimi?

Pochyliłam się, żeby nikt mnie nie usłyszał.

– Były zerwane?

Griffins znów umilkł. Napił się, po czym odstawił szklanę. Prawie spadł ze stołka, aż w końcu pokiwał głową.

– Była... krew. Spływała mu po rękach. Podobno sam to sobie zrobił, zanim... no wiesz, wsiadł do tej ciężarówki i wjechał w... Może mu odbiło, no nie? Nadal nie mogę... Myślę sobie, kto robi coś takiego? Kto sam sobie wyrywa paznokcie? To musi cholernie boleć.

– No to może nie zrobił sobie tego sam – wymamrotałam, próbując ukryć entuzjazm. W końcu zidentyfikowałam jego metodę działania. Zrywanie paznokci było cechą charakterystyczną Pasożyta. Wiedział, że to ryzykowne, ale i tak to robił, bo musiał jakoś oznaczyć swoje ofiary, musiał je napiętnować.

Po raz pierwszy Pasożyt okazał słabość.

Spojrzałam na Griffinsa, który ostatecznie stracił równowagę i przechylił się do tyłu. David złapał go w ostatniej chwili.

– Chyba musimy odwieźć go do domu – powiedziałam. – Wiesz, gdzie mieszka, tak?

David skinął głową, zarzucił sobie rękę Griffinsa na szyję i posłużył mu wsparciem. Nieraz widziałam stróżów prawa przegrywających walkę z alkoholizmem z powodu pracy. To było straszne, nawiedzało mnie w koszmarach. Często się zastanawiałam, czy mnie również spotka. Biorąc pod uwagę to, co do tej pory widziałam, cud, że jeszcze mnie nie dopadło.

## Rozdział 57

Odwieźliśmy Griffinsa i wróciliśmy do domu, gdzie Chad z dziećmi przygotowali wyborną kolację ze stekiem, tłuczonymi ziemniakami i sałatką Cezara. Zjedliśmy razem w jadalni Eileen, a ja uświadomiłam sobie, że uwolniłam się w jakiejś części od gniewu na Davida i po prostu cieszę się, że jesteśmy razem. To było wspaniałe, niczym spełnienie marzeń, widać było, że dzieciaki są równie szczęśliwe jak ja.

Nie mogłam jednak przestać myśleć o mamie. Próbowwała unieвозмоżliwić mi nawiązanie relacji z ojcem, powiedziała, że nic dobrego z tego nie wyniknie, że tylko zostanę zraniona.

– Bo on taki jest – podkreśliła. – Rani ludzi, których kocha.

Z tego powodu prawie zostałam w domu, lecz teraz cieszyłam się, że postanowiłam pojechać.

Posprzątaaliśmy po posiłku, ułożyłam Alexa do snu i wyszłam posiedzieć na werandzie z kieliszkiem wina. Rozkoszowałam się rykiem oceanu w oddali i szmerem cykad w drzewach nad moją głową. Ciepłe, wilgotne powietrze muskało moją twarz. Trudno było uwierzyć, że gdzieś tam na Atlantyku szaleje tropikalna burza, która przyniesie chaos i zniszczenie, jeśli przemieści się bliżej lądu. Przez całe popołudnie mówiono o tym w telewizji. Cyklon ochrzczono imieniem Damian. Modele komputerowe pokazywały, że zostanie na morzu, ale powoli zbliżał się do wybrzeża, gdzie mógłby przybrać postać huraganu. Dla mieszkańców Florydy nie było to zaskoczenie o tej porze roku. Nie tęskniłam za tym, kiedy mieszkałam w Waszyngtonie. Tu zawsze towarzyszyła ci niepewność – czy się pakować, bo zostało kilka godzin na ucieczkę, czy może jednak zostać, bo huragan przejdzie bokiem nawet bez deszczu. Trzeba było przygotować się na oba scenariusze, a do tego żyć, jak gdyby nigdy nic,

dopóki nie zyskało się pewności, co należy zrobić. Czasami doprowadzało mnie to do szału.

Piłam wino, kiedy Chad usiadł obok mnie, również z kieliszkiem w dłoni.

– Miło tutaj – powiedział.

Uśmiechnęłam się.

– To prawda.

Upił łyk, a potem odetchnął. Odwrócił się, by na mnie spojrzeć.

– Jutro wracamy z dziećmi do domu. Poradzisz sobie bez nas?

Roześmiałam się lekko.

– Chyba tak, ale cudownie było mieć was wszystkich tutaj. Dziękuję za tę niespodziankę. To było bardzo miłe z twojej strony.

– Nie ma za co dziękować.

– Nie, naprawdę jest, Chad. Wykazałeś się wyjątkową życzliwością. Dzieci naprawdę się cieszyły, że jesteśmy razem. Ja też, jeśli mam być szczerą.

– Cóż, może powinniśmy robić to częściej. – Nagle spoważniał. – To znaczy, być razem.

– Tak, jasne. Kiedy już wrócę do domu.

– Nie o tym mówię. – Spojrzał mi prosto w oczy, wyraz jego twarzy się zmienił. Wziął mnie za rękę. – Chodzi mi o to, żeby być razem na poważnie.

– Chad, to...

Pocałował grzbiet mojej dłoni.

– Tęsknię za tobą, Evo Rae.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, pochylił się i pocałował mnie. Z początku byłam tak zaskoczona, że nie wiedziałam, co robić, ale potem okazało się, że naprawdę mi się podoba i się poddałam. Jego

usta wydawały się takie miękkie, pachniał i smakował plażą i słoną wodą. Zamknęłam oczy i odwzajemniłam pocałunek.

Kiedy nasze usta się rozdzieliły, ujął moją twarz w dłonie i spojrział mi głęboko w oczy.

– Mówię poważnie, Evo Rae. Chcę cię odzyskać. Chcę, byśmy znów byli rodziną. Zrozumiałem, że nie mogę żyć bez ciebie i dzieci. To, co zrobiłem, było głupie. Śmieszne. Kryzys wieku średniego, którego rozpaczliwie żałuję. Postąpiłem jak idiota i chcę, byś wiedziała, że bardzo mi z tego powodu przykro.

Wpatrywałam się w byłego męża, zastanawiając się, czego się najadł. Dlaczego nagle mówił wszystko to, co powinien, wszystko, na co czekałam rok temu?

Powoli wypuściłam powietrze.

– Nie wiem, co powiedzieć, Chad.

– Powiedz, że ty też tego chcesz, bo wiem, że chcesz. Widzę to w twoich oczach. Jesteśmy dobrą drużyną. Jesteśmy dobrą rodziną. Tak, oddaliliśmy się od siebie w tych ostatnich latach, bo bardzo dużo pracowałaś, może ja też nie zrobiłem nic, aby coś na to poradzić, zwłaszcza skoro postanowiłem cię ukarać, nawiązując romans. Ale poradzimy sobie z tym. Wiem, że tak będzie. Stać nas na więcej, Evo Rae. O wiele więcej.

Przełknęłam ślinę. Naprawdę nie wiedziałam, jak zareagować. Byłam taka skołowana. Myślałam o Matcie, o tym, co powiedział mi na tej samej werandzie: uważał, że stoi na drodze ponownemu zjednoczeniu rodziny, a tego nie chciał. Ja też tego nie chciałam. Lubiałam mieć rodzinę.

Czy rozwiązanie naprawdę jest takie proste?

– Powiedz, że dasz mi jeszcze jedną szansę – kontynuował Chad. – Zapewniam cię, że kryzys wieku średniego już za mną. Kimmie to przeszłość, dziś wiem, że byłem głupcem, kiedy zaprzepąściłem to,

co miałem. Jestem gotów błagać cię na kolanach, żebyś przyjęła mnie z powrotem, jeśli to konieczne.

– Nie, proszę.

– Powiedz mi w takim razie, co mam zrobić. Bo widzę to w twoich oczach, kurczę, czułem to nawet w tym pocałunku. Pragniesz tego równie mocno jak ja.

Może tak. Może tak jest. Ale czy odważyłabym się znów mu zaufać?

– Nie, nie odpowiadaj od razu. Zastanów się. Może mógłbym tu wrócić z dziećmi za tydzień. Wtedy dasz mi odpowiedź. A w międzyczasie się zastanów. Pomyśl, jak mogłoby nam być cudownie.

Pocałował mnie znowu, po czym wstał i podszedł do drzwi. Spojrzał na mnie jeszcze, westchnął i wszedł do środka. Ja zostałam na werandzie, objęłam się ciasno ramionami. Czułam się tak, jakbym właśnie zdradziła Matta.

Ale przecież to on wyjechał. To on powiedział, że powinnam wrócić do Chada. Nie chciał stać na drodze mojemu szczęściu. To było nieuczciwe także wobec niego. Jeśli nie skończyłam jeszcze z Chadem, nie mogłam być w prawdziwym związku z Mattem.

Dopiłam wino i odsunęłam od siebie wszelkie pytania. Zmusiłam się do myślenia o czymś innym i szybko zaprzętnęła mnie Melanie Kagan, porwana dziewczyna. Gdzie teraz była, jakie plany miał wobec niej Pasożyt? Jakiegokolwiek były, czułam, że musi to być coś pasywnego. Pasożyt ani myślał zwolnić tempa. Każdy jego czyn musiał być bardziej odrażający niż poprzedni.



## Rozdział 58

### *Wcześniej*

Marlene nie mogła zasnąć. Setki myśli przebiegały jej przez głowę, nie potrafiła ich uciszyć na tyle, by dały jej pospać. Analizowała każde wspomnienie, kiedy Jack był z Bruce'em. Rozpaczliwie szukała wspomnień tych wydarzeń, kiedy byli we troje.

Pogrzeb jego babci. Bruce nakrzyczał na Jacka w samochodzie w drodze powrotnej, bo nie potrafił zachować ciszy w kościele. Zbił go wtedy? Może kiedy wrócili do domu, a ona nie patrzyła?

Czy to naprawdę możliwe, by wszystko rozgrywało się bez jej wiedzy? Przez kilka lat?

W końcu uznała, że ma dość leżenia, i wstała. Zeszła na dół po szklanek wody. Kiedy piła, przeglądała się w szybie. Postarzała się. Jej odbicie nie było ładne. Nagle poczuła nienawiść do siebie.

Czy przez cały ten czas robiono z niej idiotkę? Czy przez te wszystkie lata była zdradzana? Czy dała się zwieść iluzji, że tworzą szczęśliwą rodzinę?

Odstawiła szklanek, przeszła do salonu i zaczęła oglądać fotografie na ścianach. Zatrzymała się przy tych zrobionych na łodzi sąsiada, kiedy Jack miał cztery lata. Przypomniała sobie delfina, który wyskoczył z wody, kiedy pędzili na pełnej prędkości. Jack po raz pierwszy zobaczył wtedy delfina, był zachwycony. Bruce posadził go sobie na ramionach, żeby synek widział lepiej, Marlene tak bardzo się bała, że go upuści. Wyśmiali obaj jej strachliwość. Często tak robili: tworzyli front przeciwko niej.

Czy to wszystko było kłamstwo?

Z westchnieniem zawróciła do sypialni. Czuła łzy wzbierające pod powiekami, kiedy rozmyślała o tym, co się wydarzyło. Potwornie tęskniła za Jackiem, nie mogła znieść myśli, że nie ma go z nią w domu.

A jeśli już nigdy nie wróci?

Nie przeżyłaby tego.

Naprawdę nie wiedziała, co myśleć. Kochała Bruce'a tak gorąco przez te wszystkie lata, tak wiele ich łączyło. Czy miała teraz to wszystko odrzucić? Tak po prostu? Czy nie powinna trwać przy mężu na dobre i na złe? Oczywiście, że tak, ale jak to zrobić, jeśli oznaczało to krzywdę ich syna? Kiedy oznaczało to zdradę.

„Nie, muszę mu zaufać. Oni się mylą. To nie może być prawda. To po prostu nie może być prawda”.

Usiadła przy stole w jadalni i spojrzała na laptop męża. Zastanawiała się przez kilka minut, rozważała różne za i przeciw, aż w końcu poddała się pokusie.

Podniosła wieko i zalogowała się hasłem, którego używał do wszystkiego, głuptas.

Otworzyła przeglądarkę i przejrzała historię. Strona sprzedająca lodówki. Nic w tym dziwnego, bo rozpaczliwie potrzebowali nowej, wielokrotnie prosiła Bruce'a, by to załatwił.

Czując wstyd i wyrzuty sumienia, zamknęła przeglądarkę. Sama nie wiedziała, czego w ogóle szuka. Wpatrywała się w pulpit przez kilka minut. Zauważyła małą ikonę, której nie знаła. Ciekawość zwyciężyła. Kliknęła w nią.

Pewnie to coś związanego z pracą.

Kiedy przeglądała zawartość folderu, walcząc z przemożnymi mdłościami, zrozumiała, że jej życie nieodwracalnie się zmieniło.

Ona nieodwracalnie się zmieniła.

## Rozdział 59

Postanowiliśmy go śledzić. Siedzieliśmy z Davidem w moim minivanie. Jenkins wyszedł z domu i wsiadł do białego samochodu. Rano pożegnałam się z dziećmi i Chadem, którzy wrócili do Cocoa Beach. To David zasugerował, że powinniśmy pojeździć za Jenkinsem, a ja nie zaprotestowałam. Miałam złe przeczucia co do tego faceta. Jeśli porwał Melanie Kagan, tylko my mogliśmy jej pomóc.

– Jest w rejestrze – poinformował mnie David tego ranka, po tym jak poprosił mnie na bok przed śniadaniem. – Sprawdziłem go, jego nazwisko jest w rejestrze przestępstw na tle seksualnym.

– To nigdy nie jest dobry znak – odparłam. – Ale pasuje do niego jako naszego głównego podejrzanego.

Teraz więc pojechaliśmy za nim, kiedy udał się do miejscowego Winn Dixie. Weszliśmy za nim do środka i udawaliśmy, że robimy zakupy, nie spuszczać go z oka. Napełnił wózek, zapłacił i wyszedł. Też zapłaciliśmy za kilka produktów, po czym pobiegliśmy do mojego samochodu, zanim Jenkins ruszył. Pojechaliśmy za nim do domu, gdzie wniósł zakupy do środka. Zjedliśmy to, co kupiłam, w minivanie, przyglądając się domowi, w którym panował spokój. Jenkins pojawił się dopiero późnym popołudniem. Kiedy jego córka i żona wróciły, wybiegł i wsiadł do samochodu.

Pojechał do starego domu przy plaży i zaparkował w garażu.

– Jak myślisz, co on tam robi? – zapytał David, pogryzając chipsy o smaku śmietanowo-cebulowym. Moje ulubione, miałam nadzieję, że nie zje wszystkich. Kiedy tylko wyjął rękę z torebki, by sięgnąć po napój, ja je przejęłam.

– Kto tam mieszka? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

Chwilę później drzwi do garażu się otworzyły, ze środka wytoczył się samochód.

– Odjeżdża. – Wytarłam tłuste palce w spodnie, czego moja matka nie znosiła. David zrobił to samo.

Zachowując bezpieczną odległość, jechałam za Jenkinsem przez miasto aż do starego drewnianego budynku w centrum. Skręcił za róg i straciliśmy go z oczu.

– Co to za miejsce? – zapytałam.

– To nasz teatr – odparł David. – Dzisiaj jest przedstawienie. Premiera. To bardzo ważne wydarzenie w okolicy. Przychodzą tłumy, miejscowi i turyści. Całe miasto tu będzie. Poziom jest naprawdę niezły.

– Myślisz, że on bierze w tym udział? – Może jednak marnowaliśmy czas. – Że w czymś pomaga?

David wzruszył ramionami.

– Możliwe. Zostańmy, zobaczymy, co się stanie. Może zaraz wyjdzie.

To samo przyszło mi do głowy, a że nie mieliśmy nic lepszego do roboty, zgodziłam się. Oczywiście Jenkins nie wyszedł, a po kilku godzinach pojawiły się tłumy. Samochody zapełniły parking, ludzie wchodzili do środka.

– Myślisz, że wyszedł w międzyczasie jakimś innym wyjściem? – zapytałam.

– Może

– Pójdę się rozejrzeć.

Wysiadłam z samochodu, wmieszałam się w tłum i podeszłam do budynku. Okrążyłam go i zauważyłam, że biały samochód Jenkinsa stoi z tyłu.

Nadal tu był. Jeśli brał udział w przedstawieniu, musiał tu zostać na cały wieczór.

Wyglądało na to, że my też musimy.

## Rozdział 60

Kiedy Melanie otworzyła oczy, wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Zamrugła, ale to nie pomogło. Czuła się taka zagubiona, że niemal ją to obezwładniło, prawie się rozplakała. Zdołała jednak powstrzymać łzy, miliony myśli przelatywały jej przez głowę, głównie pytania.

„Gdzie jestem? Co się stało?”

Rozpaczliwie próbowała sobie przypomnieć, co się wydarzyło, ale nie mogła. Nieważne, jak się starała, w głowie miała wielką czarną dziurę, równie czarną jak przestrzeń, w którą się teraz wpatrywała.

Co się dzieje?

Panika wezbrała w niej, kiedy poczuła ból w koniuszkach palców i wyciągnęła przed siebie rękę. Opuszki otarły się o coś twardego, jak ściana, dotknęła tego, po czym rozpostarła ręce na boki i sięgnęła do tyłu.

Czy jestem gdzieś zamknięta?

Zdenerwowała się na tę myśl. Krzyknęła ze strachu, podniosła obie ręce i uderzyła nimi o ścianę przed sobą, a ta ustąpiła z hukiem. Zalało ją światło. Wydała okrzyk, zacisnęła powieki i postawiła krok naprzód, po czym obejrzała się za siebie, zakrywając oczy przed jaskrawością.

Co to za miejsce?

Za nią stała jakaś szafa. Staroświecka drewniana szafa bez ubrań. Czy tam ją zamknięto? Dlaczego? Kto ją tam zamknął? Weszła tam dobrowolnie? Spała tam?

Czyżby była aż tak pijana?

Pamiętała, że wyszła z przyjaciółką, pamiętała muzykę i piwo, ale to wszystko. Całą resztę spowijał mrok.

Wróci to do niej. Kiedy już rozszyfruje wszystko inne. Krok za krokiem. To wróci.

Dotknęła swojej głowy, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Mocne światło padało bezpośrednio na nią, uniemożliwiało patrzenie. Ktoś odkaszlnął, próbowała przebić się wzrokiem przez kurtynę światła, zastanawiała się, kto tam jest. To wtedy ktoś krzyknął:

– Bomba! Ona ma bombę!

– Kto? – Zaczęła się rozglądać, po czym spojrzała na swoją pierś. Uniosła dłoń, by dotknąć kamizelki, i wtedy to do niej dotarło.

– To pewnie część przedstawienia – krzyknął ktoś inny. – Proszę usiąść.

O czym oni mówią?

Nagle zapadła cisza, Melanie wpatrywała się w siedzący przed nią tłum. Jej puls przyspieszył, kiedy palcami dotknęła przewodów. Pot wystąpił na jej czoło, jej ręce zaczęły się trząść.

Mówili o niej. O niej.

## Rozdział 61

Nie wierzyłam własnym oczom. Weszliśmy z Davidem do środka obejrzeć przedstawienie i poszukać Jenkinsa. Zauważyłam go obok sceny z kamerą w dłoni, kręcił film.

A teraz patrzyłam na dziewczynę na scenie.

Stała na samym środku, dotykała kamizelki, którą miała na sobie, widać było, że płacze z nerwów. Tłum szeptał, nikt nie rozumiał, co się dzieje. Ktoś krzyknął, że to bomba, inni odpowiedzieli, że to tylko część przedstawienia.

Miałam wątpliwości. Szybko rozpoznałam Melanie ze zdjęć opublikowanych w miejscowej gazecie. A ta kamizelka to była prawdziwa bomba. Co do tego nie miałam wątpliwości.

– Musimy ewakuować stąd tych ludzi – mruknęłam do Davida. – Najlepiej tak, żeby nikogo nie stratowano w panice.

David wstał, ja też. Próbowałam zachować spokój, ale było już za późno. Kobieta w pierwszym rzędzie, która krzyknęła, że to bomba, rozplakała się, a kiedy Melanie postąpiła krok do przodu i inni dostrzegli jej zdenerwowanie, po widowni przetoczyła się fala szoku.

– Pomocy! – zawołała Melanie przez łzy, jej głos drżał. – Proszę, niech mi ktoś pomoże.

I się zaczęło. Płacząca kobieta chwyciła dziecko na rękę, odwróciła się i rzuciła do drzwi. W jej ślady od razu poszło około pięćdziesięciu osób, pędziły do wyjścia, potykały się o siebie nawzajem i krzyczały.

Kobieta dopadła do drzwi jako pierwsza, próbowała je otworzyć, ale nawet nie drgnęły. Poczułam, że krew krzepnie mi w żyłach.

– Sprawdź inne drzwi – poleciłam Davidowi, który pobiegł do tych za nami. Też były zamknięte. Ktoś próbował sforsować wyjścia awa-



ryjne, ale na próżno.

Utknęliśmy w pułapce. W małym pomieszczeniu z bombą.

Rozległy się krzyki, ludzie panikowali i walili w drzwi pięściami. David chwycił za telefon i zadzwonił pod dziewięćset jedenastcie, a ja próbowałam uspokajać osoby wokół siebie, by zapobiec panice. Na próżno. Wszyscy krzyczeli, zawodzili i łomotali w drzwi w histerii. Nie dało się ich uspokoić. Poczułam, że mnie również ogarnia panika. Nie radziłam sobie dobrze w klaustrofobicznych sytuacjach, a tymczasem utknęłam w małym pomieszczeniu z setkami ludzi i bombą.

Wzięłam kilka głębokich wdechów, aby uspokoić rozkołatane serce. Pomyślałam, że zamiast się skupiać na niebezpieczeństwie i na tym, że nie możemy się stąd wydostać, muszę przeanalizować, co da się w tej sytuacji zrobić, jak dopilnować, abyśmy wszyscy wyszli stąd żywi.

Spojrzałam na stojącą na scenie Melanie. Cały czas płakała, osunęła się na kolana.

Z sercem w gardle precyzyjnie przycisnęłam się przez tłum, zmierzając w przeciwną stronę niż reszta, i wspięłam się na scenę. Melanie szarpała brzegi kamizelki, na jej twarzy malował się strach.

– Melanie?

Podniosła głowę, nasze oczy się spotkały. Odchrząknęłam, aby nie zdradzić głosem paniki i przerażenia.

– Cześć, Melanie. Nazywam się Eva Rae Thomas. Jestem z FBI, spróbuję ci pomóc, dobrze?

– Proszę... – Znów szarpnęła kamizelkę. – Proszę, niech ktoś to ze mnie ściągnie!

## Rozdział 62

– Jest połączona z jakąś aparaturą pomiarową – powiedziałam, kiedy dokładnie obejrzałam kamizelkę. David wszedł na scenę i uklęknął obok Melanie.

– Nie znam się na tym – mruknął. – Ale moim zdaniem wygląda bardzo prawdziwie. Nie ryzykowałbym, że to atrapa. Wiem, że najpierw musimy znaleźć włącznik, wyzwalacz, minutnik. Możliwe, że jest tu sterowanie na odległość, na wypadek gdyby człowiek z tą kamizelką wymiękł. Wtedy bomba i tak wybuchnie.

Pociłam się w żarze reflektorów i z powodu napięcia. Palce mi się trzęsły, kiedy obszukiwałam kamizelkę.

David przyjrzał się jednemu z elementów uważniej: małemu monitorowi podłączonemu do ramienia Melanie, i zmarszczył czoło.

– Proszę – zawodziła dziewczyna. – Proszę, ściągnijcie to ze mnie. Nie mogę oddychać, bardzo się boję.

– Robimy, co w naszej mocy – zapewniłam ją. – Ale to nie jest proste. Nie możesz jej tak po prostu ściągnąć, ryzykowałabyś wybuchem. Wydaje mi się, że detonator jest do czegoś podłączony, musimy dowiedzieć się do czego, zanim uruchomi bombę.

– Niemożliwe – wymamrotał David.

– Co jest niemożliwe? – zapytałam. – Co się dzieje?

Spojrzał na mnie z konsternacją.

– To.. to... to chyba jest sfigmomanometr.

– Co? Co się dzieje? – wrzasnęła Melanie. – Proszę, pomóżcie mi, proszę!

– Mów po ludzku – poprosiłam. – Co to jest?

– A... aparat do pomiaru ciśnienia.

– Co się dzieje? – dopytywała Melanie, szlochając głośno. – Proszę, zaraz wpadnę w panikę!

– Nie rozumiem – powiedziałam.

David odciągnął mnie na bok.

– Detonator jest podłączony do aparatu, który mierzy ciśnienie Melanie.

– Co? Dlaczego?

– Nie wiem tego na pewno, ale powiem ci, jak to moim zdaniem wygląda. Wydaje mi się, że im bardziej zdenerwowana jest dziewczyna, tym bardziej rośnie jej ciśnienie, prawda? Kiedy dotrze do określonego poziomu, bomba wybuchnie.

Wbiłam w niego wzrok. Melanie łkała za naszymi plecami, wydawała dziwne, nerwowe dźwięki.

– Hm... A nie możemy po prostu tego z niej zdjąć? Żeby już nie mierzyło ciśnienia? – zapytałam. – Nie możemy zerwać tego z jej ramienia?

– To pewnie też odpali bombę.

– Tak uważasz?

– A zaryzykujesz? Wezwałem pomoc, policja jest w drodze. Jedynie, co możemy zrobić, to dopilnować, by bomba nie wybuchła przed przyjazdem służb.

– Ale jak?

– Trzeba ją uspokoić – oświadczył. – Ona nie może wpaść w panikę, choćby nie wiem co.

## Rozdział 63

Łatwo się mówi. Melanie w ogóle nad sobą nie panowała, panikowała, a jej ciśnienie skakało. Wzięłam ją za rękę i pogłaskałam delikatnie. Czułam gwałtowne pulsowanie krwi pod skórą, co tylko wzmagало moje zdenerwowanie. Nie słyszałam syren, ale modliłam się, by policja była blisko. Problem polegał na tym, że i tak musieli najpierw poszukać kogoś do rozbrojenia ładunku, a potem jeszcze go tu sprowadzić. Ile mogło to potrwać?

Tymczasem w małej sali teatralnej zapanował chaos. Ludzie walili pięściami w drzwi, krzykiem wzywali pomocy. Inni dzwonili do najbliższych, niektórzy się żegnali, wyznawali rodzinie miłość, płakali.

– Co on powiedział? Co on ci powiedział? – zapytała Melanie piskliwie.

Z trudem przełknęłam ślinę. Staralam się nie myśleć o dzieciach i o tym, że nigdy ich już nie zobaczę, jeśli ta bomba wybuchnie.

To było trudne.

– Powiedział, że musisz zachować spokój.

– Spokój? Spokój? – podniosła głos. – Jak mam zachować spokój, kiedy mam na sobie bombę?

David, który uważnie obserwował pomiar na monitorze, posłał mi przerażone spojrzenie. Musiałam ją uspokoić. Nie wiedzieliśmy, jak bardzo może podskoczyć jej ciśnienie, aby uruchomiło zapalnik, ale domyślałam się, że stąpamy po kruchym lodzie. Pasożyt chciał, żeby bomba wybuchła, więc na pewno nastawił wszystko na niewysoki poziom. Bomba miała wybuchnąć, kiedy tylko Melanie uświadomi sobie, co się dzieje, i się zdenerwuje.

– Monitoruje cię aparat do pomiaru ciśnienia. Naszym zdaniem przy odpowiednio wysokim odczycie bomba wybuchnie – oświad-

czyłam najspokojniejszym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

Tak naprawdę chciałam spoliczkować Melanie, a potem nią potrząsnąć, ale to nie byłoby rozsądne. Skoro ja nie byłam spokojna, ona też nie mogła być. Serce waliło mi w piersi tak szybko, że doprowadzało mnie do szału. Skupiłam się na miarowym oddechu i przemawianiu niskim, miłym głosem.

– Że co? – krzyknęła dziewczyna.

– Proszę. – Dotknęłam jej ramienia. Wolałabym jej nie dotykać, na wypadek gdyby to mogło odpalić bombę, ale się przemogłam. – Proszę. Musisz się uspokoić. Twoja krew produkuje nawał hormonów w stresujących sytuacjach. Hormony tymczasowo podnoszą ciśnienie krwi i zmuszają serce do wyjątkowej pracy. Problem polega na tym, że im szybciej bije serce, tym bardziej podnosi się ciśnienie, co zwiększa ryzyko detonacji. Musimy więc cię uspokoić. Musisz zrobić, co w twojej mocy, aby zachować spokój. Możesz to dla mnie zrobić, Melanie? Proszę?

Spojrzałam jej głęboko w oczy, by się upewnić, że mnie słyszy, nawet kiedy szaleje w niej panika i blokuje cały jej zdrowy rozsądek. Trudno było jej się dziwić. Ona nie mogła uciec. Nie mogła rzucić się do ucieczki, nawet jeśli tak podpowiadał jej instynkt. Każdemu z nas instynkt podpowiadał to samo. Zachowanie spokoju musiało ją kosztować wiele siły. Mnie kosztowało.

Pogłaskałam ją lekko po włosach z nadzieją, że to ją uspokoi.

– Wezwaliśmy pomoc, policja już jedzie – dodałam. – Na pewno rozbroi bombę i wszyscy wrócimy do domu. Ale aby to się stało, musisz zachować spokój, rozumiesz?

Oddychała coraz gwałtowniej. David znów spojrzał na mnie z niepokojem. Chwyciłam Melanie za ramiona.

– Zrobisz, co ci powiem, dobrze? Chcę, żebyś wzięła głęboki oddech. No już. Rób tak jak ja. Weź głęboki oddech, sprawdź, ile po-

wietrza zmieści się w twoich płucach. Zamknij oczy i pomyśl o czymś, co cię uszczęśliwia. Wyobraź sobie, że leżysz gdzieś na trawie. Albo w górach? Na plaży? Lubisz plażę?

Pokiwała głową, nie otwierając oczu.

– Dobrze. Wyobraź sobie plażę. Leżysz na piasku, wdychasz świeże, słone powietrze, czytasz książkę i masz mnóstwo czasu, tak? Wokół panuje spokój.

Upłynęło kilka sekund, ale w końcu potaknęła.

– Dobrze – kontynuowałam. – Weź kolejny głęboki oddech, ale zostań w tym samym miejscu. Cisza i spokój.

Melanie zrobiła, co kazałam, a ja spojrzałam na Davida. Uśmiechnął się słabo i uniósł kciuk w górę. To działało. Dziewczyna się uspokajała. W oddali rozległy się syreny, moje ciśnienie też nieco spadło, choć po czole nadal spływał mi pot. Pomoc nadjeżdżała. To tylko kwestia minut, zanim drzwi się otworzą i wszyscy zostaną ewakuowani.

– Świetnie sobie radzisz – powiedziałam. – Naprawdę. Oddychaj powoli. Po prostu oddychaj. Już niedługo. Jeszcze tylko chwila.

## Rozdział 64

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek słyszała coś bardziej kojącego niż ten odgłos odmykanych drzwi. Spanikowany tłum niemal się strato- wał, wylewając się na zewnątrz, w kilka minut nikogo nie było. Po- zostaliśmy tylko David i ja na scenie z Melanie. Cały czas dotykałam jej ramienia, aby ją uspokoić.

Wtedy wkroczyli żołnierze. Mężczyźni w ciężkich kombinezonach ochronnych, z bronią. Zaczęli na nas krzyczeć i nagle znów zapano- wał chaos.

– Proszę zejść ze sceny! – nakazali, mierząc do nas z karabinów.

– Nie, proszę – zawołałam.

– Odsunąć się od bomby. Natychmiast!

Poczułam, że ręce Melanie zaczynają się trząść. Otworzyła oczy i spojrzała na zbliżający się do nas oddział.

– Zastrzelą mnie – wymamrotała. Jej oddech znów zaczął się rwać, a twarz Davida ponownie powlekła się niepokojem.

– Nie rozumiecie – zwróciłam się do umundurowanych żołnierzy.

– Natychmiast!

Wstałam i obie ręce uniosłam nad głową, aby pokazać wszystkim, że nie jestem uzbrojona.

– Bomba jest podłączona do...

– Proszę zejść ze sceny – przerwali mi. – Musimy opróżnić po- mieszczenie, aby rozbroić bombę.

Zerknęłam na monitor. Notował nowe rekordy. Ciśnienie wyno- siło sto pięćdziesiąt i rosło. Niedobrze.

– Proszę mnie posłuchać, to...

Krzyczeli coraz głośniej. Kilku z nich zaczęło na nas krzyczeć równocześnie, przestałam słyszeć własne myśli. Zagłuszało je dudnienie krwi w moich uszach. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak ta sytuacja wpływa na tętno Melanie.

– Powtarzam po raz ostatni: proszę zejść ze sceny – zawołał żołnierz, który we mnie wymierzył.

David chwycił mnie za rękę i zaczął ciągnąć. Spojrzałam na Melanie, która wbijała we mnie błagalne spojrzenie.

– Nie, nie idź. Proszę, nie zostawiaj mnie. Proszę, potrzebuję cię...

Nie chciałam odejść. Doszłam do wniosku, że będą mnie musieli zastrzelić, by się mnie pozbyć, ale David szarpnął mnie mocno za ramię i oderwał od Melanie. Dziewczyna zaszlochała i wyciągnęła do mnie rękę. Dotknęłam jej jeszcze delikatnie, nim David mnie odciągnął i nasze palce się rozłączyły. Zanosłam się płaczem, kiedy ojciec ciągnął mnie za sobą do wyjścia. Płakałam, kiedy podbiegli do nas ratownicy.

– Zrobiłaś, co mogłaś. – David objął mnie ramieniem. Chciałam zaprotestować i go odepchnąć, ale nie mogłam. Za naszymi plecami rozlegały się zduszone okrzyki Melanie. Czekałam już tylko na wybuch, przygotowałam się do niego.



## Rozdział 65

W budynku teatru panowała głucha cisza, kiedy czekaliśmy na parkingu w bezpiecznej odległości za policyjnymi barierkami. Ręce mi się trzęsły, siedziałam na ziemi. Bardzo się martwiłam, czułam ucisk w żołądku.

Czy Melanie przeżyje?

Znów usłyszałam jej krzyk, obawiałam się najgorszego. Zamknęłam oczy i złożyłam ręce do modlitwy.

„Proszę, niech ona przeżyje. Proszę, nie dawaj mu tego zwycięstwa”.

Czekałam i słuchałam, próbowałam opanować nerwy i zachować spokój.

Nic nie wybuchło.

Po kilku minutach, które ciągnęły się niczym godziny, jeden z żołnierzy w kombinezonie wyszedł na zewnątrz poinformować nas, że ładunek został rozbrojony.

Byliśmy bezpieczni.

Żołnierz został nagrodzony oklaskami, choć pewnie to nie on rozbijał ładunek. Nie miało to znaczenia. Ludzie odetchnęli z ulgą. Przeżyli, wbrew swoim obawom, i musieli komuś za to podziękować. Ja też odetchnęłam. David chwycił mnie za rękę i pomógł mi wstać. Przytulił mnie, a ja nie zaprotestowałam. To było nawet miłe, potrzebowałam tego.

– Myślałam, że umrzemy. – Śmiał się i płakał równocześnie. – Myślałam, że to koniec.

– Ja też – wykrztusiłam chrapliwie. – Myślałam, że już nigdy nie zobaczę dzieci.

Nadal nie odczuwałam aż takiej ulgi jak wszyscy wokół. Dwóch zastępców szeryfa wyprowadziło Melanie w kajdankach. Martwiło mnie, że większość uznała to za koniec, choć to wcale nie był koniec. Rozbroiliśmy bombę i nikt nie zginął.

Tym razem.

Nadal nie znaleźliśmy Pasożyta. Wygraliśmy tę potyczkę, tak, ale wiedziałam, że on wróci po więcej, że zbierze jeszcze więcej sił. Nie należał do tych, którzy się zniechęcają byle przeszkodą. Wręcz przeciwnie. Jeśli już trochę go rozszyfrowałam – a szczerze wierzyłam, że tak jest, biorąc pod uwagę moje wieloletnie profilerskie doświadczenie – już planował następny krok, i to jeszcze gorszy niż poprzednie.

– Widziałeś Jenkinsa? – zapytałam, ocierając łzę z oka.

David pokręcił głową.

– Straciłem go z oczu, kiedy weszliśmy na scenę. Ale widziałem go z kamerą, zanim to wszystko się zaczęło. Potem już nie.

– Możliwe, że to on umieścił Melanie na tej scenie? W szafie? To dlatego jeździł vanem? Może to po nią pojechał do tego domu przy plaży?

David wydał głębokie westchnienie.

– To możliwe.

– Zauważyłeś jej paznokcie?

Pokiwał głową.

– Zostały zerwane.

– To jak podpis Pasożyta.

Przeszłam na bok i spojrzałam na przestrzeń za teatrem. Biały van zniknął, domyśliłam się więc, że Jenkins również. Uśmiechnęłam się na myśl, że teraz przynajmniej mamy Melanie. Ona pomoże nam go znaleźć. Kiedy już opowie swoją historię, McMillen będzie musiał zacząć mnie słuchać.



## Rozdział 66

– Zabiję ją!

E.T. chwycił szklanekę z blatu i cisnął nią o ścianę. Odłamki posypały się na kuchenne płytki. Warknął gniewnie, zamachnął się na stos papierów na kredensie i stracił je na podłogę razem z przybarami do pisania i ramką na zdjęcia. Wszystko się rozsypało, a on szalał dalej.

Na ekranie jego komputera wyświetlał się filmik z teatru. Relacja na żywo okazała się porażką. Włączyło się wiele osób, oczekiwali czegoś wspaniałego, a kiedy tylko sobie uświadomili, że nic się nie wydarzy, wpadli we wściekłość. Pojawiły się nienawistne komentarze, wiele osób zaprzestało subskrybowania kanału.

To ona wszystko popsuła. To była jej wina.

W teatrze było trzysta miejsc, chciał zmieść tych ludzi z planszy jednym uderzeniem, liczył na co najmniej połowę. A skończyło się bez ofiar, nawet dziewczyna przeżyła.

– Nienawidzę cię! – rzucił do ekranu, kiedy przewinął do początku i Eva Rae Thomas znów wyszła na scenę i zaczęła uspokajać dziewczynę.

Zapisał nagranie na komputerze i odtwarzał je raz po raz, sfrustrowany, wściekał się na kobietę, dzięki której miał wypaść lepiej, a tymczasem go powstrzymała.

„Ona nie może cię powstrzymać. Nigdy nie zdoła tego zrobić. Nie możesz puścić jej tego płazem”.

To jeszcze nie koniec, na pewno nie. A ona już wkrótce to zrozumie.

Przeczesał dłonią włosy i odsunął je z twarzy. Chwycił nóż, przycisnął go do brzucha i zaczął pisać. Litery pojawiały się na skórze, po

której spływała krew. Zamknął oczy i zwiększył nacisk na ostrze. Nacisnął zbyt mocno i nóż się osunął.

E.T. wydał z siebie ryk, który odbił się echem w starym domu. Spojrzał na swoją skórę i zrozumiał, że popełnił błąd. Dyszał ciężko, zacisnął zęby z bólu. Otarł krew i spojrzął na litery układające się w słowo CIERPLIWOŚĆ.

Krzywiąc się z bólu, opatrzył ranę i włożył koszulę. Mrucząc gniewnie, podszedł do mężczyzny, którego przywiązał do kuchennego krzesła. Mężczyzna sapał pod kneblem, nie mógł zaczerpnąć tchu. E.T. uśmiechnął się, sięgnął po aparat i włączył nagrywanie. Nie miał czasu na odpoczynek i lizanie ran. Musiał wrócić do gry.

Przedstawienie musi trwać.

– Witajcie, fani – zawołał i rozciągnął usta w podekscytowanym uśmiechu, aby ukryć rozczarowanie i gniew. Nikt nie musiał wiedzieć o jego błędach. Należało tylko się upewnić, że następny raz będzie jeszcze bardziej spektakularny. Do tego zamierzał odegrać się na Evie Rae Thomas. Już wkrótce.

W odpowiedniej chwili.

Klasnął wesoło w dłonie i skierował obiektyw na mężczyznę na krześle, zrobił zbliżenie na jego twarz, by wszyscy mogli mu się dobrze przyjrzeć.

– Tak, drodzy fani. Jak zapewne się domyślacie, przygotowałem dla was coś wspaniałego.

## Rozdział 67

Matt patrzył w ekran telewizora w kuchni, podkreślił dźwięk. Słuchał prezentera pogody, który relacjonował zbliżanie się huraganu Damian do Portoryko, gdzie miał dotrzeć jeszcze dziś. Eksperci przewidywali, że potem huragan nabierze jeszcze mocy z powodu ciepłych frontów i skieruje się ku wschodniemu wybrzeżu Florydy. Nie było wiadomo, gdzie na Florydzie uderzy, ale pojawiło się ryzyko, że osiągnie kategorię trzecią.

– Myślisz, że uderzy w nas? – zapytała jego mama, która weszła do kuchni. Właśnie odwiozła Elijaha do szkoły.

Matt dopił kawę i wzruszył ramionami.

– Jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Wiesz, jak to jest o tej porze roku.

Zbyła zagrożenie parsknięciem.

– Trójka to nie tak źle. Pewnie znowu przejdzie bokiem, prawda?

Pokiwał głową. Przeżył już czwórkę i piątkę. Pamiętał Andrew, Charleya i Irmę dwa lata temu. Huragan nie był silny, jeszcze nie. Matt zaczął się jednak martwić.

– Trzeba było widzieć ludzi wczoraj w Publixie – dodała matka. – Już robią zapasy wody i napojów. Jak przyjechałam, baterie były wyprzedane, woda została tylko smakowa.

– Założę się, że kupiłaś na zapas?

– W tej sytuacji nie było innego wyjścia, prawda? Musimy być gotowi. Nigdy nie wiadomo.

Roześmiał się słabo. Wyjrzał przez okno na kanał, na którym kołysała się łódź matki. Będzie ją musiał zabezpieczyć na wszelki wypadek.

– A co z Evą Rae? – zapytała matka.

– Co z nią?

– Wraca, zanim uderzy huragan?

Westchnął. Nie miał pojęcia. Nie rozmawiał z nią, odkąd opuścił Amelię. Martwił się. Pewnie tak pochłonęło ją polowanie na urojonego zabójcę, że nie przygotowała się na huragan. Wiedział, że Chad wrócił z dziećmi do miasta, uważał, że Eva Rae powinna być z nimi, gdyby miało nadejść najgorsze.

– Zostaje u taty i babci. Na pewno sobie poradzi – odparł, po czym dopił kawę i odstawił kubek. Prezenter pogody nadal mówił o modelach, potencjalnych scenariuszach i stożkach niepewności.

– Co się między wami stało? – zapytała matka. – Pokłóciliście się?

Spojrzał na nią i poczuł się nagle tak, jakby znów był nastolatkiem w liceum i posprzeczał się z Evą Rae, co im się zdarzało. Miał czterdzieści jeden lat i wciąż mieszkał z mamą. Pomagała mu w opiece nad synem, jasne, ale... Nadal z nią mieszkał, to był fakt. Nic się nie zmieniło. Czy tak miało wyglądać jego życie? Minęło dwadzieścia lat, a on dalej mieszkał w tym samym domu i marzył o tej samej dziewczynie. Czy to się nigdy nie zmieni?

Pochylił się i cmoknął matkę w policzek.

– Muszę lecieć, już jestem spóźniony. Widzimy się wieczorem.

– Robię lazanie, twoją ulubioną – odparła z uśmiechem, tym samym uśmiechem, którym wyprawiała go do szkoły. Włoski na karku aż stanęły mu dęba.

– Świetnie, mammo – rzucił, po czym uciekł, ile sił w nogach, wsiadł do samochodu i odjechał, czując taki ucisk w piersi, że aż nie mógł oddychać.

## Rozdział 68

Siedziałam przy laptopie, kiedy następnego ranka David zapukał do mojego pokoju. Zdrzemnąłam się może na pół godziny. Sydney jeszcze spała.

David zobaczył laptop, a potem spojrzał na mnie.

– Co robisz? W ogóle nie spałaś?

– Spałam... trochę. – Pokazałam mu na migi, że musi być ciszej, bo Sydney śpi. Niedługo ruszały zdjęcia, a ona przy każdej okazji podkreślała, że musi wyglądać na młodszą i wypoczętą. Nakładała na noc te wszystkie zielone kremy. Od paru dni praktycznie nie jadła, żeby zachować linię, zaczęła też trenować, codziennie biegała po plaży. Torturowała się moim zdaniem. Szanowałam jednak jej determinację i poświęcenie dla kariery, którą zbudowała sama, bez niczyjej pomocy. Ciężko pracowała, jak ja, trudno było tego nie podziwiać.

David usiadł na krześle obok mnie.

– Niewiele słyhać o tym, co się stało wczoraj w teatrze. Oglądałem wiadomości, nie było nawet wzmianki. W gazecie tylko kilka zdań na trzeciej stronie.

– Bo nikt nie został ranny – odparłam. – Nie chcą odstraszyć turystów. Nie ma już ryzyka, ich zdaniem oczywiście, więc bagatelizują sprawę. Robią z niej coś niewartego wzmianki. Wolą koncentrować się na realnym niebezpieczeństwie, na przykład na huraganie, który zapewne nigdy nawet nie zbliży się do wybrzeża Florydy.

– Tak, o tym mówią bardzo dużo.

– Założę się, że ludzie gromadzą zapasy jedzenia i wody. Jak zawsze o tej porze roku.



– To nie jest zły pomysł, przygotować się na najgorsze – zauważył David.

– Oczywiście, że nie. Ale kiedy mieszkaś tu przez jakiś czas, zaczynają cię nudzić te cykliczne przygotowania, po których nic nie nadchodzi albo nadchodzi i okazuje się, że to nic takiego.

– No to na co patrzyłaś? – zapytał, ruchem głowy wskazując mój laptop.

– Próbuję zrozumieć, jaki będzie jego następny krok. Musi być wściekły. Pokrzyżowaliśmy mu szyki, więc będzie się mścić. Pewnie wkrótce, byśmy nie pomyśleli, że go pokonaliśmy. Nie pozwoli, by taka drobna porażka jak ta wczorajsza stanęła mu na drodze. Jest wściekły, tak, ale chce jak najszybciej wrócić do gry. Moim zdaniem już porwał swoją następną ofiarę i nakreślił plan. Nie widzę jednak doniesień o żadnych nowych porwaniach na wyspie. Przejrzałam raporty policyjne, sprawdziłam internet, Facebook, Instagram, wszystko. Szukam wzmianek o najbliższych, którzy nie wrócili do domu, o znajomych, których nikt nie widział od czasu imprezy, bo takie rzeczy często nie trafiają do policyjnych raportów, ludzie tego nie zgłaszają. Nie zgłaszają zaginięcia prostytutki czy osoby bezdomnej, nastolatka, który uciekł z domu, bo wszyscy uważają, że wróci do domu, albo mają to w nosie. Dręczy mnie okropne przeczucie, że Pasożyt zaatakuje już niedługo. To mnie martwi. Uderzy jeszcze mocniej, a ja nie wiem jak. Nie rozumiem jego profilu, nie wiem więc, jaki jest jego cel, co chce osiągnąć. To mnie frustruje. Zazwyczaj umiem ich rozszyfrować. Nie potrafię jednak dostrzec powiązań pomiędzy jego ofiarami i metodami zabijania. Mam taki system, że analizuję podobieństwa i różnice, ale teraz nie widzę żadnego wzorca, który dałoby się wykorzystać. Nie potrafię...

Postukałam w laptop mocno, z gniewnym pomrukiem.

– Widzisz? Nic!

David położył dłoń na mojej dłoni.

- Może zdołam jakoś pomóc? Spróbujmy zrobić to razem. Pokaż mi, co już masz.

## Rozdział 69

Gadaniem obudziliśmy Sydney. Im więcej mówiłam, tym bardziej byłam poruszona, aż w końcu zapomniałam, że śpi obok nas. Usiadła na łóżku i spojrzała na nas zza zielonej maseczki.

Na ten widok oboje z Davidem wybuchnęliśmy śmiechem. Sydney spojrzała na mnie z wyrzutem.

– Przepraszam, że cię obudziliśmy. Wiem, że jest wcześnie, ale...

– To nic – odparła i opuściła nogi na ziemię. – I tak muszę wstać. Mam zaległości w czytaniu, muszę nauczyć się dzisiaj pierwszych kilku scen. Jutro muszę je znać na pamięć. Czeka mnie też bieganie, muszę zrzucić jeszcze kilogram przed przesłuchaniem.

Powoli wypuściłam powietrze.

– Syd, zbyt surowo się traktujesz. Jeśli chcą cię do tej roli, jeśli jesteś do niej idealna, to ją dostaniesz niezależnie od wszystkiego. Kilogram nic nie zmieni, prawda? Nie wyobrażam sobie, że mógłby zmienić.

Parsknęła śmiechem.

– No to nie wiesz nic o tej branży.

Pokiwałam głową. Co do tego miała rację – nic nie wiedziałam. Wstała i poszła do łazienki, a ja wróciłam do notatek.

– Jak widzisz, na razie mam tylko to, że wykorzystuje innych do ukrywania swoich czynów. Moim zdaniem jest przekonany, że nikt nigdy się o nim nie dowie. Dziwi mnie tylko, dlaczego zabija, dlaczego robi to, co robi, w taki sposób. Nie dziwi mnie natomiast, że ktoś taki się pojawił, to dla mnie żadna niespodzianka.

– Dlaczego? – zapytał David.

– Taki człowiek ma jeden cel. Ukarać społeczeństwo za swoje nieszczerstwa. Przybywa seryjnych zabójców o tym profilu. Widzimy za-

bójców na wydarzeniach muzycznych takich jak w Vegas, takich jak zabójca w Walmarcie w El Paso czy na festiwalu czosnku w Kalifornii. Cechuje ich nastawienie, które można nazwać „kolekcjonowaniem niesprawiedliwości”. Ci ludzie, w przeważającej części mężczyźni, często czują, że zostali osobiście skrzywdzeni, źle potraktowani, zignorowani. Czasami patrzą szerzej i personalnie odbierają rzekome uprzedzenia wobec ich płci, rasy lub religii. Napędza ich niewyobrażalny gniew.

– Myślisz, że Pasożyt należy do tej grupy?

– Tak. Jestem o tym przekonana. Jest też bardzo, bardzo mądry i w przeciwieństwie do innych reprezentantów tego profilu nie zamierza zginąć. Nie jest męczennikiem, a tacy pojawiają się coraz częściej. Nie planuje też dać się pojmać. Uważa, że jest na to zbyt ważny. To dlatego ukrywa się za innymi, wykorzystuje ich tak jak Adama. Inni odwalają za niego brudną robotę, że tak powiem. Dzięki temu może działać o wiele dłużej niż reszta znanych seryjnych zabójców. Przejdzie do historii jako ten, któremu się udało, ten, który odniósł sukces. Podziwia innych zabójców, ale chce być lepszy. Chce pobić nowy rekord.

– Ale jeśli ukrywa się za innymi, to jak ludzie mają się dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi? Jak to wpisuje się w jego profil?

– To jest dla mnie zagadka – przyznałam.

– Myślisz, że może znajdować ujście dla tych pragnień w jakimś miejscu, o którym nie wiemy? Że gdzieś jednak pokazuje światu swoje dzieło? Jak kiedy przesłał ci ten filmik?

Wbiłam w Davida zdumione spojrzenie.

– Tak, dokładnie tak myślę.

## **Rozdział 70**

### *Wcześniej*

Serce Marlene waliło szybko, kiedy szła za policjantami do pokoju przesłuchań. Rivers i Waltman już tam byli, patrzyli na nią z powagą, kiedy siadała naprzeciwko nich.

Nie powiedziała Bruce'owi, co zobaczyła w jego komputerze, a kiedy wychodził do pracy, starała się niczego po sobie nie pokazywać. On również miał zostać przesłuchany, ale dopiero pod koniec tygodnia, tak go uprzedzono. Marlene doszła do wniosku, że najpierw śledczy muszą zebrać dowody przeciwko niemu.

– Musicie wiedzieć, że zawsze działałam w najlepszym interesie syna – oświadczyła. – Jestem dobrą matką. Przeczytałam mnóstwo książek o dzieciach i rodzicielstwie, uważam pozytywne rodzicielstwo za jedną z najskuteczniejszych metod wychowawczych.

– Proszę pani, jesteśmy tu po to, by ustalić, co pani wiedziała o przemocy wobec syna – wtrącił Rivers. – Pani metody wychowawcze nie mają tu nic do rzeczy.

Marlene przełknęła ślinę. Myślała o tym przez całą noc, leżała w łóżku bezsennie, z szeroko otwartymi oczami, wpatrywała się w sufit, zastanawiała się, jak ich przekonać, że nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. Przygotowała całą przemowę, która miała im pokazać, jakim jest świetnym rodzicem.

Teraz zastanawiała się, dla kogo była tak naprawdę przeznaczona ta przemowa. Może dla niej samej? Może próbowała przekonać siebie, ponieważ przygniotła ją świadomość, co się działo tuż pod jej nosem, do czego dopuściła.

– Nie wiedziałam. – Odetchnęła głęboko. – Nic nie wiedziałam.

Waltman pochylił się i splótł dłonie na blacie.

– Chcemy pani uwierzyć, naprawdę. Ale rozumie pani, że mamy z tym problem, prawda? Do tej pory broniła pani męża, nawet kiedy przedstawiliśmy pani dowody. Nie współpracowała pani, nie próbowała bronić syna, który jest tutaj ofiarą. Jeśli wziąć też pod uwagę, że nie zastanawiała pani chociażby jego siniaki, chyba trudno się dziwić, że nie potrafimy uwierzyć w pani niewinność.

Marlene pokiwała głową. Mieli rację.

– Co mówi Jack?

– Słucham?

– O mnie. Co mówi mój syn o mnie i o moim udziale w tym wszystkim?

Funkcjonariusze spojrzeli na siebie, jakby nie wiedzieli, jak na to odpowiedzieć.

– Proszę. Mam prawo wiedzieć.

Rivers wziął głęboki oddech.

– Mówi, że nie widziała pani, jak tata go bił, nie pamięta, aby pani to widziała, aby była pani przy tym. Nie wiemy jeszcze, czy to dlatego, że próbuje panią chronić. Małe dzieci często próbują chronić matki.

Przygryzła wargę. Na taką odpowiedź liczyła. Nie oczyszczało jej to ze wszystkich zarzutów, ale na pewno pomagało.

– Wczoraj się o czymś dowiedziałam – oświadczyła z ciężkim sercem. Zamierzała zdradzić męża. Musiała. By ratować siebie. Poza tym to, co znalazła w jego komputerze, upewniło ją, że nie chce go ani w swoim życiu, ani w życiu syna.

– Tak? – ponaglił ją Rivers.

Podawała mu pamięć USB.

- Wszystko tu przegrałam. Z jego laptopa. Zanim to zobaczycie, chcę podkreślić jedno. Do wczoraj nie miałam żadnej wiedzy na ten temat. Trzymał to przede mną w tajemnicy. Jestem za tym, by postawić mu zarzuty. W razie potrzeby będę zeznawać. Nie zamierzam go dłużej bronić po tym, co zrobił. Skończyłam z nim.

## Rozdział 71

To nie był dobry dzień. Sześcioletni Owen Brown zmierzył gniewnym spojrzeniem matkę, która właśnie odjechała, zostawiwszy go pod szkołą. Nauczycielka zaprowadziła go do środka i posadziła w ławce. Nikt nie zwrócił uwagi na łzy spływające po jego policzkach przez cały ranek, na kolejnych lekcjach, nikt nie zauważył, że Owen nie chce rozmawiać.

Dlaczego?

Bo były jego urodziny, a mama zapomniała. Zdarzało jej się zapominać o różnych rzeczach, ale po raz pierwszy zapomniała o jego urodzinach.

– Źle się czuje – powiedziała jego ciocia poprzedniego wieczoru, kiedy przyszła ich odwiedzić i coś dla nich ugotować. Owen podsłuchał jej rozmowę telefoniczną z babcią. – Musimy coś zrobić.

Owen od dawna wiedział, że z jego mamą jest coś nie tak. Zapomniała odebrać go ze szkoły. Zapominała jego imienia, kiedy z nim rozmawiała, zapominała, co chce powiedzieć. Zapominała o zakupach, więc musiał jeść płatki z niesmacznym grudkowatym mlekiem albo w ogóle bez mleka. Nie narzekał, bo mama często robiła zagubioną i smutną minę, kiedy to robił. Raz powiedział jej, że zapomniała uprać jego piżamę, a ona poszła do łazienki i płakała tam przez pół godziny. Kiedy już wyszła, okazało się, że zapomniała, po co tam poszła, nie uprała jego piżamy i sam musiał to zrobić.

Nauczył się wielu różnych rzeczy, na przykład robić sobie grzanki albo jajko na kolację, kiedy mama zapominała, jaka to pora dnia. Potrafił przygotować sobie prosty posiłek i uprać ubrania. Pamiętał o chodzeniu spać o odpowiedniej porze i nastawiał sobie budzik na rano, żeby ubrać się do szkoły.



– To za dużo dla dziecka. On jest jeszcze mały – powiedziała jego ciotka do słuchawki. – Boję się, że ona spali dom, kiedy oboje będą w środku, bo zapomni, że coś gotowała. To poważna sprawa.

Owen mieszkał tylko z mamą. Ciocia przychodziła od niedawna coś im ugotować. Nie była dobrą kucharką, Owen nie lubił, jak przychodziła. Uważał, że jest zbyt surowa dla jego mamy. Wiecznie jej mówiła, co ma robić i czego nie robić.

To mu się nie podobało. Wolał, kiedy byli tylko we dwoje z mamą, sami przeciw całemu światu. Tęsknił za dawnymi czasami, kiedy o różnych rzeczach pamiętała.

Na przykład o jego urodzinach.

Na przerwie wszyscy wyszli pobawić się na podwórku, Owen pierwszy wypadł na powietrze. Podbiegł do huśtawek, zanim ktoś go uprzedził, i zauważył, że coś leży na ławce, coś, co sprawiło, że uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia, bo odczytał to jako znak.

Mama wcale nie zapomniała o jego urodzinach! Udawała, bo planowała dla niego tę wielką niespodziankę.

Tylko mama wiedziała, jak bardzo Owen lubi klaunów, a teraz jeden z nich siedział na ławce, a na kolanach miał wielki koszyk wypełniony po brzegi Pixie Stick.

Były to ulubione cukierki Owena.

## Rozdział 72

Zadzwoiłam do biura szeryfa, ale sekretarka powiedziała mi, że McMillen jeszcze nie przyszedł. Przełączyła mnie do jednego z dyżurnych, który nazywał się Foster i okazał się jeszcze większym bucem niż McMillen.

Zapytałam o Melanie Kagan.

– Nic nie pamięta – odparł z irytacją. – Tyle wiemy.

– To znaczy, że została otumaniona narkotykami? Przebadaliście jej krew pod kątem tego rodzaju substancji? Pobraliście próbkę po tym, jak ją wczoraj wieczorem aresztowaliście?

– Proszę posłuchać, pani...

– Thomas.

– Mamy dzisiaj urwanie głowy. Nie mam na to czasu. Mogę pomóc w czymś jeszcze?

– Jak daleko posunęła się sprawa? Wiecie, dlaczego to zrobiła?

– Pracujemy nad tym. Ale tak jak powiedziałem, ostatnie, co zapamiętała, to wyjście do baru z przyjaciółką. Nie pamięta nic więcej.

– A gdybym powiedziała, że moim zdaniem ktoś jej to zrobił? Podał jej w barze narkotyk, ubrał ją w kamizelkę, podłączył aparat do mierzenia ciśnienia i zostawił ją w tej szafie?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Odparłbym, że ma pani bardzo bujną wyobraźnię, pani...

– Thomas. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale musi pan sobie zdać sprawę, że to nie jest jej dzieło. Ktoś na tej wyspie próbuje...

– Proszę pani, naprawdę nie mam na to czasu. Dziękuję za telefon. Proszę więcej nie dzwonić.

Rozległ się długi sygnał, a ja wbiłam w aparat rozwścieczony wzrok. Nie zdążyłam nawet powiedzieć im o paznokciach. Miałam nadzieję, że ten facet mi uwierzy, skoro McMillen nie zamierzał poświęcić mi ani chwili. Potrzebowałam tylko kilku minut na wyjaśnienia. Wtedy na pewno Foster spojrzełby na sprawę z mojej perspektywy. Nawet tego mi nie dali. Nie dali mi szansy.

Traciłam cierpliwość do tego miejsca, zwłaszcza do tutejszych stróżów prawa.

Nagle oderwałam wzrok od telefonu i skierowałam go na ścianę. Mój puls gwałtownie przyspieszył, palce zacisnęłam na aparacie. Wstrząsnął mną dreszcz. Znałam to uczucie i z radością je powitałam. Długo na nie czekałam przy tej sprawie.

Uczucie, że poszczególne elementy układanki zaczynają tworzyć całość.

- Davidzie? - Rzuciłam telefon i pobiegłam do drzwi. Wypadłam na korytarz i ze szczytu schodów krzyknęłam, ile sił w płucach: - David!

## Rozdział 73

– Co to jest?

Owen spojrzał na Bryana, który podszedł bliżej. Klaun się nie poruszył.

– To cukierki?

Owen pokiwał głową i sięgnął po tutkę, rozpakował ją i wysypał pudrową zawartość do ust. Proszek rozpuścił się na języku. To był już trzeci, wiedział, że może go rozboleć brzuch, ale przecież miał urodziny, czuł, że zasłużył na tę przyjemność.

– Mam dzisiaj urodziny – wyjaśnił. – Mama przysłała tu tego klauna jako niespodziankę dla mnie.

– Super. Mogę się poczęstować?

Owen pokiwał głową.

– Pewnie.

Bryan sięgnął po cukierek. Otworzył tutkę, przesypał jej zawartość do ust, po czym sięgnął po następną. Zanurzył dłoń w koszyku i zagarnął całe narecze cukierków, po czym odwrócił się do innych dzieciaków na placu zabaw.

– Hej! Darmowe cukierki!

Chwilę później wokół nich zebrał się tłum. Wszyscy wkładali małe palce do koszyka na kolanach klauna i wypychali policzki cukrowym proszkiem, oczy im pały z podekscytowania.

Owen czuł ogromną dumę z mamy, że zorganizowała dla niego taką niespodziankę. Nappełniło go to większą nadzieją na przyszłość. Może jej się poprawiło? Może teraz już wszystko wróci do normy? Może ciocia nie będzie już do nich przychodzić i gotować?

Może wszystko się ułoży?

Sama myśl była odurzająca, nie mógł przestać się uśmiechać. Dopiero kiedy Bryan osunął się na ziemię obok niego niczym szmaciana lalka, Owen zrozumiał, że nic się już nigdy nie ułoży.

## Rozdział 74

– Co się dzieje? Coś się stało?

David wbiegł po schodach na górę, był blady jak ściana. Spojrzałam na niego i położyłam ręce na jego barkach.

– Mam. Rozszyfrowałam jego modus operandi.

Zrobił zaskoczoną minę.

– Co?

– Przyszło mi to do głowy, kiedy myślałam o tej akcji w teatrze, no wiesz, kiedy siedzieliśmy na scenie z Melanie, co wymagało ode mnie ogromnych pokładów cierpliwości. I wtedy przyszło olśnienie. Co to jest cierpliwość?

Patrzył na mnie, jakby całkiem mi odbiło.

– To zdolność do akceptowania lub tolerowania opóźnień, przeszkód, mierzenie się z nimi bez gniewu i zdenerwowania – odpowiedziałam sama sobie na pytanie.

– No i? Bo nie rozumiem.

– Cierpliwość. Melanie jej potrzebowała, gdyby nie to, wszyscy byśmy zginęli. Gdyby się zdenerwowała, wszyscy byśmy umarli.

– Ponieważ skoczyłoby jej ciśnienie, tak.

– No właśnie. Wróćmy do Adama – kontynuowałam. – Trzymał w dłoni zdjęcie Allyson, kiedy wkroczył do szkoły z karabinem. Oboje uważamy, że to Pasożyt go do tego zmusił, że porwał Allyson i wykorzystał ją do szantażu, zagroził, że ją zabije. To jest nasza teoria, prawda?

– Prawda.

– Więc dlaczego Adam to zrobił?

– By ratować Allyson – powiedział David.

– Z miłości.

Pokiwał głową.

– Tak, z miłości.

– A ci ludzie w hotelu, według nas otruci szampanem?

– Co z nimi?

– Świątowali, bawili się, kiedy zostali zabici.

– To prawda. Do czego zmierzasz?

– A dom opieki, co symbolizuje? – dopytywałam.

Zrobił skonsternowaną minę.

– Starych ludzi? Starzenie się? Odpoczynek?

– Dokładnie. Pokój.

Patrzyłam mu w oczy, czekając, kiedy i on zrozumie. Nie zanosilo się jednak na to.

– Co chcesz powiedzieć? Chyba za tobą nie nadażam.

– Mamy miłość, radość, pokój i cierpliwość – podsumowałam.

– I?

– Miłość, radość, pokój i cierpliwość. Nie chodziłeś do kościoła jako dziecko?

Parsknął śmiechem.

– Byłem może kilka razy.

– To owoce ducha. Nowy Testament. List do Galatów, rozdział piąty, właśnie sprawdziłam. Jest dziewięć owoców ducha. Miłość, radość, pokój, cierpliwość, uprzejmość, dobroć, wierność, łagodność i opanowanie. Przeciwstawia się je uczynom ciała.

David wpatrywał się we mnie z otwartymi ustami.

– Wiem, że to brzmi jak szaleństwo.

– Och, dzięki Bogu – odetchnął z ulgą – bo przez chwilę myślałem, że się nie słyszysz.

- Tak czy inaczej to jest jego wzorzec postępowania. Zabija owoce ducha, jeśli można tak powiedzieć, jeden po drugim, by zło wygrało. Pokazuje nam, że dobro nigdy nie zatriumfuje, ciało jest zbyt silne.

- Dobrze, dobrze. - David wyciągnął rękę. - Bo zaraz mi tu zrobisz szkółkę niedzielą. Założmy, że masz rację. Powiedziałem, że cię wysłucham, więc to właśnie robię. Założmy, że ta osoba zabija owoce ducha, niszczy wszelkie dobro. Jaki jest jej następny ruch?

- Uprzejmość. Sięgnie po uprzejmość.



## Rozdział 75

– Ja chyba też coś znalazłem – oświadczył David. Poprosił, bym udała się z nim na dół, do jego biura, a kiedy weszłam do środka, zamknął za nami drzwi. W pokoju stało pełno monitorów, wyglądało to jak kryjówka hakera.

– To twoje biuro? – zapytałam i dotknęłam lekko klawiszy jednej z klawiatur. Na jego twarzy odmalowało się przerażenie, więc cofnęłam rękę.

– Tak, wiesz... – Usiadł w fotelu i obrócił się do jednego z ekranów. – Pracuję z domu.

Uświadomiłam sobie, że nie wiem nic o ojcu, i poczułam się nieco zawstydzona. Nawet nie zapytałam, czym się zajmuje. Tak bardzo mnie pochłonęło wściekanie się na niego i karanie go.

– Co robisz? – zapytałam.

Zerknął na mnie z ukosa.

– Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić.

– Bardzo śmieszne.

– Jestem specem od cyberbezpieczeństwa. Firmy płacą mi za wyszukiwanie słabych miejsc i potencjalnych zagrożeń w ich systemach informatycznych. Pomagam je wykrywać, żeby nikt ich nie zhakował.

Wbiłam w niego wzrok. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że może się zajmować czymś takim. Chyba co do wielu rzeczy się myliłam.

– Rozumiem. – Poczułam przyływ zainteresowania. – Co chciałeś mi pokazać?

– To Chan3. – Jego palce zatańczyły na klawiaturze. – Taka strona internetowa. Dwa miesiące temu zamachowiec, który ostrzelał pa-

saż handlowy w Wilmington, opublikował na niej swój manifest. To miejsce, gdzie osoby pokroju naszego Pasożyta snują swoje fantazje i spotykają podobnych sobie.

– Okej, przerażające. Myślisz, że Pasożyt mógł odwiedzać tę stronę?

– Kiedy tylko powiedziałaś, że potrzebuje miejsca, gdzie mógłby mówić światu o swoich postępach, przyszła mi na myśl ta strona. Tacy ludzie lubią się gdzieś pokazać. Tak jak tutaj. Na takich stronach chwalą się swoimi osiągnięciami, publikują filmy, których nie ogląda nikt poza użytkownikami stron, potencjalnymi fanami. To naprawdę paskudne. Działa to na zasadzie moderowanego przez właściciela forum. Każdy właściciel określa swoje zasady, administrator w to nie ingeruje, dlatego mogą utrzymywać to w tajemnicy. W założeniu miała to być gwarantująca wolność wypowiedzi alternatywa dla naszego inwigilowanego społeczeństwa. Powstała, by ludzie mogli się swobodnie wypowiadać bez obawy, że ktoś ich obserwuje, twórca strony uznał, że narastająca inwigilacja w sieci prowadzi do utraty wolności słowa. Użytkownicy tworzą własne fora, na których można publikować w zasadzie wszystko.

– Ale... przecież takich forów mogą być setki. Jak go znajdziemy?

David podniósł na mnie wzrok.

– Nie tylko ty przez całą noc nie spałaś.

Najechał na link i otworzył go.

– Jest szyfrowana, ale wiem, jak to obejść.

Bardzo szybko stukał w klawisze, a ja patrzyłam, jak zyskuje dostęp do strony.

– Zawęziłem wybór do pięciu różnych forów, posiłkując się kluczem geograficznym. Ludzie myślą, że mogą ukryć swój adres IP, jeśli odbiją go po całym świecie, ale mnie nie oszukają. Wziąłem na celownik Florydę, a ta piątka jest stąd. Mamy pięć stron, na których

Pasożyt może się udzielać, możliwe, że jedną z nich sam prowadzi. Na żadnej nie ma archiwum, więc jeśli coś zostaje przesłane, potem znika, trochę jak na Snapchacie. Utrudnia to ewentualne rozliczenia. Trzeba być na stronie w odpowiedniej chwili, kiedy trwa relacja. Ustawiłem powiadomienia i jeśli cokolwiek pojawi się na tych pięciu forach, jeśli zacznie się relacja, będę o tym wiedział.

– I co teraz? Czekamy?

Pokiwał głową.

– Tak. W sumie tak.

Odetchnęłam powoli. Byłam zmęczona, ale cieszyłam się, że nareszcie mamy jakiś trop.

– Zaparzę nam kawy.

## Rozdział 76

Eileen zrobiła nam placki i jajecznicę, zjedliśmy razem, we czworo. Wpatrywałam się w zdjęcia Adama na ścianach, zastanawiając się, czy jeszcze będę mieć okazję poznać tego chłopca. Lubił łowić ryby, było to widać po tej galerii. Ta pasja łączyła go z Davidem, który też występował na zdjęciach, z różnymi wielkimi rybami w dłoniach.

– Napełniłam kajaki wodą – poinformowała nas Eileen w połowie śniadania – żeby nie odleciały podczas huraganu. Możemy użyć tej wody do splukiwania toalet, jak odetną bieżącą. Napełnię też kilka kanistrów i je zamrozę. Będą chłodziły produkty spożywcze, jak wyłączą prąd.

– Chyba przesadzasz, mamó. Damian nadciągnie na południu – odparł David. – Analizowałem rano modele, wszystkie pokazują, że główne uderzenie pójdzie na Fort Pierce. Nam nic nie będzie.

– Być może, ale nie zaszkodzi się przygotować na wszelki wypadek. Mam zapasy wody i jedzenia w puszkach, pieczywa i papieru toaletowego, żeby niczego nam nie zabrakło, kiedy to się już skończy. Wiesz, że minie kilka dni, zanim wszystko zacznie działać. Raz musiałam się obywać bez prądu dwa tygodnie. Nic fajnego, mówię wam. Nawet jeśli huragan uderzy na południu, będziemy przygotowani. Kamizelki ratunkowe są za kanapą w salonie, to na wypadek powodzi. Napełnię wanny wodą i pozaklejam taśmą zamki, żeby nie zasypał ich piasek. Wszystkie ważne dokumenty chowam do zmywarki, tam ich nie zaleje. Dajcie znać, gdybyście też chcieli coś tam przechować. Jest mnóstwo miejsca. Sąsiad pomoże mi potem obłożyć dom workami z piaskiem.

Pomyślałam o dzieciakach, miałam nadzieję, że nic im nie grozi. Znajdowały się na północ od huraganu, więc mogły porządnie obserwować. Przypomniałam sobie, że powinnam zadzwonić do Chada

i uczulić go na to. Musieliśmy opracować plan dla nich i dla mamy. Rozmawiałam z nim na początku tygodnia, uzgodniliśmy, że wszyscy pojedą do Orlando i przeczekają huragan w hotelu. Teraz zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam wrócić do domu. Urodziłam się na Florydzie, więc byłam do tego wszystkiego przyzwyczajona, nieraz musiałam się ewakuować, przeżyłam cyklony w Cocoa Beach, ale dzieciaki wychowały się w Waszyngtonie, więc mogły się przestraszyć. Mogły potrzebować matki.

Piłam kawę, kiedy zadzwonił telefon. David odebrał i wyszedł na werandę, bo tam był lepszy zasięg. Wrócił kilka sekund później, mocno zaciskał palce na aparacie, wpatrywał się nieobecny wzrokiem w przestrzeń.

– Dzwonili ze szpitala – powiedział. Wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.

– Co się stało, Davidzie? Coś z Adamem? – zapytała Eileen.

Pokiwał głową.

– Co się stało? – zapytałam.

– O-obudził się.

– Co? – pisnęła Eileen. – Co ty mówisz? Nie żartuj sobie tak, chłopcze!

David potaknął z uśmiechem.

– Powiedzieli, że obudził się dziś rano i wymamrotał do pielęgniarki coś, czego nie zrozumiała. Ale otworzył oczy, patrzył na nią. Wezwali lekarza, który go zbadał, jest już w pełni przytomny. Powiedzieli, że upłynie trochę czasu, zanim zaczniesz mówić zbornie i całkiem wróci do formy, ale wierzą, że odzyska pełną sprawność.

Przycisnęłam dłoń do ust.

– Boże, powinniśmy do niego jechać.

David pokiwał głową. Sydney wydała zdławione jęknięcie.

– No to jedźmy – powiedziała. – Tylko wezmę torebkę.

– Nie mogę w to uwierzyć. – David pokręcił głową, jakby chciał się otrząsnąć z szoku.

Przez chwilę miałam ochotę go uściskać, ale się opanowałam. Jeszcze nie byłam na to gotowa, a zaraz potem atmosfera się zmieniła. Sydney wróciła na dół z torebką. Miała na sobie kapelusz, perukę i okulary przeciwsłoneczne, aby nikt jej nie rozpoznał. Wsiadliśmy do samochodu, wyjeżdżaliśmy z podjazdu, kiedy telefon Davida znów piknął. David spojrział na niego, po czym zerknął na mnie nerwowo.

– Jedno z forów jest aktywne. Ktoś właśnie wrzucił tam link live'a.

## Rozdział 77

Wyskoczyłam z samochodu. David pędził za mną, razem wpadliśmy do jego biura. Znalazł forum i otworzył link z live'em na jednym z dużych monitorów.

Huśtawki.

– Na co patrzymy? – zapytałam z konsternacją.

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Wygląda to jak plac zabaw.

– Spójrz na komentarze. Ludzie się włączają i kibicują mu. Ale dlaczego?

– Liczba oglądających gwałtownie rośnie. Jest już ponad dwieście osób z całego świata, patrz. Są na monitorze tutaj. Łączą się z Indii, RPA, Malediwów, nawet ze Szwecji!

– Co on planuje?

– Trudno powiedzieć.

– Mam przeczucie, że nic dobrego. Plac zabaw oznacza dzieci, prawda?

David spojrzał na mnie z troską.

– Zazwyczaj tak. Patrz, coś się zaczyna dziać.

Wstrzymaliśmy oddech, kiedy z budynku wysypała się chmara dzieciaków. Komentarze mnożyły się jak oszalałe, ludzie pisali pasudne rzeczy o tym, co zrobiliby tym dzieciom. Aż mnie zemdliło. Co to za kreatury?

Jedno z dzieci podeszło do kamery, stało nieruchomo przez kilka sekund, wpatrując się w nią. Zbliżyło się i wzięło coś do ręki, a moje serce prawie się zatrzymało.

Chłopczyk otworzył opakowanie Pixie Stick, włożył wypełnioną cukierkowym proszkiem tutkę do ust i wysypał zawartość na język.

Na litość boską.

Spojrzałam Davidowi prosto w oczy w przypiływie paniki. Musieliśmy znaleźć te dzieciaki, zanim będzie za późno.

– Chyba wiem, gdzie to jest. – David wskazał palcem budynek w tle na ekranie. – To szkoła podstawowa Southside. Adam do niej chodził. Niedaleko centrum, przy Jasmine Street.

W drzwiach stanęła Sydney.

– Jedziemy czy nie? Tato?

Spojrzałam na Davida. W jego oczach malowało się niezdecydowanie.

– Wy jedźcie – oświadczyłam. – Ja się tym zajmę. Jedźcie do Adama.

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Tak! No jedź! – krzyknęłam niezamierzenie głośno. Kolejne dzieciaki podchodziły do chłopca i sięgały po cukierki, napięcie związane z tą sytuacją potęgowało mój stres. Chwyciłam za telefon i zdołałam wybrać numer alarmowy, kiedy biegłam do samochodu. Ruszyłam z piskiem opon, próbując tłumaczyć dyspozytorowi, że to nie żart, że nie jestem szalona, że gromada dzieciaków lada chwila zostanie otruta w szkole podstawowej i że na miejsce należy wysłać policję i inne służby.

– Będziemy potrzebować karettek – krzyknęłam, pędząc Jasmine Street w kierunku szkoły. Wciskałam gaz do dechy i trąbiłam na każdego, kto mi zagradzał drogę. – Mnóstwa karettek!



## Rozdział 78

E.T. czuł się dobrze. Oglądał live'a na monitorze, czytał komentarze i sprawdzał liczebność widowni, która rosła w niezłym, równym tempie. Szybko sięgnęła pięciuset osób, ku jego zadowoleniu. Zaraz potem zbliżyła się do tysiąca. Wiedział, że to będzie jedna z jego najlepszych relacji i nie mylił się, jak widać. Krzywdzenie dzieci z jakiegoś powodu mobilizowało fanów.

Pierwsze dziecko sięgnęło po Pixie Stick i przesypało sobie zawartość do ust, całkowicie nieświadome prawdziwej zawartości tubki, nieświadome, co E.T. wymieszał z cukrem.

Głupie, naiwne bachory.

Czekał niecierpliwie, aż dołączą kolejne dzieci, i nie rozczarował się. Kilka sekund później w zasięgu kamery pojawił się drugi chłopiec, chwycił naręczę cukierków i zaczął się nimi zajadać. Zawołał też innych. Wkrótce w obiektywie zaroilo się od drobnych, niewinnych twarzątek, sięgały do koszyka i zajadały cukierki, jakby nie było jutra.

Cóż, dla nich nie było.

Wpadł na ten pomysł, kiedy przeczytał, że zatrute cukierki na Halloween to mit, że coś takiego nigdy się nie wydarzyło. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu ludzie postanowili bać się halloweenowych słodczy, do których ktoś mógł dosypać trucizny, żyletek, potłuczonego szkła i innych tego typu rzeczy, by okaleczyć przypadkowe dzieci. Fakty jednak były takie, że to się nigdy nie wydarzyło. W policyjnych archiwach nie było doniesień o ludziach rozdających zatrute słodczy z okazji Halloween. Była to miejska legenda, historia podsycana przez media i zaniepokojonych rodziców. Jedyna prawdziwa historia opowiadała o dziecku zamordowanym przez własnego ojca w 1974 roku w Teksasie. Ojciec liczył na pieniądze

z ubezpieczenia i dlatego nakarmił dziecko Pixie Sticks zatrutymi cyjankiem. Cała reszta to były bajki, pozbawiony podstaw strach. Aż do dzisiaj.

Tego dnia bowiem E.T. urzeczywistnił koszmar. Od teraz rodzice już nigdy nie pozwolą dziecku wziąć cukierka od obcych, zwłaszcza z rąk klauna. Ta opowieść przejdzie do historii.

Było to jego dzieło.

Roześmiał się, kiedy pierwsze dziecko osunęło się na ziemię. Za nim następne, dzieciaki padały jak muchy. Niektóre trzymały się za brzuch, wiły się w konwulsjach, inne osuwały się na chodnik bez żadnych znaków ostrzegawczych. Wyglądało to przerażająco, jak w horrorze.

A było tym straszniejsze, że działa się naprawdę.

Liczba widzów rosła. Sięgnęła dwóch tysięcy, grono cały czas się powiększało.

Pięć tysięcy, sześć, siedem, osiem... Czy to możliwe... Czyżby ta magiczna liczba i wyforsowanie się przed wszystkich leżały w jego zasięgu?

Dziewięć... dziesięć... jedenaście!

Jedenaście tysięcy osób z całego świata oglądało jego skromną relację, komentowało i gratulowało mu. Na to właśnie czekał. Osiągnął swój ostateczny cel.

Nareszcie zyskał sławę.

## Rozdział 79

– Przestańcie! Rzućcie te cukierki!

Wpadłam na plac zabaw, przeskoczyłam przez płot. Dwie nauczycielki już podbiegły do dzieci, które leżały na ziemi. Jedna z nich zanosiła się histerycznym płaczem. Podeszłam do nich. W oddali rozległy się syreny, co oznaczało, że dyspozytorka potraktowała mnie poważnie. A może ktoś z grona nauczycielskiego również dokonał zgłoszenia i wtedy wysłano pomoc. Nie miało to znaczenia. Najważniejsze było to, że pomoc jest w drodze. A była potrzebna. Bardziej niż kiedykolwiek.

Dwanaścioro dzieci leżało na ziemi. Kilkoro wymiotowało albo trzymało się za brzuch i krzyczało z bólu. Mała dziewczynka ścisnęła Pixie Stick w dłoni, już miała wysypać proszek do ust, kiedy ją powstrzymałam, wytrąciłam jej tutkę z rąk. Rozpłakała się bezradnie, a ja podeszłam do ławki.

Siedział na niej klaun, na kolanach trzymał koszyk. Zwiesił głowę, w ogóle się nie ruszał.

– Pomoc jest w drodze – poinformowałam nauczycielki, które zawodziły nad leżącymi dziećmi. – Karetki już jadą. Policja też. Będą tu lada chwila.

– On nie oddycha – odparła jedna z nich. – Po prostu przestał oddychać. Co mam robić? Nie wiem, co mam robić.

– Ten też nie oddycha – dodała druga, gorączkowo reanimując inne małe ciało. – Nie wiem, co robić!

– Nie przerywajcie reanimacji, dopóki nie pojawi się pomoc – nakazałam im, po czym rzuciłam się do kolejnego dziecka. Odwróciłam je i zaczęłam szukać pulsu. Kiedy go nie znalazłam, zaczęłam uciskać klatkę piersiową i wdmuchiwać powietrze do ust. Na

próżno. Syreny wyły coraz bliżej, a my walczyłyśmy o życie dzieci, dopóki nie pojawili się ratownicy z noszami i w mundurach. Wyczołamałam się, by zrobić im miejsce. Ręce mi się trzęsły, gorzko płakałam. Przygniótł mnie widok tyłu pozbawionych życia dzieci.

Skąd to całe zło? Jak ktoś mógł zrobić coś takiego i nadal nazywać siebie człowiekiem?

W przypiływie gniewu odwróciłam się do klauna, przypomniałam sobie, że widziałam to wszystko na filmie w biurze Davida, tak jak tysiące innych subskrybentów kanału sprawcy. Podeszłam bliżej, przycisnęłam dwa palce do jego szyi, ale nie wyczułam pulsu. Przyjrzałam się bliżej kostiumowi. Pośrodku kudłatej rudej peruki zauważyłam kamerkę GoPro. Wzięłam głęboki oddech i spojrzałam prosto w obiektyw.

– Możesz się chować za kamerkami, ile tylko chcesz, ty chory tchórze, ale cię dopadnę. Słyszysz? Znajdę cię, choćby miała to być ostatnia rzecz w moim życiu.

Stojąc przed kamerką, w końcu mogłam się lepiej przyjrzeć klaunowi. Przyszło mi do głowy, że skądś go znam, więc zdjęłam mu perukę i ujęłam jego twarz w dłonie, próbując dostrzec, kto kryje się pod makijażem, by się upewnić, że się nie pomyliłam.

– O Boże. – Przycisnęłam dłoń do ust. – O dobry Boże.

## Rozdział 80

Plac zabaw wyglądał jak strefa działań wojennych. Patrzyłam, jak dzieci są po kolei wywożone na noszach. Ludzie krzyczeli, panował chaos. Nie byłam w stanie dłużej powstrzymać przyływu emocji. Szok przejął kontrolę. Łzy płynęły mi po policzkach, siedziałam porażona koło martwego klauna.

Nic gorszego nie widziałam, nawet kiedy pracowałam w FBI. Nic.

W końcu, kiedy dzieci odjechały w karetkach, a nauczyciele zdali policji relację z tego, co się wydarzyło, podszedł do mnie zastępca szeryfa. Rozpoznałam go, to był Williams, ten sam, który przyjechał po mój telefon, kiedy otrzymałam filmik z domu opieki.

– Proszę pani?

Podniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy, po czym odwróciłam się do klauna. Mój głos zadrżał, kiedy przemówiłam:

– Nie żyje. Nie zasłużył na śmierć.

Williams pokiwał głową i zerknął na klauna.

– Nauczycielki powiedziały, że dzieci jadły cukierki z koszyka na jego kolanach. Domyśla się pani, skąd się wzięły te cukierki?

Pokręciłam głową.

– Nie. Chciałabym wiedzieć. Ktoś go tu posadził, bo wiedział, że dzieci sięgną po cukierki. Przecież to oczywiste, to dzieci. Nie mogły zdawać sobie sprawy z ryzyka, prawda?

– Prawda.

Pociągnęłam nosem i otarłam łzę dłonią, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Nie było to łatwe po tym, co właśnie przeżyłam. Zżerało mnie poczucie winy. Czy mogłam zareagować szybciej? A gdybym nie zawahała się w samochodzie, kiedy David powiedział, że zaczęła się relacja na żywo? Przez kilka sekund rozważałam zi-

gnorowanie jej na rzecz wizyty u Adama. Dlaczego się zawahałam? Dlaczego tak dużo czasu zabrało mi wyjście z domu, kiedy już rozumiałam, co się dzieje? Mogłam przyjechać kilka sekund wcześniej. Dlaczego nie jechałam szybciej? Gdybym zjawiła się szybciej, ocalałoby kilka istnień. Mogłoby ocaleć.

To były dzieci.

Wszystkie te dzieci miały rodziców, którzy jeszcze nic nie wiedzieli, nie wiedzieli, że ich życie właśnie na zawsze się zmieniło. Już nigdy nie będzie takie samo. Utrata dziecka to najgorsze, co może spotkać rodzica.

– Proszę się przyjrzeć temu klaunowi – doradziłam Williamsowi posępnie. – Zna go pan.

Williams poszedł za moją radą. Stał przed klaunem przez kilka sekund, przyglądał mu się uważnie, zanim zrozumiał.

– To McMillen – dodałam. – Śledczy McMillen.

Williams zrobił przerażoną minę. Wstałam i odeszłam, a on krzykiem wezwał ratowników medycznych. Zaraz potem zebrali się wokół McMillena inni zastępcy, krzyczeli i ponaglali ratowników. Na próżno. Wiedziałam, że śledczy nie żyje już od jakiegoś czasu.

Williams podszedł do mnie, kiedy już McMillen został zabrany. Podał mi butelkę wody, a potem spisał całe moje zeznanie, ręka mu się trzęsła. Powiedziałam mu o stronie internetowej, na której zobaczyłam relację na żywo, powiedziałam, skąd o wszystkim wiem. Nie próbowałam już nawet opisywać tego tak, aby nie brzmiało jak szaleństwo, przestało mi zależeć. Dwoje dzieci zmarło w drodze do szpitala, czułam, że będzie ich więcej.

Było to nie do zniesienia.

– Mogłam to powstrzymać – mamrotałam do siebie, kiedy Williams pisał w notesie. – To wszystko moja wina. Mogłam to powstrzymać.

## **Rozdział 81**

### *Wcześniej*

– Co ty robisz?

Marlene nie przerwała, by odpowiedzieć Bruce'owi. Miała nadzieję, że nie będzie go w domu. Tymczasem siedział na kanapie w salonie, kiedy wróciła, i wpatrywał się w przestrzeń. Stała w progu, przyglądała mu się przez chwilę, po czym pobiegła na górę i ściągnęła walizkę z szafy. Nie odezwała się do niego ani słowem, nie chciała. Otworzyła szufladę, zebrała ulubione podkoszulki i topy, po czym wrzuciła je do walizki.

– P-pakujesz się?

Znieruchomiała, ale tylko na chwilę, po czym sięgnęła po bieliznę i z gniewnym parsknięciem wcisnęła ją do walizki obok koszulek.

– Co tu się dzieje? – Nieco podniósł głos. – Marlene? To już ze mną nie rozmawiasz?

Wzięła głęboki oddech, po czym odparła szeptem:

– Odchodzę.

– Zostawiasz mnie?! – Jego głos przeszedł w krzyk.

W końcu odwróciła się, by na niego spojrzeć, ręce schowała za plecami, by nie zobaczył, jak się trzęsą.

– Tak, Bruce, zostawiam cię.

– Ale... dlaczego? Z powodu tych kłamstw, którymi cię nakarmili?

Spojrzała mu w oczy i poczuła ucisk w sercu. Tak bardzo go kochała, że nie wierzyła, by coś mogło tę miłość zniszczyć.

– Muszę, Bruce. Dla siebie. Dla Jacka.

– Nie rozumiesz? Tego właśnie chcą. Chcą nas rozdzielić. Dajesz im dokładnie to, czego chcą.

– Im, czyli komu, Bruce? Policji? Departamentowi Dzieci i Rodziny? Niby kto próbuje cię dopaść?

Uniósł ręce w górę w geście irytacji.

– Oni wszyscy. Zmyślają to, mówię ci. Nigdy nic takiego nie zrobiłem. Przecież to wiesz, Marlene. Znasz mnie ile...? Dziesięć lat? Wiesz, że nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. W dodatku własnemu dziecku. Dlaczego wierzysz im, a nie mnie? Naprawdę tego nie rozumiem, Marlene, naprawdę nie rozumiem, co się teraz dzieje. Przeraża mnie to. Potrzebuję twojej pomocy, aby przez to przejść. Myślałem, że jesteśmy w tym razem. Myślałem, że się wspieramy. Jeśli odejdziesz, nikt mi nie zostanie. Będę całkiem sam, Marlene.

Spojrzała na niego. Jego oczy napełniły się łzami. Trudno się na to patrzyło. Przecież jeszcze kilka dni temu go kochała. Zanim to wszystko się zaczęło, zanim powiedzieli jej te wszystkie rzeczy, zanim...

– Nie chodzi tylko o to, co mi powiedzieli. Jest więcej. Te rzeczy, o których do tej pory nie wiedziałam. Rzeczy, które przede mną ukrywałeś, to z nimi nie mogę żyć.

Zatrzasnęła wieko walizki, przeklinając to wszystko w duchu. Żałowała, że nie może cofnąć się w czasie do chwili, kiedy nie miała o niczym pojęcia, kiedy jej życie było dobre i proste, kiedy miała syna i męża, którego kochała, któremu ufała. Miała wszystko, o czym marzyła. A teraz nic nie zostało. Jakim cudem tak szybko to wszystko straciła? Jak to możliwe, że wszystko zmieniło się tak drastycznie w ułamku sekundy?

Bruce płakał za jej plecami, jej już złamane serce popękało jeszcze bardziej. Jak do tego doszło? Byli taką szczęśliwą parą, to oni byli wzorem dla innych. Byli nierozłączni. Tak bardzo w sobie zako-



chani, że nic nie mogło ich rozdzielić. Przeszli razem tak wiele. I to miał być koniec?

Naprawdę tego nie chciała. Pragnęła obudzić się z tego koszmaru. Za późno. Teraz już nie mogła się cofnąć.

Chwycił ją za rękę, kiedy próbowała przejść obok niego z walizką.  
– Jakie rzeczy, Marlene? Proszę, powiedz mi. Jesteś mi to winna.

Wzięła głęboki oddech. Właśnie tego miała nadzieję uniknąć. Naprawdę nie chciała tu być, kiedy Bruce uświadomił sobie, że się dowiedziała.

– Znaleźli różne rzeczy. Na twoim komputerze.

– Jakie rzeczy?

Spojrzała mu w oczy, patrzyła w niego uważnie i przez chwilę jej się wydawało, że dostrzega w nim niewinność, którą znała i rozumiała.

Czyżby naprawdę nie wiedział, o czym mowa? Czyżby był niewinny?

Nie, to niemożliwe.

Pokręciła głową i wyrwała rękę z jego uścisku. Zbiegła po schodach odprowadzana jego krzykami.

– Co znaleźli na moim komputerze? Do cholery, Marlene. Powiedz mi! Dlaczego tego po prostu nie powiesz?

Zatrzymała się u podnóża schodów i podniosła na niego wzrok. Był wściekły, jego oczy płonęły.

– Zastanów się, Bruce. Co takiego mogli znaleźć na twoim komputerze, że postanowili odebrać ci dziecko, że twoja żona postanowiła cię z tego powodu zostawić? Nie zgrywaj niewiniątka. Dobrze wiesz, o czym mówię. Tak, odchodzę, a ty wiesz dlaczego. Bo muszę. W przeciwnym razie wszystko stracę. Nigdy nie oddadzą mi Jacka, jeśli będę z tobą. Muszę od ciebie odejść, żeby się ratować.

Podeszła do drzwi i położyła dłoń na klamce. Bruce chwycił wazon i cisnął go za nią. Wazon roztrzaskał się na drzwiach tuż po tym, jak je za sobą zatrzasnęła, słyszała, że w domu Bruce szaleje z gniewu. Pobiegła do samochodu i odjechała najszybciej, jak tylko mogła, opony zapiszczały na asfalcie. W duchu dziękowała Bogu za to, że pozwolił jej uciec.

## Rozdział 82

E.T. wpatrywał się w ekran komputera, z którego patrzyła na niego twarz przyprawiająca go o dreszcz niepokoju. Niebieskie oczy spoglądały prosto do kamery, którą umieścił na głowie klauna. Rude włosy zebrane w kucyk poruszały się, kiedy kręciła głową.

Oglądał nagranie z placu zabaw, raz po raz wracał do chwili, kiedy podeszła do siedzącego na ławce McMillena, zatrzymywał film, gdy spoglądała prosto w kamerę, by zostawić mu wiadomość, bo wiedziała, że ją usłyszy.

– Dopadnę cię – powiedziała. – Znajdę cię, choćby miała to być ostatnia rzecz w moim życiu.

Odsłuchiwał wiadomość raz po raz, po czym zatrzymywał nagranie i patrzył jej prosto w oczy.

– Tylko spróbuj – mamrotał.

Z początku był wściekły, kiedy sobie uświadomił, że zobaczyła jego nagranie. Tylko tak dało się wyjaśnić jej obecność na placu zabaw tak wcześnie, zanim nadjechała policja. To napełniło go strachem. Czyżby siedziała mu na karku? Była tak blisko?

Po chwili się jednak uspokoił. A gdyby nawet się dowiedziała? Co z tego? Co z tego, że jakimś cudem zyskała dostęp do jego strony i śledziła relację na żywo? To nie oznaczało, że go złapie. Wyprzedzał ją o kilka długości.

Na myśl, że ona obserwuje jego pracę, zapragnął podnieść poprzeczkę. A jeszcze jej się wydawało, że jest blisko – to było wręcz ekscytujące. Chciał się z nią zabawić w kotka i myszkę, a ona wykonała nieoczekiwany ruch. I co z tego? Poradzi sobie.

Mogło mu się to nawet przydać. Zyskał do niej bezpośredni dostęp. Należało to teraz dobrze wykorzystać.

Roześmiał się drwiąco, patrząc na twarz na ekranie. Sięgnął po nóż i przyłożył go do nagiej piersi. Zamknął oczy i napisał kolejne słowo, zagryzając usta z bólu, kiedy krew spływała po skórze na brzuch. Potem obejrzał litery w lustrze, rana pulsowała, a on sapał z wysiłku.

UPRZEJMOŚĆ

## Rozdział 83

Nie byłam w stanie prowadzić. David zadzwonił, kiedy policja powiedziała, że jestem wolna, więc poprosiłam, by po mnie przyjechał. Nie mogłam przestać płakać, ręce mi się trzęsły.

Zjawił się dziesięć minut później z Sydney w fotelu pasażera. Wy-skoczyła z samochodu i podbiegła do mnie, wzięła mnie w ramiona.

– To nie twoja wina, słyszysz? To nie twoja wina – powtarzała bez końca.

Uwolniłam to wszystko z siebie, wypłakałam się na ramieniu siostry, nie wiedząc, co jeszcze mogłabym zrobić, jak przejść nad tym do porządku dziennego.

Kiedy puściła mnie Sydney, przytulił mnie David. Pomógł mi wsiąść do samochodu, swoje kluczyki oddałam siostrze, żeby odwiozła mój samochód. Sama pojechałam z Davidem, ukryłam twarz w dłoniach i płakałam, aż zabrakło mi łez. David nic nie mówił, za późno sobie uświadomiłam, że nie jedziemy do domu, lecz do szpitala. Zaparkował przed dużymi szklanymi drzwiami i spojrzał na mnie.

– Davidzie... nie sądzę...

– Obudził się, Evo Rae. Chcę, byś zobaczyła, o kogo walczysz, kiedy próbujesz złapać prawdziwego zabójcę. Chcę, byś spojrzała mu w oczy i dowiedziała się, kim jest.

Patrzyłam na niego, kiedy szukałam wymówki, by nie wejść do środka, ale żadna nie wydała mi się przekonująca.

– Proszę. On chce cię poznać – dodał David. – Sydney już zna, o tobie tylko słyszał.

Poczułam, że mój puls przyspiesza, kiedy zastanawiałam się, czy chcę wejść do środka. Nie byłam pewna, czy jestem w odpowiednim

stanie, by poznać niedawno odnalezionego brata, nie byłam pewna, czy chcę, by zobaczył mnie w takiej formie, ale ciekawość zwyciężyła. Przecież właśnie po to tu przyjechałam, nieprawdaż?

– No dobrze. – Otworzyłam drzwi. Wsiadłam i spojrzałam na wielki budynek szpitala. Wróciłam myślami do tych biednych dzieci i ich rodzin, które na pewno czekały w tych murach na wieści.

Pokręciłam głową, kiedy wchodziliśmy do środka. Uznałam, że Sydney ma rację. Nie mogłam winić siebie, jakkolwiek było to trudne. Należało winić Pasożyta i skupić się na złapaniu go. Należało się skupić na tym, co teraz, a nie na tym, co już się stało. Tylko tak mogłam pójść dalej.

– Niewiele mówi, zdarza mu się odpłynąć, więc nie mogę obiecać, że zdoła z tobą porozmawiać – uprzedził David, kiedy szliśmy w kierunku sali. Otworzył drzwi i przepuścił mnie w nich.

– Synu?

Wszedł do środka, a ja stanęłam tuż za nim. Denerwowałam się.

Adam zamrugał i spojrzał na Davida, po czym uśmiechnął się słabo.

– Tata.

David wziął go za rękę i też się uśmiechnął.

– Przyprowadziłem ci gościa.

Odsunął się na bok, by Adam mógł mnie zobaczyć.

– To twoja druga siostra, Eva Rae.

Pomachałam wstydliwie. Adam roześmiał się cicho.

– Słyszałem o tobie – wykrztusił. – To ty jesteś gliną, prawda? Z FBI? Super. Tata ciągle o tobie mówi, zawsze chciałem cię poznać.

Prawie się rozplakałam. David opowiadał o mnie Adamowi? Nie wiedziałam. Na samą myśl oblałam się rumieńcem.

Spojrzałam w niebieskie oczy brata. Przyglądałam się jego rudym włosom i piegom. Był do mnie taki podobny, że zapierało mi dech. Aż do tej pory tego nie widziałam, ale wyglądał kropka w kropkę jak ja. To Sydney się wyróżniała, co sprawiło, że poczułam się lepiej. Do tej pory to ja się wyróżniałam w rodzinie.

– Tak, jestem gliną – odparłam. – I chcę, byś wiedział, że ci wierzę. Wierzę w twoją niewinność, Adamie, i pomogę ci ją udowodnić.

## Rozdział 84

– Ile pamięta?

Wyszliśmy z Davidem poszukać automatu z kawą, Adam mógł w tym czasie odpocząć. Szybko się zmęczył, zaczęły się problemy z doborem słów, więc postanowiliśmy dać mu trochę czasu, a ja uznałam, że będzie to dobra okazja, by David wszystko mi zreferował.

Pokręcił głową i dmuchnął na kawę w plastikowym kubku.

– Niewiele. Mówi, że odprowadził Allyson do domu w noc imprezy, pogodzili się po drodze. Już się nie kłócili. Kiedy się obudził następnego ranka, usłyszał o jej zaginięciu. Jej rodzice zadzwonili zapytać, czy Allyson u nas jest, ale jej nie było. Potem pomagał jej szukać. Przeraził się śmiertelnie, kiedy otrzymał film. Allyson była na nim przywiązana do krzesła, płakała. Ktoś stał za nią, przyłożył jej nóż do gardła. Twarzy sprawcy nie było widać, ujęcie było odpowiednio wykadrowane, ale dało się słyszeć instrukcję: Adam ma wejść do stołówki i zastrzelić jak najwięcej osób, w przeciwnym razie Allyson zginie. Porywacz umieścił broń w plecaku, plecak włożył do szkolnej szafki, nakazał Adamowi ją wyjąć w czasie przerwy obiadowej i strzelać. Gdyby komuś powiedział, Allyson by zginęła. Gdyby zadzwonił na policję – też. Adam był przerażony, nie wiedział, co robić. Uznał, że jeśli ostrzela sufit, nikt nie zginie, on ocali życie Allyson i nikogo nie skrzywdzi. Potwornie się bał, biedny chłopak.

Upiłam łyk kawy i spojrzałam na Davida.

– A film? Zapisał go? Ma go w telefonie?

David wziął głęboki oddech i pokręcił głową.

– Film otrzymał na Snapchacie od nieznajomej osoby.



Pokiwałam głową.

– Oczywiście. Na Snapchacie wiadomości są usuwane, kiedy je już obejrzysz. Nie zostaje żaden ślad.

– Gdybym miał jego telefon, może mógłbym go znaleźć – mruknął David. – Robiłem już podobne rzeczy. Ale nie mam jego telefonu. Policja go zabrała.

– Odzyskiwałeś filmy ze Snapchata? – zapytałam zaskoczona.

– Do pracy – odparł.

– Kiedyś musisz mi opowiedzieć dokładniej o tej swojej pracy. Brzmi to bardzo interesująco.

– Chyba nie rozumiem.

Otworzyłam szerzej oczy i posłałam mu znaczące spojrzenie.

– Serio?

Skinał głową.

– Serio. Poza tym potem musiałbym cię zabić, mówiłem ci.

Roześmiałam się lekko i upiłam łyk kawy. Zajrzałam przez uchylone drzwi do pokoju Adama, spał.

– Podejrzewam, że policja ci nie wierzy?

Pokręcił głową.

– Nie. Trzymają się tej wersji, w której Adam wkurzył się na Allyson, zabił ją, porzucił ciało, a potem urządził strzelaninę w szkole. W sumie trudno im się dziwić. To najlogiczniejsze wytłumaczenie.

– I najłatwiejsze – mruknęłam, wrzucając kubek po kawie do kosza.

David wziął głęboki oddech.

– Jutro go aresztują – dodał. – Właśnie się dowiedziałem. Przenieś go do więziennego szpitala. Lekarz uważa, że jego stan na to pozwala.

Serce mi prawie stanęło, kiedy to usłyszałam.

– Nie mówisz poważnie!

David uniósł brwi.

– Niestety.

– Nie wierzę. Przecież dopiero teraz mogliśmy się z nim zobaczyć.

Właśnie się obudził. Nie mogą go już przewieźć!

– Taki mają zamiar.

– Ale... musimy coś zrobić.

David wzruszył ramionami, w jego oczach błysnęły łzy.

– Ale co możemy zrobić?

## Rozdział 85

Matt wjechał na parking przed Publixem i zgasił silnik. Okna wszystkich punktów usługowych w centrum handlowym zostały zabite płytami sklejk. Matt przez cały dzień zabezpieczał dom matki, zamykał żaluzje i uruchomił generator, aby się upewnić, że działa. Planował przeczekać żywioł z mamą i Elijahem. Damian miał uderzyć na południu tego ranka, ale wykonał gwałtowny skręt w kierunku północnym i teraz zmierzał ku wybrzeżu, nabierając siły nad Atlantykiem. Prognozy przewidywały, że będzie się przemieszczać wzdłuż wybrzeża i że zostanie nad oceanem, istniało więc duże prawdopodobieństwo, że nic im nie zgrozi. Przeżył o wiele gorsze cyklony niż ten. Westchnął i spojrzął na listę od matki, która poprosiła go o zrobienie zakupów.

„Mama nadal dla mnie gotuje. Mówi mi, co mam kupić. To żenujące”.

Nie mieszkał z nią zawsze. Miał własne lokum przy plaży. Potem jednak huragan zniszczył jego mieszkanie, a mama powiedziała, że może przeprowadzić się do niej na czas, kiedy będą naprawiać mu dach. Miało to być chwilowe, ale potem dowiedział się o Elijahu, a po śmierci jego mamy przejął nad nim opiekę i zrozumiał, że nie ma powrotu do dawnego życia. Uważał to za rozwiązanie przejściowe, a teraz patrzył na listę zakupów i nagle poczuł, że się dusi. Nie mógł przestać myśleć, że może to wcale nie jest przejściowe. Może tak już zostanie, dopóki Elijah nie dorośnie i się nie wyprowadzi. Może nawet wtedy Matt nie będzie mógł zostawić matki, bo ta zacznie go potrzebować ze względu na wiek, nie będzie już radzić sobie sama.

I nigdy się od niej nie wyprowadzi.

Wysiadł z samochodu, chwycił koszyk i wszedł do sklepu. Włożył do niego wszystkie produkty z listy, którą znał już niemal na pamięć, bo co tydzień kupował w zasadzie to samo. Tym razem z kilkoma wyjątkami, bo przygotowywali się do przeczekania huraganu, który miał ich ominąć nad oceanem. Ludzie wokół niego gromadzili baterie i wodę, jakby nie było jutra.

Prawie mu się udało nie wpaść na nikogo znajomego, ale przechodząc obok pustej alejki z płatkami śniadaniowymi, zauważył Chada, który stał na środku i wpatrywał się w opakowanie płatków cynamonowych.

„Zawróć i odejdz, Matt. Po prostu zawróć, to cię nie zauważy”.

Zawrócił wózek, ale za późno.

– Cześć! Nie zauważyłem cię.

Znieruchomiał na dźwięk głosu Chada, po czym odwrócił się do niego z uśmiechem.

– No taaa...

– Robisz zapasy na wypadek huraganu? Podobno przesuwa się wzdłuż wybrzeża, zamiast uderzyć na południu. Wody już nie ma. Kupiłem ostatnią. Pieczywa też już nie ma. O bateriach również możesz zapomnieć.

– Tak, od huraganu dzieli nas jeszcze dzień lub dwa, więc biorę tylko kilka rzeczy dla mamy.

– My wieczorem jedziemy w głąb lądu. Obiecałem Evie Rae, że opuścimy wyspę przed wszystkimi, gdyby wyglądało na to, że Damian zmieni kierunek. Tak będzie lepiej, co nie? To mój pierwszy huragan, więc szczerze mówiąc, niczego nie jestem pewien. Jak się tu dorasta, to pewnie bułka z masłem, co? Mnie to przeraża, ale ludzie mówią, że wyjadą tylko, jeśli Damian uderzy bezpośrednio w wyspę albo zmieni kategorię na wyższą niż trzecia. Część dekla-

ruje, że zostanie, nawet jeśli to będzie czwórka albo piątka. Wyobrażasz sobie? Ja bym się w życiu nie odważył na coś takiego.

– Może nie będzie tak źle – mruknął Matt. – Wygląda na to, że huragan ominie wybrzeże.

– Ale ja chyba i tak zabieram dzieciaki. Ktoś mówił, że huragan przemieszcza się szybciej niż w prognozach i że może uderzyć we Wschodnie Wybrzeże jutro wieczorem. Nie chcę tu wtedy być. To prawdziwa bestia. Podobno od rana czwórka.

– Cóż, ja jestem niemal pewien, że zostanie na oceanie. Wszystkie modele tak twierdzą. Tylko nieliczne przewidują, że dotrze na ląd.

Matt sięgnął po opakowanie Special K. Już miał odejść, kiedy Chad zachichotał.

– Wiesz, ile tam jest cukru? Eva Rae nie pozwala mi kupować takich płatków dzieciom, ale hej, nie ma jej tu, a czego oczy nie widzą... Ty też jej pewnie nie powiesz.

„Bo już nie jesteśmy razem, o to ci chodzi? To chcesz powiedzieć?”

Chad posłał Mattowi triumfalne spojrzenie, od którego ten prawie eksplodował, po czym pchnął wózek i zniknął na końcu alejki. Matt stał nieruchomo, tylko nozdrza mu drżały.

„Naprawdę pozwolisz, żeby ten koleś postawił na swoim? Naprawdę pozwolisz mu tak łatwo wygrać?”

Już miał coś krzyknąć za rywalem, ale się powstrzymał. Wziął głęboki oddech na uspokojenie i zrozumiał, jak bardzo się mylił.

Nie chodziło o Chada ani o żadnego innego faceta. Chodziło o niego i o to, że po raz kolejny pozwolił odejść miłości swojego życia.

– To zły pomysł – mruknął pod nosem i pchnął swój wózek. – Najwyższa pora, żebyśmy zawalczył o nią i o nas.

## Rozdział 86

David pojechał do szpitala z samego rana, więc śniadanie jadłam z siostrą i z babcią, kiedy ktoś zapukał do drzwi. W duchu przygotowałam się na konfrontację i poszłam otworzyć.

– Foster? Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Daruj sobie, Thomas.

Skinął na stojących za nim zastępców, którzy postąpili do przodu. Jeden z nich mnie chwycił i odwrócił, a drugi skuł i odczytał mi moje prawa. Wykręcił mi nadgarstki, ale nie skarżyłam się. Wiedziałam, jak ważne jest niestawianie oporu. Protesty czy też wyrywanie się tylko pogorszyłyby moją sytuację.

– Co tu się dzieje? – W drzwiach stanęła Sydney. Spojrzała na śledczego, a potem na mnie i kajdanki na moich rękach. W jej oczach pojawiła się troska. – Co wy robicie?

– Aresztują mnie – odparłam, siląc się na spokój.

– Dlaczego? Dlaczego cię aresztują? Za co? J-jak? Nie rozumiem.

– Jest pani aresztowana pod zarzutem utrudniania śledztwa – poinformował mnie Foster, po czym zwrócił się do zastępców: – Zabierzcie ją.

– Zaraz! – rzuciła Sydney. – Dlaczego? Co ona takiego zrobiła?

Foster zatrzymał się i odwrócił, by spojrzeć na Sydney.

– Między innymi ostrzegła podejrzanego, który dzięki temu uciekł.

– Kto?

– Adam Clarke. Nie było go w sali, kiedy po niego przyjechaliśmy. Sydney zrobiła przerażoną minę.

– Adama nie było w sali? Ale... Przecież ktoś go pilnował?

Uśmiechnęłam do niej, próbując ją zapewnić, że nic się nie dzieje, ale mnie nie zrozumiała. Nie uciszyło to jej protestów.

– Nie możecie tu przychodzić i...

– Tak się składa, że mogą – przerwałam jej.

Zrobiła taką minę, jakby nie mieściło jej się to w głowie.

– Ale... Jak... Co mogę...

– Załatw mi adwokata – odparłam. – Tylko tak możesz mi teraz pomóc. To byłaby bardzo duża pomoc.

Zdębiała, nie ruszała się, tylko na nas patrzyła.

– D-dobrze.

Znów się do niej uśmiechnęłam, żeby dodać jej otuchy, a zastępcy poprowadzili mnie do radiowozu. Osłonili mi głowę, kiedy wsadzali mnie do tyłu. Ostatnie, co zobaczyłam, zanim mnie zabrali, to Sydney, która stała na werandzie z bezradną miną. Obok niej pojawiła się Eileen.

Modliłam się, by siostra znalazła mi dobrego adwokata, i to szybko.

## Rozdział 87

– Skąd pani wiedziała, że cukierki są zatrute?

Uśmiechnęłam się, siląc się na cierpliwość. Była to czwarta godzina przesłuchania w biurze szeryfa. Opowiedziałam im kilkakrotnie wszystko, co wiedziałam. Już mnie to zmęczyło, chciałam wracać do domu.

– Już mówiłam. Zobaczyłam to w relacji na żywo.

– W jakiejś zaszyfrowanej wiadomości na forum, tak, mówiła pani. Po prostu sprawdzamy, czy chciałaby pani zmienić zeznanie – wyjaśnił Foster – na jakieś trochę bardziej wiarygodne.

Ktoś podszedł do drzwi, Foster wstał, żeby z tą osobą porozmawiać, po czym wrócił. Potarł czoło niepewnym gestem.

– W cukierkach znaleziono cyjanek. Tak jak w szampanie w hotelu Ritz-Carlton. – Wskazał na mnie palcem. – Pani o tym wiedziała. Powiedziała pani McMillenowi, że szampan był zatruty. Tak jak cukierki. Nie rozumiem, skąd pani to wiedziała. Skąd pani wiedziała o bombie w teatrze?

– To akurat był zbieg okoliczności. W teatrze pojawiłam się przypadkiem. Ale wierzę, że to wszystko dzieło jednego człowieka.

– Tak pani twierdzi. A ja chcę wiedzieć, gdzie jest Adam Clarke. – Westchnął. – Musimy to wiedzieć. Mieliśmy go aresztować, a pani nam to uniemożliwiła. Utrudnia pani dochodzenie. To poważny zarzut, proszę pani. Można za to iść do federalnego więzienia. Poinformowała pani podejrzanego, że po niego idziemy, i pomogła mu pani uciec. Odwiedziła go pani wczoraj wieczorem, a dzisiaj rano zniknął. To poważna sprawa, o czym pani dobrze wie. Kiedy osoby, które przysięgały chronić ludzi, naruszają tę przysięgę, można je sądzić za naruszenie zasad etyki. Zawiodła pani zaufanie społeczno-



ści, której obiecała pani służyć, podważyła pani nasze metody śledcze, naraziła pani funkcjonariuszy na bezpośrednie zagrożenie, nie mówiąc już nawet o cywilach. Na wolności znalazł się morderca.

– Nie macie pewności, że to on jest mordercą – odparłam poirytowana. Nie mogłam znieść, że mówią tak o moim bracie. – Nie został jeszcze skazany. A ja mówię wam, że jest niewinny. Obraliście za cel niewłaściwego człowieka. Proszę się zastanowić, jeśli wszystkie te wydarzenia są powiązane, jak Adam może być winny? Sam pan powiedział, że istnieje związek pomiędzy zabójstwami w hotelu i na terenie szkoły. W obu przypadkach użyto cyjanku. Sprawdzaliście już paznokcie McMillena? Jestem przekonana, że kilka z nich zostało zerwanych, może nawet wszystkie. To jest podpis sprawcy. Nie potrafi się oprzeć, musi oznakować jakoś swoje ofiary. To jego cecha charakterystyczna, a zarazem słabość. Proszę się zastanowić. Allyson miała zerwane paznokcie, Jeff Facer również. To wszystko jego ofiary. Chcecie się dowiedzieć, kto zabił McMillena? Mówię wam, to ten sam człowiek.

Foster spojrział na mnie i odchrząknął.

– No dobrze, na wolności znalazł się podejrzany o zabójstwo – mruknął, całkowicie ignorując większość tego, co właśnie usłyszał. Odniosłam jednak wrażenie, że coś do niego dotarło. Nie bagatelizował mojej teorii, a to był pewien postęp.

Tyle że za mały. Pasożyt planował następny ruch, taki, którym zamierzał przebić swoje poprzednie osiągnięcia, jeśli dobrze go rozszyfrowałam.

Chciał przyciągnąć kolejnych fanów.

– Musimy wiedzieć, gdzie jest Adam Clarke. Jeśli odmówi pani współpracy w szukaniu go, oskarżymy panią o utrudnianie śledztwa. Nie widzę innego wyjścia.

– Proszę bardzo. – Wzruszyłam ramionami. – Możecie mnie oskarżyć.

Foster wstał, zebrał papiery i spojrzał na mnie raz jeszcze.

– Pójdzie pani do więzienia. Przez długi czas nie zobaczy pani swoich dzieci. Nie spędzi pani z nimi wielu kolejnych urodzin i świąt. Najstarsze będzie już studiować, kiedy pani wyjdzie na wolność. Proszę się nad tym zastanowić i dać mi znać, kiedy już będzie pani gotowa powiedzieć mi, gdzie on się ukrywa.

Wbiłam wzrok w drzwi, które się za nim zatrzasnęły, serce waliło mi w piersi. Kiedy przywołał moje dzieci, uderzył w najczulszy punkt. Czy warto było ratować Adama, jeśli oznaczało to, że moje dzieci stracą matkę?

Miałam nadzieję, że tak.

## Rozdział 88

Wypuszczono mnie dopiero następnego ranka, kiedy Sydney zjawiała się w biurze szeryfa z prawnikiem i wpłaciła kaucję. Prawnik zgodził się zająć moją sprawą i zadeklarował, że będziemy w kontakcie. To były jego ostatnie słowa, zanim odjechał wielkim czarnym cadillakiem. Miałam nadzieję, że wiedział, co robi.

David czekał w samochodzie z zapalonym silnikiem. Obgryzał paznokcie, minę miał zatroskaną.

W radiu toczyła się rozmowa o Damianie, huraganie, który oszukał wszystkie prognozy i modele i wcale nie uderzył na południu Florydy. Pędził wzdłuż wybrzeża, jeszcze nad oceanem, ale w każdej chwili mógł się przenieść bliżej lądu.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez most na wyspę, zauważyłam, że okna w domach są zabite, a ludzie pakują rzeczy do samochodów, gotowi uciekać. Prezenter radiowy podkreślił, że nikt nie wie, jaką drogę obierze Damian, należy więc na wszelki wypadek przenieść się w głąb lądu. Huragan przybierał na sile i szybkości, nie dało się przewidzieć, ile szkód wyrządzi, kiedy już uderzy.

– A nawet jeśli zostanie nad oceanem, należy spodziewać się huraganowych wiatrów i fali sztormowej w naszym hrabstwie, zwłaszcza na terenach niżej położonych, takich jak Amelia – dodał.

Sydney wyłączyła radio. Spojrzała na mnie.

– No to może ktoś w końcu powie mi, co się dzieje. Gdzie jest Adam?

Westchnęłam zmęczona. W nocy prawie w ogóle nie spałam. Zadzwoiłam do Chada i dzieciaków, dowiedziałam się, że opuścili już Cocoa Beach i przenieśli się do hotelu w Orlando, nie musiałam więc się o nich martwić. Christine się rozplakała, powiedziała, że za

mną tęskni i bardzo się boi, że umrze podczas huraganu. Odparłam, że na pewno wszystko będzie dobrze, a Damian zostanie nad oceanem. Zdaniem Alexa to wszystko było super, już wiało jak nie wiem co, chciał się pobawić na dworze, ale tata mu nie pozwolił. Olivia była milcząca, co oznaczało, że też jest przerażona, ale nie mogła mi o tym powiedzieć, bo odgrywała rolę najstarszej siostry. Tęskniłam za nimi potwornie i było mi źle z tym, że jesteśmy tak daleko od siebie, kiedy dzieje się coś tak straszego.

– Nic się nie stało, Syd – odparłam. – David ci nie mówił? Postanowiliśmy przenieść Adama wcześniej rano, kiedy strażnik jeszcze spał. Nie wiem dokąd, bo nie chciałam kłamać podczas przesłuchania, gdyby mnie o to pytali. David mi nie powiedział. Dokąd go zabrałeś, Davidzie?

Ojciec przestał obgryzać paznokcie i spojrzał na mnie w lusterku wstecznym.

– No właśnie. Ja go nie zabrałem.

– To znaczy?

– To znaczy, że nigdzie go nie zawiozłem. Adama nie było w sali, kiedy po niego przyjechałem. Nie było go.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Że co?

– Nie było go w łóżku. Zastępca szeryfa Corel spał jak zabity, ale przecież nie mogłem go obudzić i zapytać, gdzie jest Adam, więc wyszedłem.

– Ty chyba żartujesz. To niemożliwe!

– Czyli... nikt nie wie, gdzie jest teraz Adam? – zapytała Sydney, podnosząc głos.

– Na to wygląda – mruknęłam, po czym wbiłam gniewne spojrzenie w szybę, za którą jakaś rodzina pakowała psa na tylne siedzenie samochodu.

Przygotowywali się do ewakuacji.

– Nie mamy zielonego pojęcia – kontynuowałam, czując, jak wzbiera we mnie panika na myśl o bracie i o tym, co się z nim teraz dzieje. – Tymczasem nadciąga huragan, co oznacza, że musimy go znaleźć. I to szybko.

## Rozdział 89

Obserwował jej dom, więc zobaczył podjeżdżający samochód, kiedy w końcu wróciła. Ucieszył się na myśl, że Eva Rae Thomas spędziła noc w areszcie. Nic nie mogłoby go bardziej uszczęśliwić.

Poza świadomością, co jeszcze dla niej szykował.

To wszystko do tej pory to była pestka.

Zaparkowali na podjeździe, a Eva Rae wysiadła z samochodu. Jej babcia podeszła do drzwi i przywitała ją uściskiem na werandzie. Już zabili okna sklejką, tak jak wszyscy sąsiedzi. Ludzie przygotowywali się na nadejście huraganu.

Przynajmniej tak im się wydawało.

Wiatr się wzmógł, palmy wyginały się przy każdym mocniejszym podmuchu. Zaczęło lać jak z cebra, deszcz przegnał Evę Rae i jej rodzinę do środka, zamknęli za sobą drzwi.

E.T. nie mógł ich już dłużej obserwować, więc odjechał. Z bagażnika samochodu dochodziły go głośne jęki zakneblowanego chłopaka, który próbował krzykiem wzywać pomocy i bębnił w klapę bagażnika.

– Wrzeszcz, ile chcesz – mruknął E.T. i przyspieszył, pędził pustą szosą przez kałuże, które już rosły. – Nikt cię nie usłyszy w tej wichurze i ulewie. Nadciąga huragan, najmocniejszy, jakiego doświadczyła ta wyspa. Prawdziwa bestia. Bestia, mówię ci.

## **Rozdział 90**

### *Wcześniej*

– Ma pani dwadzieścia minut. Będę nadzorować wizytę. Nie mogę zostawić pani z nim sam na sam.

Marlene pokiwała głową do kobiety z Departamentu Dzieci i Rodziny. Ta spojrzała na nią surowo, jakby chciała się upewnić, że Marlene wie, iż jest obserwowana.

– Jest tutaj – oświadczyła, otwierając drzwi do małego, jasnego pokoju. Na dywanie w otoczeniu zabawek siedział Jack, bawił się ciężarówką, naśladował jej odgłosy.

Marlene podeszła bliżej i kucnęła obok niego. Łzy wezbrały w jej oczach, poczuła ucisk w gardle. Nie widziała syna od czterech tygodni, wydał jej się znacznie starszy i wyższy.

Słyszała, że Bruce został aresztowany. Dziecięca pornografia na jego komputerze wystarczyła, aby został skazany, jej prawnik powiedział, że czeka go długi wyrok. Śledczy nadal badali sprawę udziału Marlene w znęcaniu się nad dzieckiem, czy wiedziała i przymykała oko, czy też może przyczyniła się do tego, co spotkało Jacka. Marlene zamierzała walczyć z nimi wszelkimi możliwymi środkami, prawnik zapewnił ją, że ma szansę odzyskać syna, niewielką, ale jakąś ma.

Kurczowo uchwyciła się tej nadziei.

– Cześć, słonko. Co robisz? – zapytała. Nagle poczuła obcość pomiędzy sobą a synem. Przeraziła ją myśl, że Jack zacznie płakać albo krzyczeć, a opieka społeczna pomyśli, że Marlene robi mu coś złego, znęca się nad nim.

Analizowała od jakiegoś czasu każdy najdrobniejszy aspekt tego, jak wychowywała chłopca, zastanawiała się, co mogłoby zostać zinterpretowane jako znęcanie się. To, że chwyciła go za ramię, kiedy nie chciał się umyć? Czy to była przemoc? Skrzywdziła go tym?

To prawnik zalecił jej, by przypomniawszy sobie wszystkie sytuacje, które można wykorzystać przeciwko niej w sali sądowej. Każdy szczegół miał znaczenie.

A kiedy zdenerwował ją w samochodzie i na niego krzyknęła? Kiedy wyciągnęła go z fotelika, a on krzyknął, bo nóżka mu uwięzła, a ona tego nie zauważyła, bo się spieszyła? Spojrzała na jego nogę i pojawił się siniak.

Każdy szczegół, podkreślił prawnik. Wszystko należało przeświecić, aby mogli odpowiednio przygotować się do rozprawy i na potencjalne ataki.

– Skarbie? Jack? Cześć. To ja. Twoja mama.

Chłopiec nie podniósł głowy. Całkowicie ją ignorował, koncentrował się na ciężarówce, jeździł nią po dywanie, jakby matki nie było w pokoju.

Czy w ogóle za nią nie tęsknił?

Marlene spojrzała na kobietę z Departamentu Dzieci i Rodziny.

– Co mu się stało? Dlaczego nie chce ze mną rozmawiać?

Kobieta wzruszyła ramionami, po czym opuściła wzrok na notes, który trzymała na kolanach. Zerknęła za zegarek.

– Zostało siedemnaście minut.

Marlene znów spojrzała na syna, uśmiechnęła się.

– Może porozmawiamy, co, Jack? Mama bardzo za tobą tęskniła, nie mogę się doczekać, żeby znów spędzać z tobą więcej czasu. Wszystko u ciebie dobrze?

Chłopiec odwrócił się do niej plecami. Marlene poczuła ucisk w sercu. To było przerażające. Syn nawet nie chciał na nią patrzeć?



Jak to się stało?

– Jack? Nie chcesz ze mną rozmawiać? Tęskniłam za tobą, skarbie.

W końcu podniósł głowę i spojrzał na nią, jego oczy zapłonęły. Wstał i wymierzył w nią palec.

– Jesteś zła. Trzymaj się ode mnie z daleka.

Marlene cofnęła się, w jej oczach błysnęły łzy. Spojrzała na urzędniczkę, po czym podeszła do niej. Walczyła z tym, ale na próżno. Nie mogła dłużej tego znieść. Wszystkie te miesiące pełne frustracji i gniewu musiały w końcu znaleźć ujście. Krzyknęła na kobietę i chwyciła ją za ramię.

– Co wyście mu zrobili? Syn nigdy się tak do mnie nie odzywał. Co mu zrobiliście? Co zrobiliście mojemu synowi?

## Rozdział 91

– Jak myślisz, co się stało z Adamem? – zapytała Eileen, wręczając mi kubek kawy. Upiłam łyk i usiadłam na stołku w kuchni. Nawet w tych okolicznościach, kiedy mój brat zaginął i nadchodził huragan, lepiej było wrócić do domu, niż siedzieć w areszcie. Miałam nadzieję, że taka noc nigdy się już nie powtórzy.

Wzruszyłam ramionami i zamknęłam oczy, ciepły napój obudził mnie do życia. Eileen popchnęła w moją stronę talerz z jajecznicą i bekonem, a ja zjadłam całą porcję tak szybko, że prawie się zakrztusiłam. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio porządnie się najadłam, to było jak dar niebios.

– Nie wiem. Ale wiem, czego się obawiam – odparłam.

– Przecież nie wyszedł o własnych siłach?

– Owszem, to jest możliwe – wtrącił David, który także nalał sobie kawy – ale mało prawdopodobne. To nie w jego stylu, żeby przed czymś uciekać. Poza tym dokąd by się udał?

– Zakładamy więc, że ktoś mu pomógł? – zapytała Eileen.

Pokiwałam głową i rozejrzałam się po ciemnym wnętrzu. Przy zabitych oknach wydawało się mniejsze.

– To co robimy? – zwrócił się do mnie David. – Jak go znajdziemy?

– W samym środku huraganu – dodała Eileen. – Moim zdaniem musimy poczekać, aż pogoda się poprawi. Damian uderzy za kilka godzin. Powinniśmy zostać w domu. To nie pora na to, żeby biegać albo jeździć po okolicy.

David pokiwał głową.

– Mama ma rację. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Musimy to przeczekać, zaczniemy szukać po huraganie.

Odetchnęłam powoli, byłam wyczerpana. Nie podobała mi się myśl, że Adam jest gdzieś tam sam, i to przy takiej pogodzie. Czy nie dość już przeszedł? Dzieciak miał piętnaście lat, na litość boską, był w wieku mojej Olivii. Byłabym przerażona, gdyby moja córka utknęła gdzieś całkiem sama, widać było, że David czuje podobnie.

Ani trochę mi się to nie podobało.

Powiew wichru przewrócił kosz na śmieci i potoczył go po ulicy z hukiem. Furtka w ogrodzeniu domu sąsiadów poluzowała się i stuknęła na wietrze. Spojrzałam na telefon, zastanawiając się, czy będzie przerwa w dostawie prądu i usług telekomunikacyjnych, kiedy nagle z werandy dobiegł nas jakiś hałas. Chwilę później rozległo się pukanie. Spojrzałam na Eileen.

– Kto wychodzi z domu w taką pogodę? – zapytała.

– Sprawdzę. – Podeszłam do drzwi i otworzyłam je. W progu stał Chris, opierał się na kulach, minę miał niepewną. – Chris? Co ty tu robisz? Wiesz, że zbliża się huragan? Wejdz.

Wszedł dalej, a ja zamknęłam za nim drzwi. Usiadł w ulubionym fotelu babci, w którym zazwyczaj zasypiała, kiedy nie chciało jej się wchodzić po schodach na górę, co zdarzało się bardzo często, nawet jeśli wołała się do tego nie przyznawać.

– Co się stało? – zapytałam, czując niepokój. To nie mogło być nic dobrego, sądząc po jego minie.

Sięgnął do kieszeni po telefon i włączył ekran.

– Muszę pani coś pokazać – powiedział. – To się pani nie spodoba.

## Rozdział 92

– Otrzymałem ten film mniej więcej godzinę temu – powiedział Chris, unosząc telefon. Wzięłam go od niego i włączyłam odtwarzanie. Na widok ściągniętej twarzy Adama prawie pękło mi serce.

– Co to jest? Kto ci to przysłał?

– Nie wiem. Ale jest wiadomość. Do mnie. Nie wiem, co mam robić.

Odtworzyłam film. Serce załomotało mi w piersi, kiedy zobaczyłam pistolet przyciśnięty do skroni Adama i napięcie na jego twarzy. Był zakneblowany, miał opaskę na oczach, ale widać było, że jest przerażony. Biedny chłopak.

– Jeśli pójdziesz na policję, on zginie. Jeśli komuś powiesz, zginie. Rozumiesz? – rozbrzmiał zniekształcony głos.

Zapauzowałam i spojrzałam na Chrisa.

– Nie mogę tego zrobić – odparł zdławionym głosem. – Nie mogę.

– Co każą mu zrobić? – zapytał David, podchodząc do nas.

– Wziąć broń i ostrzelać jeden z punktów ewakuacyjnych dla osób uciekających przed huraganem – odparłam z głębokim westchnieniem. To było straszne. Pamiętałam, co spotkało Allyson po tym, jak Pasożyt przesłał podobny filmik Adamowi. Ogarnęło mnie przecucie, że Adam nie wyjdzie z tego żywy. Nieważne, co zrobi lub czego nie zrobi Chris.

– N-nie mogę tego zrobić. Nie mogę zrobić komuś krzywdy. Nigdy nie strzelałem z broni – wyjąkał chłopak. – Nie wiem, za kogo mnie ten człowiek uważa, ale nie jestem taki. Spójrzcie na mnie. Jestem niepełnosprawny, na litość boską.

– Zapewne dlatego cię wybrał. Bo nikt nie będzie cię podejrzewać, jeśli wejdiesz do punktu ewakuacyjnego o kulach.

– Ale...? – Chris posłał mi zrozpaczone spojrzenie, oczy miał mokre, spłynęła z nich łza. Stoczyła się z policzka na usta. – Nie mogę tego zrobić. Właśnie to przyszedłem wam powiedzieć. Przykro mi, będę żyć ze śmiercią Adama na sumieniu, ale nie mogę. Gdybym mógł zająć jego miejsce, zrobiłbym to, ale nie mogę.

Położyłam dłoń na jego ramieniu.

– To jasne. Nikt nie oczekuje, że to zrobisz. Nikt. Dobrze postąpiłeś, przychodząc z tym do mnie.

– Wiem, że może przez to skazałem Adama na śmierć, ale nie miałem pojęcia, do kogo się zwrócić. Uznałem, że pani może zdoła mi pomóc.

– Dobrze zrobiłeś, Chris. Zostaniesz tu do czasu przejścia huraganu?

Pokiwał głową.

– Babcia jest w domu. Zostajemy tu razem.

Na zewnątrz przewróciło się coś ciężkiego i z łoskotem potoczyło się po szosie. Otworzyłam drzwi i wyjrzałam na ulicę. Padało coraz mocniej, na drodze tworzyły się ogromne kałuże. Poziom wody szybko się podnosił.

– Powinieneś do niej wracać jak najszybciej, dopóki to jeszcze możliwe. – Sięgnęłam po telefon i kluczyki do samochodu. Chris zszedł po schodach. Odprowadziłam go wzrokiem, chciałam mieć pewność, że bezpiecznie dotrze do domu.

– A ty dokąd? – Eileen położyła obie ręce na biodrach.

– Wychodzę. Muszę znaleźć Adama, zanim będzie za późno.

Trzasnęłam drzwiami, zanim ktoś zdołał zaprotestować, i pobiegłam do samochodu. Już na tym krótkim odcinku przemokłam do suchej nitki. Drzewo na podwórku sąsiadów pochyliło się nad ziemią, było bardzo blisko przewrócenia się. Weszłam do sieci i znalazłam aplikację do śledzenia huraganów, aby sprawdzić, dokąd zmie-

rza Damian. Prognozy przewidywały, że uderzy w Amelię, dokładnie w naszą plażę. Uznałam, że mam co najmniej dwie godziny, zanim zrobi się naprawdę niebezpiecznie.

## Rozdział 93

Ulica pana Jenkinsa wyglądała na równie opuszczoną co reszta wyspy. Okna zabito sklejką, wszystkie podwórka oczyszczono z nieumocowanych na stałe przedmiotów, kosze na śmieci przeniesiono do środka. Na ulicy leżały palmowe liście. Zatrzymałam się przed jego domem, podbiegłam do drzwi i zapukałam.

Ku mojemu zaskoczeniu drzwi się otworzyły, stanęła w nich kobieta, w której rozpoznałam żonę Jenkinsa.

– Tak? W czym mogę pomóc?

– Szukam pana Jenkinsa. Zastałam go?

Pokręciła głową. Do drzwi podeszła też ich córka, spojrzała na mnie nieśmiało.

– Idzie huragan – szepnęła z niepokojem.

– Nie, ale niedługo wróci. – Pani Jenkins spojrzała na zegarek.

– Tutaj przeczekacie huragan? – zapytałam.

Pokręciła głową. Córka uchwyciła się kurczowo jej nogi. Przypomniałam sobie, jak to jest, być dzieckiem na Florydzie i mierzyć się z ewakuacjami i cyklonami. Po kilku pierwszych robiło się łatwiej, ale było to niezmiennie przerażające. Najgorsze było, kiedy rodzice kazali ci wybierać pomiędzy ulubionymi zabawkami, bo nie mogli zabrać wszystkich. Myśl, że wrócisz, a twojego domu i twoich zabawek nie będzie, była straszna. Ta niepewność i potem czekanie, czasami nawet kilka dni, aż to wszystko się skończy.

– Właśnie mieliśmy wyjeżdżać. Pakuję ostatnie rzeczy. Mąż zadeklarował, że weźmie drugi samochód i do nas dołączy. Pojechał zabezpieczyć nasz letni domek przy plaży. Kupiliśmy go zaledwie pół roku temu, wynajmowaliśmy go, taki dodatkowy dochód. Domek jest zaraz przy plaży, zapewne mocno oberwie. Modłę się tylko, żeby

naprawa nie okazała się za droga. Bruce poświęcił na remont wiele godzin, a teraz to. Dlaczego chciała pani znów z nim rozmawiać? To coś ważnego? Mogę do niego zadzwonić. Telefony chyba jeszcze działają.

– Działają. – Podniosłam rękę, aby ją powstrzymać. Jenkins nie mógł się dowiedzieć, że go szukam. To by się nie skończyło dobrze. – Ale to nie będzie konieczne. Później z nim porozmawiam. Po huraganie. Uważajcie na siebie.

– I pani też. – Kobieta zrobiła zatroskaną minę. – Mam nadzieję, że będziemy mieć po tym wszystkim dom, do którego będziemy mogli wrócić.

– Na pewno – odparłam, próbując dodać otuchy dziecku. To był mocny huragan, nie dało się przewidzieć, co się stanie z domami. Najbardziej obawiałam się o dom babci. Był stary i nisko położony, na terenie zalewowym.

Pożegnałam się, zastanawiając się, jak zmieni się ich życie, jeśli się okaże, że pan Jenkins to Pasożyt, jak bardzo zmieni się życie tej biednej dziewczynki, kiedy dowie się prawdy. Przeżyłam coś podobnego, a byłam dorosła, kiedy poznałam prawdę o ojczymie. To było jeszcze dziecko, miała pięć, może sześć lat.

Na samą myśl pękało mi serce.

Pobiegłam do samochodu, znów mnie przemoczyło po drodze. Wiatr zerwał z palmy gałąź, która przeleciała tuż obok mnie i z hukiem wylądowała na asfalcie. Kiedy minął szok i mogłam znów oddychać, wcisnęłam gaz do dechy i popędziłam ku plaży i domkowi Jenkinsów.



## Rozdział 94

Na plaży fale młóciły piasek i przelewały się przez wydmy. Wąska ulica pomiędzy domami a wydmami już była miejscami zalana, przez co musiałam zwolnić. Wycieraczki szalały przed moimi oczami, próbując usuwać wodę z szyby. Ulewny deszcz bębnił o dach oszłamiająco głośno, podmuchy wiatru miotały samochodem i utrudniały mi prowadzenie.

Zaparkowałam przed domkiem letniskowym Jenkinsów – to tu jego właściciel przyjechał przed przedstawieniem teatralnym. Podejrzewałam, że tu właśnie przetrzymywał Melanie i szafę, którą potem umieścił na scenie.

Równie dobrze mógł uwięzić tutaj Adama.

Zaparkowałam jak najbliżej wejścia, wysiadłam z samochodu i pojechałam do drzwi. Zapukałam mocno i czekałam, a wiatr zalewał mi deszczem twarz i próbował mnie powalić na ziemię.

Zero reakcji.

Uświadomiwszy sobie, że pewnie mi nie otworzy, sięgnęłam po klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Obeszłam dom, walcząc z deszczem i wiatrem, i znalazłam na tyłach stare wejście pod schodami – tu miałam więcej szczęścia. Weszłam do środka i zamknęłam za sobą, po czym otrząsnęłam się z wody. Zakradłam się po schodach na górę. Znalazłam się w kuchni, w której nadal jeszcze trwał remont. Niektóre elementy wyposażenia były całkiem nowe, innych, takich jak blatów i części szafek, brakowało.

Sięgnęłam po broń, którą nosiłam na kostce, i wystawiłam ją przed siebie, a następnie weszłam na kolejny poziom, gdzie musiały znajdować się sypialnie. Okna zostały już zabite, dom był przygotowany na huragan. Wspinałam się po stopniach, kiedy usłyszałam

hałas i znieruchomiałam. Wstrzymałam oddech, biegiem pokonałam ostatnie stopnie i weszłam do pokoju z kanapą, wielkim telewizorem i futonem. Przeszłam do pierwszej sypialni, otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka, mierząc z broni.

Pusto.

Poszłam dalej, otworzyłam drzwi, zajrzałam do środka i nagle coś na mnie skoczyło. Krzyknęłam i uniosłam ręce, aby osłonić twarz. Cokolwiek to było, wylądowało na podłodze obok mnie i popędziło do drzwi, a ja uświadomiłam sobie, że musiał to być szop pracz, który pewnie szukał schronienia przed burzą.

Z walącym sercem wróciłam na korytarz i otworzyłam drzwi do ostatniej sypialni.

Ona również okazała się pusta.

– Adamie? – zawołałam, myśląc, że gdyby zamknięto go w jakiejś szafie albo garderobie, może zdołałby odpowiedzieć.

Panowała głucha cisza.

Zbiegłam do garażu sprawdzić, czy samochód Jenkinsa wciąż tam jest, ale garaż był pusty. Na cemencie zostały tylko ślady opon, wciąż mokre. To znaczyło, że tu był i pojechał dalej, pewnie zabrał Adama ze sobą.

Spóźniłam się.

## Rozdział 95

Powrót do domu babci był przerażający, ogłędnie mówiąc. Wicher się wzmógł, drzewa naokoło mnie padały. Drewniane sztachety płótów latały w powietrzu, do tego woda zaczęła się podnosić. Zalało drogi, mój minivan radził sobie z trudem w tych warunkach. Dwukrotnie musiałam wybrać objazd, ponieważ nie dało się przejechać z powodu zbyt wysokiej wody. Do tego intensywne opady na szybie ograniczały widoczność, więc trudno było rozstrzygnąć, gdzie droga się zaczyna i gdzie się kończy. W pewnej chwili wjechałam do rowu i utknęłam na kilka minut, zanim zdołałam wrócić na asfalt.

Jeszcze nie panikowałam, ale byłam blisko.

Po godzinie zdołałam w końcu wjechać w ulicę babci – zazwyczaj trasa ta zajmowała piętnaście minut. Podjazd był zalany aż do pierwszego stopnia werandy.

Zaparkowałam na trawniku sąsiadów i resztę drogi przebiegłam, a raczej przebrnęłam w wodzie po kolana, aż w końcu stanęłam na werandzie pod zadaszeniem.

– Maaama!

Moim oczom ukazał się widok przerażający. Moje dzieci. Na werandzie była cała trójka.

Alex pierwszy na mnie skoczył, przywarł do moich nóg i poprosił, by go wziąć na ręce. Oczywiście to zrobiłam, a wtedy podeszły do mnie Christine i Olivia. Były blade i zmęczone.

– Wróciłaś, dzięki Bogu.

Z kuchni wyłonił się Chad. Podszedł do mnie i pochylił się, by mnie pocałować, ale się odsunęłam, po czym postawiłam Alexa na ziemi.

– C-co do... Chad? Rany boskie, co ty tu robisz? I to z dziećmi? – zapytałam, choć na chwilę mnie zatkało. Z trudem powstrzymałam wybuch złości.

Westchnął z rezygnacją.

– Dzieci się bały. Ja się bałam, nie wiedzieliśmy, co robić. Chciały zobaczyć się z mamą, ja sam nigdy nie przeżyłem huraganu, nie miałem pojęcia, co dalej. Christine płakała, wszyscy chcieli przyjechać upewnić się, że nic ci się nie stało.

– Czekaj, czy ja dobrze rozumiem? W związku z tym przywiozłeś ich tutaj, na wyspę na Atlantyku, podczas huraganu?

Pokiwał głową.

– Oszalałeś?

– Przepraszam. Nie wiedziałem, co robić.

– Do cholery, Chad. Lada chwila nas zaleje. Widziałeś poziom wód?

– No taak... Zaparkowałem u któregoś z sąsiadów. Nie wiedzieliśmy, że jest tak źle, dopóki nie przyjechaliśmy, godzinę temu nie było jeszcze tak tragicznie. Myślałem, że tutaj będziemy bezpieczni.

– Pozamykano mosty, nie da się już wyjechać z wyspy. Jeśli coś się stanie, nikt nas nie uratuje, ponieważ mieliśmy się ewakuować. Nikt tu nie przyjedzie. Tu nie jest bezpiecznie, wręcz przeciwnie, a ty... przywozisz tu dzieci?

– Tak, no więc... Przepraszam, Evo Rae. Myślałem, że ucieszysz się na nasz widok. Byliśmy spakowani, uznałem, że równie dobrze możemy przyjechać tutaj. W hotelu nie było nic do roboty.

– No to źle uznałeś – syknęłam. Szlag mnie trafił, nie mogłam nawet na niego patrzeć.

Wróciłam więc na werandę, woda podeszła już pod górny stopień. Wkrótce miało zalać werandę, a potem dom.

Chad stanął za mną. Drzewa na podwórku sąsiada uginały się do ziemi, wiatr zawodził żłowrogo.

– Przepraszam, Evo Rae. Ile razy mam to jeszcze powtórzyć?

Przygryzłam wargi i pokręciłam głową.

– Po prostu... Uch... Tak się cieszyłam, że wszyscy jesteście bezpieczni na stałym lądzie i że nie muszę się martwić o dzieci.

– Nie chciałem...

Odwróciłam się do niego twarzą. Byłam taka skołowana, miałam ochotę krzyczeć z frustracji.

– Czego ode mnie chcesz, Chad, co? – ryknęłam, próbując przebić się przez wycie wiatru.

– O co konkretnie pytasz? Powiem ci, czego chcę. Chcę, byś powiedziała, że mnie kochasz. Bo kochasz. Wiem, że kochasz. Widzę to w twoich oczach. Ty i ja to jeszcze nie koniec, Evo Rae. W żadnym wypadku. Nadal cię Kocham, a ty kochasz mnie. Naszym przeznaczeniem jest być razem. Proszę, powiedziałem to. Nic nie powinno stawać między nami. Ani huragan, ani nowy chłopak.

– Przypominam, że to ty pierwszy znalazłeś sobie nową dziewczynę – syknęłam. – O czym dowiedziałam się dopiero po roku, o ile dobrze pamiętam. To ty zniknąłeś z dnia na dzień, to ty nie miałeś dość przyzwoitości, by mi o tym powiedzieć osobiście. To był twój wybór, Chad, to wszystko był twój wybór.

– I bardzo tego żałuję. Nienawidzę siebie za to, co zrobiłem tobie i dzieciom. Tylko o tym myślę od rana do wieczora. O tym, jak bardzo nawaliłem. Wszystko popsułem. Nie wiedziałem, co mam, dopóki tego nie straciłem. Ale teraz chcę to odzyskać. Tak. Chcę wam to wszystko wynagrodzić. Chcę kochać cię tak, jak tego potrzebujesz. Jak na to zasługujesz. Nie rozumiesz, Evo Rae? To my jesteśmy najważniejsi, ja i ty, zawsze byliśmy.

Wpatrywałam się w byłego męża, który stał na werandzie; wiatr targał mu włosy, całkiem mokre od deszczu. Nigdy jeszcze nie wyglądał tak bezbrinnie, tak bezradnie ani tak zdecydowanie. A ja nigdy nie kochałam go bardziej niż w tej chwili.

Nie mogłam mu jednak tego powiedzieć. Nic nie było dla mnie teraz jasne, a już na pewno nie moje życie uczuciowe. Niezależnie od tego, jak bardzo pragnęłam odzyskać rodzinę, nie potrafiłam zrezygnować z Matta, którego kochałam przez całe swoje życie. To nie było ani miejsce, ani pora na takie rozmowy.

– Uch! – krzyknęłam na wiatr. – Nie teraz, Chad! Miałeś tyle okazji i mówisz mi to teraz? W środku huraganu? Całkiem ci odbiło?

Jęknęłam głośno, minęłam go, weszłam do środka i trzasnęłam drzwiami. Kiedy wpadłam do kuchni, Eileen spojrzała na mnie z przerażeniem. Woda sączyła się przez szpary w podłodze.

## Rozdział 96

– Musimy jechać. Musimy się stąd wydostać.

Patrzyłam na Eileen, która próbowała zbierać wodę ręcznikami.

– Poziom wody będzie się podnosić – dodałam. – Zaraz wylądujemy na dachu i będziemy czekać, aż ktoś przyplynie po nas łódką. Chyba nie chcesz siedzieć na dachu podczas huraganu. Idzie na nas dopiero czoło burzy, a to drugi koniec niesie większe ryzyko spiętrzenia wód. Nie możemy tu być, kiedy nadciągnie.

Eileen pokręciła głową.

– W szkole podstawowej mogą schronić się ci, którzy nie ewakuowali się z wyspy na czas. Jest wyżej położona, budynek jest solidny.

– Świetnie, to niedaleko. Jedziemy.

Uśmiechnęła się do mnie słabo. Po raz pierwszy podczas naszej krótkiej znajomości zobaczyłam, że wygląda na swoje lata. Nagle wydała mi się zmęczoną, bezradną starszą panią.

– Ja chyba zostanę tutaj. Nie chcę opuszczać domu.

– Ale... babciu...

Znów się uśmiechnęła.

– Po raz pierwszy mnie tak nazwałaś, wiesz?

Woda przybierała, przemoczyła stopy babci i przelała się do salonu, gdzie schowali się Chad i dzieci.

– Jest punkt ewakuacyjny w szkole podstawowej. – Serce waliło mi w piersi. Musiałam wydostać stąd dzieciaki, zanim będzie za późno. Potem uporam się z upartą babcią. – Zawieź tam dzieci.

– Nie pojedę w taką pogodę – odparł Chad. – Widziałaś poziom wody? Mój samochód sobie z tym nie poradzi.

– Ja zawiozę dzieci... i Sydney. – Podszedł do mnie David. – Moją furgonetką. Ona ze wszystkim sobie poradzi.

– Dzięki. – Odetchnęłam z ulgą, myśląc, że gdybym miała komuś powierzyć swoje dzieci podczas huraganu, to właśnie jemu. – Doce-  
niam to.

– Ale... co z tobą, mamo? – zapytała Olivia. – Nie możesz tu zo-  
stać. Woda jest już w łazience.

– Pomogę babci się stąd wydostać. Będę zaraz za wami, dobrze,  
skarbie?

– Boję się. – W oczach Christine błysnęły łzy. Woda uderzała  
o płyty na oknach, wiatr zawodził coraz głośniej i próbował je powy-  
rywać.

Objęłam córkę i mocno ją przytuliłam.

– Jedźcie. Spotkamy się na miejscu, dobrze? Z dziadkiem będzie-  
cie bezpieczni. Ma bardzo dobry samochód i zna okolicę jak własną  
kieszeń.

– Mama ma rację. – David chwycił Christine za rękę. – Ufasz mi?

Christine zastanawiała się przez chwilę, po czym przytaknęła.

Pocałowałam ją w czoło i wyprawiłam ich w drogę z królikami  
w klatce na tylnym siedzeniu. Odprowadzałam masywną furgonetkę  
wzrokiem, kiedy wyjechała z garażu i potoczyła się powoli przez  
wodę. Zastanawiałam się przy tym, czy jeszcze kiedyś zobaczę ro-  
dzinę.



## Rozdział 97

– Nigdzie nie jadę. Nie zmusisz mnie.

Wpatrywałam się w stojącą przede mną staruszkę. Woda sięgała jej do kostek, a ja wciąż nie mogłam jej za żadne skarby przekonać, by ze mną pojechała.

Podeszłam do drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Mój samochód nadal stał na trawniku sąsiadów, ale tam też podchodziła woda. Miałyśmy ostatnią szansę się stąd wydostać. Jeszcze mogłam przejechać po niezalanych ogródkach tak jak David przed chwilą. Pisałam do dzieciaków z pytaniem, jak daleko dotarli, ale wiadomości pozostały niewysłane, a kiedy próbowałam dzwonić, rozlegał się ciągły sygnał.

Zostaliśmy odcięci od świata.

Wróciłam do kuchni, gdzie babcia próbowała zatamować napływ wody, przewracając stół.

– Musimy uciekać, Eileen. Natychmiast.

– To mój dom i jeśli chcę pójść pod wodę razem z nim, to moja sprawa – syknęła na mnie. – Idę na górę, tam przeczekam huragan.

– A jeśli woda dotrze i tam? Dokąd się przeniesiesz?

– Na dach.

Tupnęłam gniewnie.

– Dlaczego jesteś taka uparta?

– Mam do tego prawo. Ty możesz jechać, Evo Rae. Nikt cię nie zatrzymuje.

– Nie zostawię cię. – Po moich policzkach płynęły łzy. – Nie pozwolę ci tutaj umrzeć.

– Chyba będziesz musiała – prychnęła.

Wpatrywałam się w nią, nie mogąc się nadziwić, skąd w niej taki upór. Gdybym ją tu zostawiła, to na pewną śmierć. Żadna osiemdziesięciolatka nie przeżyłaby czegoś takiego.

Pokręciłam głową.

– Nie.

Uznałam, że nie może być ciężka. Podbiegłam do niej, chwyciłam ją za nogi i podniosłam, a potem przerzuciłam sobie przez ramię.

– Nie zostawię cię – oświadczyłam, kiedy zaczęła protestować. – Nie teraz. Dopiero co cię poznałam. Idziesz ze mną i kropka.

Kopniakiem otworzyłam drzwi i wypadłam na zewnątrz. Woda rozbijała się o ściany domu, zalewała werandę. Z babcią na ramieniu brodziłam w niej po pas, aż dotarłam do domu sąsiada, którego ogród był wyżej położony. To tam zostawiłam samochód w przebiegu mądrości. Babcia krzyczała, że mam ją puścić, ale wrzuciłam ją na tylne siedzenie, wskoczyłam na przednie i zaczęłam się modlić, by silnik zapalił.

Kiedy zaryczał, wystartowałam. Jechałam przez podwórka i kałuże, woda rozchlaprywała się na bokach samochodu, taranowałam płotki, krzaki, przewróciłam nawet jakiś kosz na śmieci, ale udawało mi się trzymać suchego gruntu. Kiedy w końcu wyjechałyśmy na niezalaną część drogi, wcisnęłam gaz do dechy i zostawiłam tonący dom babci daleko w tyle.

## Rozdział 98

Suchy odcinek szybko się skończył, znów jechałyśmy przez wodę, która podchodziła pod boki samochodu. Nie mogłam przestać myśleć o dzieciach, modliłam się, by bezpiecznie dotarły do punktu ewakuacyjnego.

Skręciłam w prawo na mokradła, a kiedy próbowałam przez nie ostrożnie przejechać, silny prąd nagle porwał samochód, nad którym straciłam kontrolę.

Babcia krzyknęła, kiedy auto zjechało z drogi. Rozpaczliwie kręciłam kierownicą, ale bez rezultatu. Woda ponosiła samochód coraz dalej, w żaden sposób nad nim nie panowałam. Przez szyby widziałam tylko coraz więcej wody.

– Toniemy! – zawołała babcia z tylnego siedzenia. – Wciąga nas pod wodę!

To stało się bardzo szybko, nie zdążyłam zareagować. Wnętrze samochodu wypełniało się wodą, która sięgnęła mi do pasa.

– Pomocy! – krzyknęła Eileen. – Co robimy?

– Musimy zachować spokój. – Opuściłam szybę, przez którą do środka wlało się jeszcze więcej wody. – To teraz najważniejsze: zachować spokój. Zaczekamy, aż samochód wypełni się wodą. Zostań na fotelu, dopóki woda nie sięgnie tak wysoko, że nie będziesz mogła oddychać. Kiedy wewnątrz już się wypełni, zdołamy się wydostać. Wstrzymasz oddech i wypłyniesz na powierzchnię. Możesz to dla mnie zrobić, babciu? Myślisz, że dasz radę?

Woda sięgała mi już po szyję, którą wyciągałam, by jak najdłużej utrzymać twarz nad powierzchnią. Eileen walczyła o oddech za moimi plecami. Wody było coraz więcej, spojrzałam na babcię po raz

ostatni i zacisnęłam ręce na kierownicy, by móc się od niej odepchnąć, kiedy nadejdzie pora.

– A teraz weź głęboki oddech, najgłębszy, jak się da, i płyniemy. Wydostanie się na powierzchnię powinno zająć nam najwyżej trzydzieści sekund. Słyszysz?

Odpowiedział mi tylko jęk, ale zrobiła, co kazałam. Nappełniłam płuca bezcennym powietrzem, zanim woda dosięgła moich nozdrzy. Odpięłam pas i odepchnęłam się od kierownicy, by przecisnąć się przez okno. Trenowałam takie manewry w FBI, ucieszyłam się, że wiem, co robić. Nie zdołałybyśmy otworzyć drzwi z powodu naporu wody z zewnątrz. Wiedziałam też, że powietrze w płucach pomoże mi wydostać się na powierzchnię.

Okazało się jednak, że trening to jedno, a rzeczywistość to coś całkiem innego. Było to trudniejsze, niż myślałam. Prawie nic nie widziałam, kiedy płynęłam, nie wiedziałam nawet, gdzie jest góra, a gdzie dół. Straciłam z oczu Eileen, nie miałam pojęcia, czy udało się jej wydostać przez okno.

Odwróciłam się, by jej poszukać, nigdzie jej jednak nie było. Z przerażeniem zawróciłam do samochodu, ale uświadomiłam sobie, że powietrze mi się kończy i muszę płynąć w górę. Choć widziałam światło, coraz bardziej brakowało mi tchu. To było jak ten sen, kiedy próbujesz dokąś dotrzeć, ale ciągle tylko zawracasz. Płynęłam i płynęłam, a miałam wrażenie, że tonę, tafla wody coraz bardziej się oddalała.

Już prawie skapitulowałam, kiedy nagle coś poruszyło się nad moją głową i poczułam mocne szarpnięcie.

## Rozdział 99

Zachłysnęłam się i zaniosałam kaszlem. Moje płuca płonęły. Zwymiotowałam wodę na trawę, na której leżałam.

I wtedy zobaczyłam jego twarz. Utkwił we mnie swoje piękne oczy.

– Evo Rae?

– Matt?

Prawie wykrzyczałam jego imię, kiedy uświadomiłam sobie, że to on.

– Evo Rae... – Ujął moją twarz w dłonie i wbił we mnie zdenerwowane spojrzenie. – Byłaś w samochodzie sama? Był tam z tobą ktoś jeszcze? Dzieci... były z tobą?

Usiadłam prosto, zemdlilo mnie i znów zwymiotowałam wodą. Byłam zdezorientowana, ale po chwili sobie przypomniałam.

– Eileen. Gdzie jest Eileen? Wydostała się? Nigdzie jej nie widzę. Została na dole?

Matt bez zastanowienia wskoczył do wody. Wstrzymałam oddech, z bijącym sercem rozglądałam się nerwowo. Niemożliwe, bym teraz miała ją stracić. Nie chciałam w to uwierzyć.

„Proszę, niech ona przeżyje. Proszę”.

Matt wypłynął na powierzchnię, ciągnął za sobą drobną Eileen. Pomogłam mu wynieść ją z wody i od razu zrobiłam jej sztuczne oddychanie. Uciskałam klatkę piersiową i modliłam się, by jej serce ruszyło, by zaczęła oddychać.

Zaniosała się kaszlem i zaczęła pluć wodą. Odetchnęłam z ulgą. Matt nie marnował czasu. Wziął ją na ręce i przeniósł do swojej furgonetki. Położył moją babcie na tylnym siedzeniu. Wiatr nadal wiał,

zalewał nas deszcz. Wskoczyłam na siedzenie obok niego i wystartowaliśmy, mój samochód został w wodzie.

– Skąd się tu wzięłeś? – zapytałam, oddychając z trudem, kiedy furgonetka z rykiem torowała sobie drogę po trawie, trzymając się ostatków niezalanego gruntu.

– Wróciłem po ciebie. Wjechałem w ulicę twojej babci w chwili, gdy odjeżdżałaś. Zauważyłem twój samochód i pojechałem za tobą. Furgonetka miała problemy z pokonywaniem wody, zmyło mnie z drogi. Upłynęła chwila, zanim zdołałem na nią wrócić. Pokonałem most w ostatniej chwili przed jego zamknięciem.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się cieszę, że tu jesteś.

– Ja też. A mogło mnie tu nie być.

Wjechał na odcinek, gdzie było widać asfalt, a domy pozostawały nietknięte. Przejechaliśmy przez małe osiedle i dotarliśmy na Jasmine Street, gdzie wydałam westchnienie ulgi. W oddali widać było szkołę, która wyglądała na nienaruszoną i bezpieczną.

Serce zabiło mi szybciej na myśl o rodzinie. Kiedy Matt zaparkował, wzięliśmy Eileen na ręce i zanieśliśmy ją do środka. Silny wiatr próbował nas zepchnąć ze ścieżki, deszcz smagał nasze twarze.

## Rozdział 100

– Mamo, co ci się stało? Jesteś całkiem mokra!

Uścisnęłam obie córki, przytuliłam je mocno. Alex bawił się z kolegą po drugiej stronie sali. Uściskał mnie krótko, po czym pobiegł dalej.

W stołówce i sali gimnastycznej ustawiono prycze, mieszkańcy wyspy szukający tu schronienia w ostatnich godzinach przywieźli krzesła i śpiwory. Ucieszyłam się na widok Lauren, Chrisa, zastępcy szeryfa Corela i śledczego Fostera, którzy nadzorowali ewakuację i powitali mnie, kiedy weszliśmy do środka. Był tu nawet Ryan, ojciec Allyson, siedział na krześle z twarzą ukrytą w dłoniach.

Położyliśmy babcię na pryczy, a David przysunął sobie krzesło, żeby mieć ją na oku. Ja przytuliłam i ucałowałam dzieci, uścisnęłam też mocno Sydney, w duchu dziękując Bogu za to, że mojej rodzinie nic nie grozi. Nie znajdowałam słów, aby wyrazić ulgę, którą poczułam.

Wszyscy byliśmy bezpieczni.

Podszedł do mnie Chad, ale na widok Matta uśmiech na jego ustach zamarł.

Wymierzyłam palec najpierw w niego, a potem w Matta.

– Zachowujcie się przyzwoicie. To sytuacja kryzysowa, ostatnie, czego mi trzeba, to żebyście się pobili.

Obaj pokiwali głową, może zrozumieli, że to nie czas ani miejsce na kłótnie. Alex zawołał Chada. Usiadłam na pryczy babci i westchnęłam głęboko. Matt usiadł obok mnie. Na zewnątrz szalała burza, ale w szkole było miło i spokojnie.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się Matt po kilku minutach siedzenia w ciszy, kiedy próbowałam odzyskać równowagę. Ręce mi

się trzęsły, marzłam w mokrym ubraniu. Nie miałam jednak w co się przebrać, nie mogłam nic z tym zrobić. Matt zauważył, że dygoczę, znalazł jakiś koc i otulił mnie nim. Pomogło.

Spojrzałam na niego. Nie przestawałam się uśmiechać. Włosy mu podeschły i teraz sterczały na wszystkie strony. Wyglądał jak mokry szczeniak.

- Wiem, że sam się wycofałem i w ogóle - kontynuował - sam ci powiedziałem, że powinnaś być z Chadem i rodziną, ale... tak naprawdę wcale tego nie chcę. Muszę być całkowicie szczery z tobą i ze sobą. To dlatego wróciłem. Powiedzieć ci, że pragnę być z tobą. Kocham cię, wierzę, że pisane nam jest być razem. Nie chcę z ciebie rezygnować, będę o ciebie walczył, jak przyjdzie co do czego. Jeśli wolisz być z Chadem i mi to powiesz, uszanuję to, rzecz jasna, ale...

Pokręciłam głową i zaśmiałam się lekko.

- No co? Co cię tak bawi?

- Akurat teraz... I ty, i Chad wybraliście na to akurat sam środek huraganu?

Zmarszczył nos.

- Chad? A on co zrobił?

Znów pokręciłam głową.

- Nic. Tylko... Cóż, jeśli mam być szczerą, nie jestem pewna, co czuję. Nie miałam ani chwili spokoju, by się nad tym zastanowić. Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć od razu... Nie mogę teraz mówić, jaka przyszłość nas czeka. Czy zdołasz się z tym pogodzić?

Z trudem przełknął ślinę, odwrócił wzrok. Był rozczarowany. Trudno się dziwić. Wzięłam go za rękę.

- Kocham cię. Naprawdę - dodałam. - Każdą cząstką siebie. Nigdy nikogo nie kochałam tak jak ciebie. To jest prawda. Ale muszę też myśleć o dzieciach. Wiesz, że muszę.



Wstałam i odeszłam, w moich oczach wezbrały łzy, czułam się coraz bardziej skołowana. Weszłam do stołówki, gdzie ustawiono termosy z kawą i kanapki, wzięłam dwie i pożarłam je, a potem popiłam ciepłą kawą.

Przez kilka minut stałam z kubkiem w dłoni, rozmyślając o przyszłości, kiedy nagle zauważyłam Chrisa i Lauren. Siedzieli na ławce i rozmawiali. W progu stał pan Jenkins i uważnie im się przyglądał.

## Rozdział 101

– Musimy mieć Chrisa na oku – powiedziałam, kiedy wróciłam do łóżka babci. Przyniosłam dwie kawy, jedną z nich podałam Davidowi, bo Matt tymczasem odszedł.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Jest tutaj pan Jenkins. Nie widziałam jego rodziny, domyślałam się więc, że w porę ewakuowała się z wyspy. Ale jeśli to on jest Pasożytem, Chrisowi grozi niebezpieczeństwo.

David wstał. Poszedł ze mną do stołówki, by przekonać się na własne oczy. Jenkins pisał wiadomość na telefonie. Sięgnęłam do kieszeni po swój, dziękując Bogu, że są wodoodporne. Okazało się, że w szkole jest zasięg. To był dobry znak. Nie byliśmy całkowicie odcięci od świata. Działał nawet internet.

– Nie możemy pozwolić, by go dopadł – oświadczył David. – Musimy obserwować Jenkinsa. Ja wezmę pierwszą wartę.

Wróciłam do babci, położyłam się na pustej pryczy obok niej. Miałam wrażenie, że całe pomieszczenie wiruje, kiedy miliony myśli atakowały mój biedny mózg. Jakimś cudem udało mi się jednak zasnąć. Po dwóch godzinach głębokiego, pozbawionego marzeń sennych odpoczynku otworzyłam oczy. Wiatr zawodził coraz głośniej.

Babcia też się obudziła, siedziała na pryczy.

– Eileen, jak się czujesz?

– Bywało lepiej. – Dotknęła głowy. – Ale chyba nic mi nie będzie. Dzięki tobie.

Roześmiałam się i usiadłam. Alex podszedł do mojego łóżka, położył się obok mnie i zarzucił mi małe rączki na szyję.

– Na zewnątrz jest strasznie, mammo.

– Wiem, skarbie. Ale tutaj nic nam się nie stanie, wiesz? Tu jest bezpiecznie. Jest tu policja.

Pokiwał głową.

– Podobno to oko cyklonu. Co to znaczy?

– To znaczy, że jesteśmy w połowie. Huragan jest jak okrąg, a my jesteśmy w środku. Słyszysz?

– Nic nie słyszę. – Pociągnął nosem.

– No właśnie. W oku panuje całkowity spokój. Nie ma wiatru ani deszczu. Ale kiedy tylko oko pójdzie dalej, wszystko się znów zacznie.

– Teraz coś słyszę. Co to za stukanie?

Wzięłam głęboki oddech, przypominałam sobie scenki z dzieciństwa.

– To ludzie walą w garnki i patelnie. Taka tradycja. Kiedy jesteś w oku cyklonu, wychodzisz na werandę albo stajesz w drzwiach i walisz w garnki i patelnie, by dać sąsiadom znać, że żyjesz.

Alex wydał cichy okrzyk.

– O!

– Wiem. Na zewnątrz wciąż są ludzie, ale wygląda na to, że nic im nie jest.

– Ja też chcę walić w garnek! – Alex zeskoczył z pryczy.

Chwyciłam go za rękę.

– O nie, nie ma mowy. Zostajesz w środku, słyszysz? Tu jest bezpiecznie.

– Dobrze.

Posłał mi pełne rozczarowania spojrzenie, po czym pobiegł do nowego kolegi. Zaraz potem podszedł do mnie David z poważną miną.

– Co się stało? – zapytałam. Puls mi przyspieszył, bo wyczuwałam, że coś jest nie tak.

- Pojawił się nowy live. - Pokazał mi swój telefon. - Właśnie się zaczął. Sygnał dochodzi stąd.

## Rozdział 102

– Nadaje na żywo – powiedział David i pokazał mi ekran. – To chyba stołówka.

Serce waliło mi w piersi. Jeśli Pasożyt rozpoczął live'a, znaczyło to, że coś planuje, coś, co pragnie uchwycić na filmie i pokazać fanom. Czy miało to coś wspólnego z tym, do czego próbował zmusić Chrisa? Czekał, aby Chris spełnił jego żądanie? Udało mu się go jakoś przekonać, czymś mu zagroził? A może Chris chciał ratować Adama?

To nie mogło być nic dobrego.

Nie zastanawiałam się, od razu pobiegłam do stołówki. Po drodze wpadłam na jakąś kobietę, ale przeprosiłam tylko i popędziłam dalej.

W stołówce przystanąłam, zdyszana i wzburzona. David stanął za mną.

– Gdzie on jest? – zapytałam. – Gdzie jest Jenkins?

– Był tu przed chwilą, kiedy wychodziłem. Stał tam, z telefonem.

Rozejrzałam się po sali, ludzie nalewali sobie kawy i przekładali kanapki na talerze.

– A gdzie Chris?

David powoli wypuścił powietrze.

– Siedział z Lauren, tam...

Podbiegłam do Lauren.

– Szukamy Chrisa. Wiesz, dokąd poszedł?

Pokręciła głową.

– Może po coś do jedzenia?

– Nigdzie go nie widzę. Cholera. Rozmawiał z kimś, zanim wyszedł? – zapytałam.

Pokiwała głową.

– Tak, podszedł do nas jakiś mężczyzna. Zapytał, czy może porozmawiać z Chrisem i poprosił, by z nim poszedł. Zniknęli w tamtym korytarzu.

Spojrzałam w kierunku, który wskazała, po czym tam pobiegłam. David patrzył na ekran, śledził relację na żywo.

– Jest w korytarzu. Filmuje cegłę na ścianach.

– Mówi coś? Ktoś komentuje?

– Właśnie powiedział, że film zacznie się za kilka minut, namawiał fanów, by uzbroili się w cierpliwość. Podobno warto poczekać, bo zaplanował coś naprawdę wielkiego.

Moje serce zgubiło rytm. Czyżby zamierzał rozpętać strzelaninę w szkole? Były tu moje dzieci. Nie mogłam na to pozwolić. Nie mogłam pozwolić, by skrzywdził kolejne osoby.

Dotknęłam kostki, ale przypominałam sobie, że broń została w samochodzie, w torebce. Pewnie przepadła na zawsze. Nie byłam dla Pasożyta przeciwniczką, jeśli przyszedł uzbrojony. Nie mogłam sama go powstrzymać.

Potrzebowałam pomocy.

## Rozdział 103

Poprosiłam Davida, by miał wszystkich na oku, a sama pobiegłam do pracowni medialnej, gdzie ostatnio widziałam śledczego Fostera. Kiedy jednak otworzyłam drzwi i weszłam do środka, nie zobaczyłam ani jego, ani zastępcy szeryfa Corela. Przeszłam przez bibliotekę i kolejny korytarz, kiedy zauważyłam nogę w drzwiach do łazienki.

O nie!

Otworzyłam drzwi. Na podłodze leżał nieruchomo zastępca szeryfa Corel, jego głowa spoczywała na płytkach, oczy miał otwarte. Kałuża krwi otaczała go niczym aureola. Mój puls przyspieszył, gdy gorączkowo sprawdzałam, czy jego serce wciąż bije. Na próżno. Było po nim.

Moją uwagę przykuła plama krwi na jego plecach, uświadomiłam sobie, że jego koszula jest podarta. Kiedy przyjrzałam się uważniej, zauważyłam, że ma coś wyryte na skórze. Litery układały się w słowo.

DOBROĆ

– Kolejny owoc ducha – mruknęłam.

Wpatrywałam się w martwego zastępcę, zastanawiając się, dlaczego Pasożyt wyrył to słowo na skórze ofiary, choć dotąd tego nie robił.

„Ponieważ przesyła ci wiadomość. Chce mieć pewność, że wiesz, iż to jego sprawa. Wie, że depczesz mu po piętach”.

Wróciłam do stołówki, gdzie natknęłam się na Davida.

– Jeszcze ich nie znalazłem. Sprawdziłem oba korytarze, ale były puste. Na filmie jest tylko biała ściana i zegar. Zaczął odliczanie od dziesięciu minut, zostało sześć.

– Sześć minut do jego wielkiej premiery? Musimy go powstrzymać – odparłam. – Zanim będzie za późno. Zastępca szeryfa Corel leży martwy w męskiej łazience. Zabił go i wyrył słowo „dobroć” na jego skórze, chce nam pokazać, że to jego dzieło. Musimy znaleźć śledczego Fostera, powiedzieć mu. Jest uzbrojony, zdoła go więc powstrzymać, ale nigdzie go nie widzę.

– Ja też nie. Pytałem, ale nikt nie wie, gdzie on jest.

– Sprawdzę wschodnie korytarze i sale lekcyjne, jeśli weźmiesz zachodnią stronę – zaproponowałam.

David pokiwał głową, po czym chwycił mnie za rękę.

– Uważaj na siebie, skarbie.

Już miałam go zbesztać za ten dobór słów, ale nagle odkryłam, że mi to nie przeszkadza. Gdybym miała być szczerą, nawet mi się spodobało.

Uśmiechnęłam się lekko.

– Ty też.

– Foster?

W jednej z sal znalazłam pięcioosobową rodzinę, która jadła swoje zapasy. Dzieci bawiły się zabawkami na podłodze. Rodzice wydawali się zmęczeni. Wyraz ich oczu zdradzał, że stracili podczas huraganu cały dobytek, teraz byli bezpieczni, ale obawiali się, co zastaną po powrocie do domu. Czy całkowicie go zalało?

– Przepraszam. Szukam śledczego Fostera, widzieli go państwo?

Matka pokręciła głową. Była zbyt zmęczona, by cokolwiek powiedzieć. Poszłam dalej, aż spotkałam człowieka, który wyglądał, jakby przeszedł piekło.

– Szukam śledczego Fostera. Wysoki, szczupły, brązowe włosy. Nosi odznakę. Widział go pan?



W oczach mężczyzny malował się szok.

– Otoczyła nas ze wszystkich stron. Woda pojawiła się nagle. Radziliśmy sobie, aż nagle wezbrała. Moja żona... weszła na kuchenny stół, ale się przewrócił, a ona... utonęła.

Widać było, że nie do końca wie, co się stało.

– Wędruję po korytarzach, bo nie wiem, co mam robić – dodał. – Cały czas myślę, że ona gdzieś na mnie czeka, ale to nieprawda. Nie potrafię usiąść.

– Bardzo mi przykro.

Pokiwał tylko głową i poszedł dalej. Serce mi pękało, ale pobiegłam dalej, zaglądałam do sal, wołałam Fostera, byłam coraz bardziej przerażona. Wiedziałam, że czas ucieka, nie miałam pojęcia, jak powstrzymam Jenkinsa.

Nagle zobaczyłam Chrisa. Stał przy ścianie obwieszonej pracami plastycznymi, opierał się na kulach. Na jego widok odetchnęłam z ulgą.

– Chris! – zawołałam i pomachałam mu.

Odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, podchodząc bliżej.

Pokiwał głową.

– Tak.

Już się cieszyłam, kiedy nagle poczułam, że coś jest nie tak. Kątem oka zauważyłam ruch, ktoś biegł korytarzem w kierunku Chrisa.

To był Jenkins.

– Uciekaj, Chris, uciekaj! – krzyknęłam, choć wiedziałam, że przecież nie ucieknie o kulach. Przyspieszyłam kroku, zauważyłam, że mężczyzna rzuca się na chłopca.

## Rozdział 104

Chris zrobił unik, kiedy mężczyzna na niego skoczył, chwilę później przetaczali się po podłodze.

– Złaż z niego – krzyknęłam. – Złaż z niego, ty bydlaku!

Chłopak zdołał wydostać się spod Jenkinsa, próbował uciec, ale tamten chwycił go za nogi i pociągnął. Chris wydał głośny okrzyk, za co otrzymał cios pięścią w twarz. Ułamek sekundy później wbił coś w szyję przeciwnika, który znieruchomiał w pół ruchu, z rany trysnęła krew. Oszołomiony Jenkins zatoczył się do tyłu i osunął na płytki. Chris odsunął się od niego na czworakach.

Zamarłam na widok krwawiącego mężczyzny i Chrisa, który dyszał ciężko. Cała się trzęsłam, kiedy patrzyłam, jak Jenkins walczy o ostatni oddech, z jego szyi leje się krew.

Chris podszedł do niego, ciągle na czworakach, chyba by się upewnić, że Jenkins nie żyje.

– Musimy wezwać pomoc – powiedziałam. Nasze oczy się spotkały.

Chris pokręcił głową. Oparł dłonie na płytkach i podparł się na nich.

– Nie. Lepiej nie.

– Słucham?

Wstał bez pomocy kul i wyprostował się na całą swoją wysokość, sto sześćdziesiąt osiem centymetrów. Nagle uświadomiłam sobie, że jest w doskonałej formie fizycznej.

– Nie ma sensu nikogo angażować. To sprawa między mną a tobą.

Musiał zauważyć, jak zmienia się wyraz mojej twarzy, kiedy w końcu uświadomiłam sobie prawdę. Wszystkie informacje,

wszystkie szczegóły, które przeoczyłam, wszystkie znaki ostrzegawcze zwały się na mnie w jednej chwili.

– Twoja twarz. Twoja choroba... Skóra wiotka.

– To rzadkie, dziedziczne lub nabyte schorzenie skóry charakteryzujące się jej nadmierną wiotkością. Skóra traci elastyczność, zaczyna zwisać w fałdach. Pacjenci wydają się znacznie starsi, niż są. Ale kule są zbędne. Sięgnąłem po nie, licząc na określony rezultat, współczucie, i cóż, żeby uniknąć podejrzeń. Ale tak. Moja choroba sprawia, że wyglądam na czterdzieści lat, może nawet więcej z tą obwisłą skórą.

On obserwował mnie, a ja jego. Nie było sensu dłużej udawać. Oboje znaleźliśmy prawdę.

– Najtrudniejsze w dorastaniu z taką chorobą jest to, że wszyscy się gapią. Dzieci szydzą, dorośli też. Nie ma normalnego dzieciństwa ani młodości. Z automatu i mimowolnie trafiasz od razu do świata dorosłych. Tracisz pewien etap życia. Ten, który z definicji powinien być najpiękniejszy, kiedy nie trzeba myśleć, kiedy poznaje się innych bez osądzania. Jako dziecko byłem nazywany Staruszką albo Dziadkiem. Dzieci się mnie bały. Trudno im się dziwić. Miałem cztery lata, a wyglądałem jak starzec. Uciekały, kiedy chciałem się z nimi bawić. Kiedyś wzięli mnie mylnie za nauczyciela, innym razem za czyjegoś rodzica. Raz zostałem wyrzucony ze szkolnego autobusu, kierowca nie uwierzył, że jestem uczniem. Cierpiący na skórę wiotką muszą się wiecznie usprawiedliwiać: w szkole, w pracy, wszędzie. W kółko odpowiadają na pytanie o wiek. Ich największym wrogiem jest lustro. Wyglądam na dwadzieścia pięć lat więcej, niż mam. W świecie, w którym wszystko bąduje na wyglądzie i młodości, ja też chciałem być młody. Ale jak? Utknąłem w starym ciele, ze starą twarzą. Miałem dziewięć lat, kiedy obwisły mi policzki, pięć, kiedy pojawiły się fałdy na szyi.

– Ale to umożliwiło ci udawanie dorosłego – wtrąciłam. – Chodzenie do barów, zamawianie piwa i porywanie kobiet, wizyty w monopolowym i porywanie ludzi pokroju Jeffa Facera, nawet jeśli w rzeczywistości masz zaledwie piętnaście lat.

– Niepotrzebnie tu przyjeżdżałaś, Evo Rae Thomas. To znaczy, ja się cieszę, bo zmotywowałaś mnie, bym się mocniej postarał. Wiesz, że moja strona ma ponad dziesięć tysięcy subskrybentów? Nareszcie osiągnąłem wymarzoną sławę. W końcu mnie dostrzegają. Kiedy dorastasz z tą chorobą, nikt cię nie widzi. Wiecznie się ukrywasz. Wychowywała mnie babcia, która ukrywała mnie przed ludźmi, żebym ich nie wystraszył. Nie zabierała mnie do miasta. A kiedy poznajesz kogoś nowego, każdy się na ciebie przez kilka sekund gapi, zanim sobie uświadomi, że to nieuprzejme. Wtedy przestaje patrzeć i udaje, że cię nie ma. Tak robili ludzie przez całe moje życie, udawali, że mnie nie ma. Nauczyciele nie wzywają mnie do odpowiedzi, bo wtedy musieliby naprawdę na mnie spojrzeć. Czują się skrępowani w mojej obecności. Wszyscy czują się skrępowani, dlatego mnie ignorują. Przez całe życie byłem ignorowany i pomijany, ale koniec z tym. Teraz mnie zobaczą. Zmuszę świat, żeby mnie zobaczył.

– Są inne sposoby na to, żeby skupić na sobie uwagę, wiesz?

– Uśmiechnij się, Evo Rae. – Uniósł telefon, a ja zrozumiałam, że mnie filmuje. –Właśnie zaczął się live, dzisiaj jesteś moim wyjątkowym gościem honorowym.

## Rozdział 105

– Możesz uciekać – powiedział Chris. – Ale dokąd? Na zewnątrz szaleje huragan, a tutaj... cóż, tutaj są twoje dzieci i wiele innych niewinnych osób...

Odetchnęłam powoli. Chris nadal mnie filmował, co wywoływało we mnie dyskomfort.

– Gdzie jest Adam? Co mu zrobiłeś?

– Och, cieszę się, że w końcu zapytałaś. – Postukał palcem w ekran. – Wiem, że moi widzowie również się nad tym zastanawiają. Oto on. To streaming z kamerki Go Pro, którą zamocowałem na jego głowie. Podzielę ekran, żeby widzowie mogli zobaczyć i nas, i streaming.

Odwrócił komórkę wyświetlaczem do mnie.

– Na co patrzę? – zapytałam.

– To punkt ewakuacyjny na ładzie, Szkoła Podstawowa Yulee, gdzie ponad pięćset osób schroniło się przed burzą. Umieściłem tam Adama, który wie, że nie wolno mu nikomu powiedzieć, co ma w plecaku. Jeśli to zrobi, ładunek wybuchnie i wszyscy zginą. W szkole schroniło się wiele osób bezdomnych, ubodzy mieszkańcy osiedla baraków, większa część to dzieci.

– Wysłałeś go tam z bombą? – zapytałam nerwowo.

– Tak. A tu mam detonator.

Podniósł rękę, w której trzymał małe urządzenie.

– Kiedy wcisnę ten guzik, wszyscy zginą.

– Czego ode mnie chcesz? – wykrztusiłam z trudem. Wpatrywałam się w domowej roboty detonator. Przytłaczała mnie myśl, że biedny Adam czeka, aż rozerwie go wybuch. Musiał być przerażony. – Mam przecucie, że chcesz, bym coś zrobiła. Tak? – konty-

nuowałam drżącym głosem. – Na czym stanęło? Wiem, że Adam to była miłość, ludzie w hotelu Ritz-Carlton reprezentowali radość, ci w domu opieki pokój, Melanie w teatrze była cierpliwością, McMillen uprzejmością, a zastępca szeryfa Corel dobrocią. Co z resztą? Teraz mamy wierność. To też Adam?

– Odrobiłaś zadanie domowe, jak widać. Cierpliwości. Dojdę do tego.

– To Jenkins? Jenkins był wiernością?

Chris parsknął śmiechem.

– Dobry Boże, ależ skąd. On był niczym. Nikim ważnym.

– Dlaczego cię zaatakował? Wiedział, co planujesz?

– Jeśli musisz wiedzieć, obraziłem go. Miał charakterek, wiesz? Powiedziałem mu tylko, że to jego wina, wszystko, co go spotkało, to była jego wina. Fakt, że stracił dziecko i żonę.

– Tyle że to nieprawda. Zastanawiały mnie te wiadomości, które wymieniał z Allyson. Znajdował się w rejestrze skazanych za przestępstwa na tle seksualnym, przeczytałam akta jego sprawy. Miał syna, do którego stracił prawa, ponieważ znaleziono pornografię dziecięcą na jego komputerze. Jenkins zaprzeczał wszystkiemu do samego końca. Na każdym kroku podkreślał, że został wrobiony. Odsiedział swoje, a kiedy wyszedł, dowiedział się, że jego żona popełniła samobójstwo. To ty jesteś tym synem, prawda? Tym, którego stracił?

## **Rozdział 106**

### *Wcześniej*

– Jakie mam twoim zdaniem szanse?

Marlene wpatrywała się w Scotta Huntera, swojego prawnika. To był długi proces, wiele dni w sądzie, kiedy to walczyła o prawo do dalszego wychowywania własnego dziecka. Teraz stali przed salą rozpraw, czekali na werdykt.

Scott odchrząknął.

– Cóż, na pewno nie pomogło nam to, że zaatakowałaś tę kobietę z Departamentu Dzieci i Rodziny, która nadzorowała twoje widzenie z synem, tyle wiemy. Sędzia o tym nie zapomni. Ochrona musiała cię stamtąd wyciągać siłą. Nie buduje to wizerunku stabilnej, kompetentnej psychologicznie matki. Druga strona bardzo sprawnie argumentowała, że nie nadajesz się psychicznie do roli matki, że niemożliwe, by przemoc mogła mieć miejsce bez twojej wiedzy. Biorąc pod uwagę dodatkowe trudności twojego syna, jego chorobę, podkreślano, że nie nadajesz się do tego, by się nim odpowiednio zajmować. Przykro mi, ale to wszystko nie wygląda dobrze.

Miał zapewne rację. Marlene zrozumiała to, kiedy tylko wróciła do sali, a sędzia na nią spojrział. Odczytał werdykt, którego praktycznie nie słyszała. Myślała tylko o swoim synu i o tym, kiedy znów go zobaczy.

Dlaczego świat był taki okrutny?

– Bardzo mi przykro – powiedział Scott, kiedy znów wyszli na korytarz. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Musisz pamiętać, że oni mają na uwadze przede wszystkim dobro dziecka.

Spojrzała na niego ze łzami w oczach.

– Ale... co się z nim teraz stanie?

Marlene usłyszała za plecami głos, odwróciła się. Poczowała w piersi taki ciężar, jakby jej serce zamieniło się w kamień. Stała przed nią jej matka. Rzadko się widywały. Matka nie lubiła Bruce'a, zabroniła jej za niego wychodzić, zagroziła, że Marlene tego pożałuje.

– Mama? Co ty tu robisz?

– Sąd wyznaczył twoją matkę na nową opiekunkę Jacka – wyjaśnił Scott. – Myślałem, że się ucieszysz.

Matka się uśmiechnęła, a Marlene poczuła, że krew stygnie w jej żyłach. Dobrze ją znała, wiedziała więc, jaka jest okrutna.

– Ty? – syknęła. – To twoja sprawka? To ty powiedziałaś im, że Bruce znęca się nad Jackiem? Ty podsunęłaś im szczegóły, zdjęcia i te wszystkie historyjki? – Oddychała z coraz większym trudem, Wiedziała, że matka potrafi być podła, ale to... Do głowy by jej nie przyszło, że zniży się do czegoś takiego.

– Chłopca należy odpowiednio wychować. Ty mu tego nie gwarantowałaś. Byłaś nieudolna. W twoim domu brakowało dyscypliny. Bruce nie nadawał się ani na męża, ani na ojca.

– To ty nastawiłaś Jacka przeciwko nam, poinstruowałaś go, co ma mówić. Byłaś u nas dwa tygodnie temu. Pozwoliłam ci skorzystać z komputera Bruce'a, bo twój się zepsuł, powiedziałaś, że musisz sprawdzić pocztę. To ty podrzuciłaś mu ten folder, prawda? To ty powiedziałaś policji o siniakach i dałaś im zdjęcia, które robiłaś, kiedy Jack cię odwiedzał, bo wiedziałaś, że zdołasz wykorzystać to przeciwko nam, przeciwko Bruce'owi. A teraz on idzie do więzienia, a ja... ja straciłam prawo do własnego syna.

Matka uśmiechnęła się triumfalnie i sięgnęła po torebkę.

– Cóż, ostrzegałam, że nie powinnaś za niego wychodzić, prawda? Ale ty nie słuchałaś. Sama to sobie zrobiłaś. Jak sobie pościelesz, tak



się wyśpisz, moja droga.

## Rozdział 107

– Tata wcale się nad tobą nie znęcał, prawda? – zapytałam.

– Babcia kazała mi powiedzieć wszystkie te rzeczy ludziom z Departamentu Dzieci i Rodziny, a potem policji. Zagroziła, że jeśli tego nie zrobię, pójdę do piekła. Musiałem zamieszkać z nią, ponieważ potrzebowałem dyscypliny. Powiedziała, że jestem karą od Boga, że moja mama została ukarana za to, że wyszła za mojego tatę, to dlatego urodziłem się jako wybryk natury, tak mnie nazywała. Dlatego zachorowałem i dlatego trzeba mnie było ukrywać przed ludźmi. Ona jedyna wiedziała, jak się mną porządnie zająć.

– Wiedziała też, że z powodu twojej choroby łatwiej u ciebie o siniaki, prawda? Mogło to więc wyglądać jak przemoc domowa.

– Wystarczyło, że uderzyłem się w nogę, a cała puchła albo nawet pękała kość. Kiedyś się przewróciłem i doznałem urazu czaszki. Doszło do krwotoku. Głowa tak mi spuchła, że wyglądałem jak E.T. To wtedy zacząłem tak siebie nazywać, tak się czułem. Jak kosmiczny wybryk natury. Babcia zmieniła mi imię na Christopher, bo Jacka nigdy nie lubiła, to imię wybrała dla mnie matka. Kiedy tylko się do niej przeprowadziłem, zaczęła wypędzać ze mnie zło. Zabierała mnie do garażu i biła, kazała mi pokutować za grzechy.

Chwycił krawędź koszuli i podniósł ją. Wydałam cichy okrzyk na widok głębokich blizn.

– Bez bólu nie ma przyjemności, mawiała. W bólu jest celowość. Musiałem wystrzegać się pokus cielesnych, aby mogło zakorzenić się we mnie dobro. Ale dobro nigdy nie wygra, prawda? Spójrz na świat, w którym żyjemy. Na ten huragan. Nieważne, jak bardzo się starasz, nawet w twoim wypadku, Evo Rae Thomas, zło zawsze zwycięży. Próbujemy rozwijać w sobie cnoty, przypisujemy sobie takie cechy jak miłość, niezaprzeczalna dobroć i niezwyciężona życzli-

wość, doszukujemy się dobra w innych, niezależnie od tego, jak się zachowują. Ale to mrzonki, prawda? Bo wystarczy jeden zły ruch i wszystko tracimy. A jeśli ktoś wygląda tak jak ja, nie zdoła nigdy tego odzyskać.

– Zmuszając Adama, by rozpętał strzelaninę w szkole, dowiodłeś, że miłość nie istnieje?

– Wszyscy kochali Adama. Uwielbiali go. Jego rodzina, cała szkoła...

– Allyson.

Urwał. Spojrzał na mnie.

– Tak, Allyson.

– Ty też ją kochałeś, prawda? Z wiekiem zrozumiałeś jednak, że nigdy nie będziesz mieć ani jej, ani takiej dziewczyny jak ona. Narastały w tobie gniew i nienawiść do Adama, ponieważ on miał wszystko to, czego ty pragnąłeś. Dlatego mu to zrobiłeś. No przecież nie by udowodnić, że miłość nie istnieje ani że wszyscy jesteśmy z gruntu źli. To bzdury. Chciałeś jego śmierci, bo byłeś zazdrosny. Myślę, że Bruce Jenkins, twój tata, próbował nawiązać z tobą kontakt, to dlatego korespondował z Allyson. Wiedział, że się przyjaźnicie, a skoro ty nie chciałeś z nim rozmawiać, próbował dotrzeć do ciebie za jej pośrednictwem. Pisał do niej z telefonu na kartę, by jego żona się nie dowiedziała, bo nie zdradził jej nic ze swojej przeszłości. To by mu zrujnowało życie, miał świadomość, że nikt by mu nie uwierzył. Adam myślał, że Allyson umawia się z kimś za jego plecami, ale kiedy poznał całą historię tej nocy po imprezie, przestał się gniewać. Zanim to się stało, Allyson poprosiła, byś spotkał się z ojcem, a ty to zrobiłeś. Powiedział ci wszystko, prawda? Powiedział ci, co zrobiła twoja babcia, jak doprowadziła twoją matkę, jedyną kobietę, która kochała cię bezwarunkowo i naprawdę chciała cię odzyskać, do samobójstwa z rozpacz. Powiedział ci wszystko,

a ty tak się zdenerwowałaś, że zabiłaś babcię po powrocie ze spotkania z ojcem, tak? Założę się, że w domu nadal jest jej ciało.

Chris wpatrywał się we mnie, jego nozdrza drżały. Wyraz jego oczu wystarczył mi za odpowiedź. Rozpracowałam go, a jemu ani trochę się to nie podobało.

– Ale to nie był koniec. Chciałaś ukarać świat za to, co cię spotkało, jak ułożyło się twoje życie. Wymyśliłaś sobie owoce ducha i zaczęłaś planować, Adama i Allyson musiałaś wyeliminować na początku, bo byłaś na nich wściekła. Wszyscy mieli drżeć na dźwięk twojego imienia, tak? Czytałaś o seryjnych zabójcach, chciałaś być sławny jak oni. Chciałaś, by świat cię w końcu dostrzegł i docenił. Choćby jako najniebezpieczniejszego zabójcę w dziejach, najprzebieglejszego. Myślisz, że wykazałaś się ogromnym sprytem, ukrywałaś się, ale coś ci powiem. Nie było to wcale takie genialne. Miałam do czynienia z mordercami, którym nie dorastasz do pięt.

Powiedziałam to, by go wkurzyć. Chciał, żebym się go bała, bym przyznała, że jest mistrzem, zwycięzcą. To dlatego przesłał mi film z domu opieki. Dlatego wybrał mnie do tego, co chciał zrobić teraz. Byłam ekspertką. To ja miałam mu zapewnić uznanie, którego pragnął przez całe swoje życie.

Niedoczekanie. Nie zamierzałam mu nic dawać.

## Rozdział 108

– Gdzie jest Eva Rae? – Matt podszedł do Chada, który bawił się z Alexem wozem strażackim. Marszczył czoło z niepokojem. – To dziwne. Nie widziałem jej od kilku godzin. Nie ma jej w stołówce ani z babcią.

– Hm, ja też jej nie widziałem – przyznał Chad. Wstał i spojrzał na Matta zatroskanym wzrokiem. – No to gdzie może być, skoro tu jej nie ma? Myślisz, że coś jej się stało?

Matt pokręcił głową.

– W szkole jest bezpiecznie. Co by się mogło stać?

Chad uniósł brwi.

– Mówimy o Evie Rae.

Racja. Eva Rae wszędzie potrafiła napytać sobie biedy. Nie musiała wychodzić w tym celu na ulicę.

– Panowie. – Za ich plecami rozległ się głos.

Odwrócili się do Davida. Na widok jego miny serce Matta prawie stanęło.

– Co się stało?

Na twarzy Davida malowała się powaga, spojrzał na telefon, który trzymał w dłoni. Uniósł aparat tak, by wszyscy mogli zobaczyć wyświetlacz. Odtwarzał się na nim film, w obiektywie było widać twarz.

– Eva Rae ma kłopoty.

## Rozdział 109

– Co mam robić? – zapytałam.

Wiatr szarpał za płyty w oknach, z zewnątrz dobiegał łoskot deszczu. Spojrzałam na pomarszczoną twarz Chrisa, a potem na detonator w jego dłoni, zastanawiałam się, jak go odzyskać, nie zabijając przy tym Adama.

Wtedy się pojawili.

– Odsuń się od niej – powiedział Matt, wypadając zza rogu.

O nie...

– Cofnijcie się – zawołałam. – W innym punkcie ewakuacyjnym jest bomba, którą on może w każdej chwili zdetonować. Adam ma ją w plecaku.

– Wiemy. – David pokazał telefon. – Obejrzeliśmy cały wasz występ na żywo. Łatwo was znaleźć, stoicie na tle szkolnej galerii.

Chris uśmiechnął się na widok trzech mężczyzn. Nie był to miły uśmiech, odniosłam wrażenie, że na nich czekał. Zastanawiałam się, czy właśnie dlatego wybrał to miejsce. Aby mieć pewność, że go znajdziemy.

– Nie podchodźcie bliżej – poprosiłam.

Chad zauważył Jenkinsa w kałuży krwi i krzyknął cicho. Odwrócił wzrok, ale było widać, że jest przerażony.

– Lepiej tam zostańcie – powtórzyłam. – Nie podchodźcie bliżej. Mam wszystko pod kontrolą.

– Tak ci się wydaje – mruknął Chris.

Na jego twarzy znów pojawił się ten pogardliwy uśmieszek.

Odwrócił się bokiem do ściany i podniósł telefon, zamocował go tak, by obiektyw objął nas wszystkich i filmował dalej, a następnie

sięgnął na plecy za pasek spodni i wyciągnął broń.

– Nie waż się jej skrzywdzić – krzyknął Matt. David musiał go przytrzymać.

Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Matt wyrwał się z uścisku Davida i rzucił do przodu, by mnie ratować. Chris uśmiechnął się do mnie, uniósł broń i wystrzelił. Kula gwizdnęła w powietrzu, z przerażeniem odwróciłam głowę i zobaczyłam, że Chad wysforował się przed Matta, osłonił go własnym ciałem.

Kula trafiła go w klatkę piersiową. Chad osunął się na podłogę bezwładnie niczym szmaciana lalka.

## Rozdział 110

Krzyknęłam rozpaczliwie i podbiegłam do niego. Chwyciłam go w ramiona i przytuliłam. Jego krew poplamiła mi ubranie. Płakałam i krzyczałam, podtrzymując jego głowę, nie potrafiłam pojąć, co się właśnie stało.

– Nie, nie, nie, proszę, Chad, proszę, Chad, nie zostawiaj mnie. Nie w taki sposób, nie!

David i Matt zamarli, a ja płakałam. Chris stał przede mną, uśmiechał się szeroko, cieszyła go moja rozpacz. Skoczyłam na równe nogi i rzuciłam się na niego. Wtedy zrobił coś, czego się nie spodziewałam. Chwycił pistolet za lufę, rękojeść zwrócił w moją stronę.

– Proszę. Zastrzel mnie. Wiem, że tego chcesz.

Spojrzałam na broń i chwyciłam za nią bez zastanowienia. Przycisnęłam ją do jego czoła, ręce mi się trzęsły, pot tryskał z każdego poru na mojej skórze. Wzbierał we mnie taki gniew, że nie widziałam na oczy.

– Zastrzel mnie. Pomścij męża... wiernego męża. Celowałam w wiernego chłopaka, ale to mąż... wybacz, były mąż... okazał się prawdziwym ideałem wierności. Zginął, ratując czyjeś życie. Jakież to wzór dla nas wszystkich.

Mój palec zawisnął nad spustem, przesunęłam go, gotowa strzelić, zabić na miejscu. Pragnęłam tego ponad wszystko.

– Pamiętaj o jednym. Jeśli mnie zastrzelisz, przestanę naciskać guzik i bomba wybuchnie. Pięćset osób, w tym twój brat, twój słodki, reprezentujący łagodność brat, straci życie. Chcesz tego? A może panujesz nad sobą na tyle, by powstrzymać się przed zabiciem mnie? To ostatni owoc, rozumiesz? Opanowanie. Pytanie, czy masz tę cechę.



Wpatrywałam się w niego i parskałam gniewnie. Nigdy jeszcze nie czułam takiego gniewu. Nie mogłam oddychać, tak bardzo chciałam go zabić, tak bardzo chciałam, by cierpiał.

Nie mogłam. Nie mogłam tego zrobić ze świadomością, że oznaczałoby to śmierć tylu osób.

Opuściłam broń, knykcie mi zbieleły, tak mocno zaciskałam palce na rękojeści. Spojrzałam na leżącego na ziemi Chada i zanosłam się płaczem.

Chris z uśmiechem odwrócił się do kamery.

– I tak to się robi, drodzy widzowie. Teraz wyjdę stąd nietknięty, ponieważ nikt nie odważy się mnie powstrzymać. Będę zabijać dalej, ponieważ jestem nietykalny.

Na ekranie pojawiły się tysiące komentarzy, liczne polubienia i wyrazy radości. Poczulałam smak porażki, kiedy nagle zza moich pleców wyłonił się Matt. Wyrwał mi broń, wymierzył ją w Chrisa i zanim zdołałam zaprotestować, pociągnął za spust.

## Rozdział 111

Kula przeszła go na wylot. Krew trysnęła na telefon i obiektyw, kiedy Chris chwycił się za pierś, po czym osunął się na ścianę, próbował się czegoś chwycić, wyciągał przed siebie ręce, ale przewrócił się na ziemię. Detonator wypadł mu z dłoni i potoczył się po podłodze.

– Nieee! – krzyknęłam, sztyletując Matta wzrokiem. – Właśnie zabiłam pięćset osób, w tym mojego brata!

Matt oddał mi broń, kręcąc głową. Sięgnął po detonator.

– Podczas służby widziałem niejednego detonator do ajdików. Ludzie używali komórek, radia, pilotów do garażu. Łączyło je wszystkie to, że mają zasięg ograniczony do kilometra z hakiem. Punkt ewakuacyjny na łodzi jest położony o wiele dalej. Chris o tym wiedział, oszukał cię.

– Ale...

Matt zerwał ze ściany telefon i pokazał mi ekran: Adam siedział bez ruchu na pryczy, jego kamerka wciąż pokazywała ludzi dokoła, którzy spacerowali, spali, jedli. Na drugiej połowie ekranu widzowie Chrisa wyłączaali się po kolei, wylogowywali się, jedni wolniej, inni szybciej, aż nikt nie został.

Uciekli, by nie dało się ich zidentyfikować, tchórze.

Nie mogłam oddychać. Spojrzałam na Matta, kręcąc głową. Z płaczem osunęłam się na kolana. Matt wziął mnie w ramiona. Płakałam głośno, kiedy mnie tulił i kołysał. Widziałam tylko martwy wzrok Chada. Mężczyzna, którego kochałam, z którym przez piętnaście lat byłam w związku małżeńskim, który dał mi troje dzieci, nie żył.

Nie żył.

Jak to powiedzieć dzieciom?

Po kilku minutach korytarz zapełnił się ludźmi. Dopiero Foster i jeden z jego zastępców zdołali ich stąd usunąć.

David i Sydney zajęli się dziećmi, a Matt zaniósł mnie do świetlicy, położył na pryczy i otulił kocem. Siedział przy mnie przez całą noc i trzymał mnie za rękę, podczas gdy wokół nas szalał huragan Damian.

Trzy dni później

## Rozdział 112

Huragan wyrządził wiele szkód. W telewizji mówili, że był najgorszy w historii wyspy. Wszystko zniszczył. Ludzie stracili domy, były trzy ofiary śmiertelne. Kto mógłby przewidzieć, że cyklon nagle uderzy jako piątka w Amelię, skoro wszystkie modele zakładały, że pozostanie nad oceanem?

Podobno nikt. Nikt.

Najgorsza była powódź. Trzy dni później dom babci nadal znajdował się pod wodą, nocowaliśmy w hotelu Ritz-Carlton, który w zasadzie nie ucierpiał. Otworzył swoje drzwi dla wszystkich, którzy potrzebowali noclegu, by wyspa mogła rozpocząć powolny marsz ku normalności.

Dzieci były zdruzgotane. Utrata ojca była dla nich ogromnym ciosem, płakały bez przerwy.

Ja też.

Potwornie za nim tęskniłam, nie mogłam sobie wybaczyć, że go w to wciągnęłam. Nie wiedzieć czemu częściowo winiłam Matta za to, co się stało. Chad osłonił go własnym ciałem z powodów, których miałam nigdy nie poznać. Dręczyło mnie to. Takie myśli pojawiały się w mojej głowie, ilekroć spoglądałam na Matta, mimo że z całych sił usiłowałam je wyciszyć. Przecież nie była to jego wina. Nie miał żadnego wpływu na to, co się stało.

Trzy dni po huraganie spakowałam nasz skromny dobytek i zjechałam windą do holu z dziećmi i Mattem. Śledczy Foster już na mnie czekał na dole. Podszedł z czapką w dłoni i zapytał, czy możemy zamienić słowo.

Odeszłam z nim na bok, by dzieci nas nie słyszały. Foster ani razu nie próbował dać mi do zrozumienia, że zmyślam, kiedy opowiada-

łam mu, co się stało, nawet jeśli trudno mu było to wszystko zrozumieć, nie on jeden zresztą. Na szczęście wiele osób potwierdziło moją wersję, musiał mnie wysłuchać. Sprawę ułatwiło też to, że znaleźli Corela z napisem wyrytym na plecach.

– Gotowa na powrót do domu? – zapytał.

– Nie mogę się doczekać. Bez obrazy, ale nieprędkiem tu wrócę.

– Ma tu pani rodzinę.

Pokiwałam głową. Racja. David, Adam i babcia zamierzali wyremontować dom i zostać tutaj, choć zaprosiłam ich, by zamieszkali ze mną w Cocoa Beach.

– Może kiedy mamy już nie będzie – powiedział David. – To jest jej wyspa. Tu chce umrzeć.

– Tym razem była blisko – mruknęłam.

– Wiem, że dużo się wydarzyło – oświadczył Foster. – Zaraz dam pani spokój. Najpierw jednak chciałem poinformować panią, że w końcu udało nam się dostać do domu Christophera Hutchinga, a raczej jego babki. Miała pani rację. Znaleźliśmy jej ciało w sypialni na górze. Wygląda na to, że Christopher od dłuższego czasu sypiał obok zwłok.

– Czułam, że je znajdziecie. Co jeszcze? Cyjanek?

– Tak, znaleźliśmy duże ilości cyjanku potasu, który sprowadził z Chin. Zdumiewające, co da się kupić i sprzedać w sieci w dzisiejszych czasach, co nie?

– O tak. Jestem przekonana, że skład chemiczny będzie identyczny z tym, co znaleźliście w szampanie i cukierkach, które zabiły troje dzieci w szkole. W sieci można się natknąć na przedziwne rzeczy. Zdołaliście namierzyć osoby, które oglądały jego kanał?

Foster pokręcił głową.

– Niestety nie. Ale rozmawiałem z FBI, może oni spróbują. Teraz to już nie jest moja sprawa. Postarają się też zamknąć tę stronę. Jest

na niej bardzo dużo złego, nawet jej właściciel chce jej zamknięcia. Sam nie może, bo stworzył ją tak, by to użytkownicy zarządzali treściami. Zrobiło się z niej miejsce dla ludzi, którzy marzą o rozpętaaniu strzelaniny w szkole i mają gdzie o tym pogadać.

– Paskudna sprawa.

– W salonie domu Hutchingów było pełno kamer i komputerów, na jednym z dysków znaleźliśmy jego filmy. Wygląda na to, że zapisał je dla siebie jako coś w rodzaju albumu pamiątkowego.

– Zero zdziwienia.

– Znaleźliśmy też instrukcje robienia bomb, które ściągnął z sieci, i słoik z paznokciami ofiar. W teatrze znaleźliśmy kamerę pod sufitem, którą musiał tam umieścić. Była połączona z jednym z komputerów. Jenkins przetransportował szafę, ponieważ zgłosił się na ochotnika do pracy za kulisami, ale to Christopher musiał na jakimś etapie włamać się do budynku i zamknąć w szafie Melanie w kamizelce z ładunkami wybuchowymi. Poruszał się niebieskim samochodem babci, utrzymywał się z jej oszczędności. Jestem przekonany, że mamy dość, by ponad wszelką wątpliwość udowodnić jego winę, ucieszy się pani na wieść, że znaleźliśmy też film nakręcony dla Adama, w którym groźbą zmusza go do zorganizowania strzelaniny w szkole. Przyłożył nóż do gardła Allyson. Adamowi nic więc nie grozi. Zakładam, że w najbliższych miesiącach zamkniemy sprawę. Chcemy zapewnić tym, którzy przeżyli, spokój umysłu. – Włożył czapkę. – Chciałem się też pożegnać i podziękować. Bez pani byśmy go nie powstrzymali.

Uśmiechnęłam się przez łzy. Wcale nie miałam przekonania, czy mój przyjazd na Amelię w czymkolwiek pomógł. Wręcz przeciwnie, obawiałam się, że moja obecność popchnęła Chrisa do robienia jeszcze gorszych rzeczy. Nie byłam pewna. Nie mogłam wiedzieć. Musiałam się z tym pogodzić i żyć dalej, nawet jeśli było to trudne.

– Gotowa?

Odwróciłam się do Davida i Adama. Okazało się, że Matt miał rację. Detonator skonstruowany przez Chrisa nie sięgał do punktu ewakuacyjnego na stałym lądzie. Kiedy tylko powiedziałam Fosterowi o bombie, poinformował kolegów strzegących szkoły, że trzeba znaleźć Adama i uwolnić go od plecaka. Plecak był wypchany materiałem wybuchowym, wezwano na miejsce oddział specjalny, aby to wszystko rozbroił. Na szczęście nic się nie stało, ludzie w szkole przez cały ten czas byli bezpieczni, Adam również. Eileen leżała w szpitalu, ale jej stan się poprawiał. Była w zdumiewająco dobrej formie jak na osiemdziesięciolatkę. Marzyłam, że będę równie silna jak ona w tym wieku.

– Tak – odparłam. – Chyba mam wszystko. Dzieci, Matta...

– Króliki? – podpowiedział David.

Pokiwałam głową ze smutnym uśmiechem, bo znów przypomniał mi się Chad. Te króliki to był jego pomysł. Bolało, kiedy o nim myślałam. Jego ciało nadal znajdowało się w kostnicy, jeszcze nam go nie oddano, nie mogliśmy więc zorganizować pogrzebu.

– Odwiedzisz nas niedługo, prawda? – Adam uścisnął mnie mocno. – Fajnie jest mieć aż dwie starsze siostry.

Z trudem przełknęłam ślinę i odwzajemniłam uścisk. Kiedy mnie puścił, podeszłam do Davida i spojrzałam mu w oczy.

– Posłuchaj – powiedział. – Wiem, że się zastanawiasz, dlaczego wyjechałem. Dlaczego zabrałem Sydney, a ciebie zostawiłem. Twoja matka zabroniła mi kontaktu z wami. Była na mnie wściekła, walczyłem z nią w sądzie, ale to ona wygrała. Nie wyobrażałem sobie życia bez moich córeczek, więc postanowiłem zabrać was obie. To nie było żadne rozwiązanie, teraz to wiem, ale musisz pamiętać, że byłem zdesperowany i bardzo młody, a to najgorsza kombinacja. Ciebie też chciałem zabrać, ale mi nie pozwoliłaś. Wyrwałaś się, więc zabrałem tylko Sydney. Nie dlatego, że cię nie chciałem, skarbie, wręcz przeciwnie. Bardzo chciałem. Marzyłem o dniu, kiedy



znów cię zobaczę, próbowałem się z tobą skontaktować, ale twoja mama mi to uniemożliwiła. Trudno jej się dziwić. Ale tak właśnie było. Kochałem cię wtedy i kocham teraz. Chcę powiedzieć, że... Cieszę się, że znów jesteś w moim życiu i mam nadzieję, że będziesz mnie czasami odwiedzać i przywieziesz ze sobą te swoje urwisy. Moje wnuki.

Jego słowa sprawiły, że łzy stanęły mi w oczach, prawie straciłam panowanie nad sobą. Przytuliłam się do niego, po czym odsunęłam się i otarłam łzę.

– Rozumiem... tato. Było, minęło – wykrztusiłam. – Ch-chyba ci wybaczam.

Pokiwał głową, też miał mokre oczy.

– Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Roześmiałam się i wymierzyłam mu żartobliwego kuksańca.

– Dobra. Wystarczy. Przez ciebie zaraz znów się rozpłaczę. A muszę jechać. Widzimy się niedługo.

Podeszłam do Matta i dzieciaków. Christine trzymała klatkę z królikami, prawie nie było jej zza niej widać.

Matt otoczył mnie ramieniem. Wyszliśmy na parking, na który podstawiono jego samochód. Miałam nadzieję, że zmieścimy się wszyscy z królikami. O walizki nie musieliśmy się martwić, ponieważ wszystkie porwała powódź.

– Tak sobie myślę... – odezwał się Matt, kiedy podjechał samochód. – Nie chcę mieszkać z mamą do końca życia. Może zamieszkamy razem?

Szeroko otworzyłam oczy ze zdumienia.

– R-razem? Teraz?

Uśmiechnął.

– Dlaczego nie?

– Z moimi dziećmi... i Elijahem?

– Tak.

Parkingowy właśnie wręczył Mattowi kluczyki. Dzieciaki wsiadły, a ja umieściłam klatkę na ich kolanach. Olivia jęknęła głośno na myśl, że będą ją musieli tak trzymać przez całą trzygodziną podróż. Trudno było jej się dziwić. Zamknęłam drzwi. Matt spojrzał na mnie nad dachem samochodu.

– Wiem, że to szaleństwo, ale żyje się tylko raz, a ja wiem, że chcę być z tobą. Co ty na to?

– No... To... Cóż... – Wzięłam głęboki oddech i wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Znałam milion powodów, by tego nie robić, między innymi taki, że było za wcześnie i nie czułam się gotowa, ale nie mogłam znieść myśli, że znów go zranię. Nie miałam pojęcia, czego chcę, marzyłam tylko o powrocie do domu. Ale kochałam Matta, naprawdę go kochałam, i chciałam, by to poczuł. Zamiast więc wyznać prawdę, powiedziałam to, co chciał usłyszeć. – Pewnie. Czemu nie?

Na jego wargi wypłynął szeroki uśmiech.

– Doskonale. Nie mogę się doczekać.

Wskoczył wesoło do samochodu. Ja zostałam na zewnątrz na kilka sekund, walczyłam z uczuciem, że się duszę. W końcu wsiadłam i zapięłam pas, moje serce waliło głośno przez całą drogę do domu.

## Posłowie

Drogie Słuchaczki, Drodzy Słuchacze!

Dziękuję, że wybraliście *Powiedz, że mnie kochasz* z cyklu o Evie Rae Thomas. Napisałam tę książkę podczas ewakuacji z powodu huraganu Dorian, musiałam więc umieścić w niej huragan. Dziwnie było pisać o tym i czekać, aż cyklon podejdzie pod nasz dom, nie wiedzieć, czy będzie do czego wrócić. Zanim wyjechaliśmy, wydawało się, że huragan uderzy w Cocoa Beach, co mnie przeraziło, jeśli mam być szczerą. Na szczęście tym razem nam się upiekło, nic się nie stało ani naszemu domowi, ani nawet miasteczku. Inni, jak zapewne wiecie, nie mieli tyle szczęście, zwłaszcza mieszkańcy Bahamów. Oglądanie relacji z wysp spustoszonych kataklizmem złało mi serce.

Jak zwykle wiele wątków zostało zaczerpniętych z prawdziwego życia. Strona internetowa stworzona po to, by promować wolność słowa, a wykorzystywana do innych celów, istnieje. Została już zamknięta, ale jest obawa, że pojawi się gdzieś indziej. Była aktywna do strzelaniny w El Paso. Sprawca zamieścił na niej swój manifest, tam właśnie dyskutowały ze sobą i wspierały się wzajemnie osoby planujące podobne zbrodnie w miejscach publicznych takich jak szkoły. To przerażające, że takie osoby spotykają się w sieci i pomagają sobie robić takie rzeczy, liczą ofiary. Mnie to przeraża.

Wyobrażam sobie, jakie to straszne przeżycie, gdy ktoś cię fałszywie oskarża o znęcanie się nad dzieckiem, ale takie wypadki się zdarzają. Zazwyczaj to jeden rodzic oskarża drugiego podczas batalii o opiekę nad dziećmi, ale zdarzały się oskarżenia wymierzone w oboje rodziców.

Zapewne zdziwi was informacja, że prawdziwe są również filmiki na YouTube o przeszukiwaniu kontenerów na śmieci. Przypadkiem

natknęłam się na kilka z nich i stąd wziął się pomysł na dziewczynę, która robi to w mojej książce. Znajdziecie masę takich filmów na YouTube.

Zapewne domyśliliście się już, że moje dzieci mają króliki i tak, bezustannie kłócą się o to, czyja kolej na sprzątanie kuwety. Króliki są jednak urocze i – jak wiele aspektów posiadania dzieci – warte wysiłku. Były z nami podczas ewakuacji, tak jak nasz pies Snowball, goldendoodle.

Raz jeszcze dziękuję za wasze wsparcie. Pamiętajcie, by zrecenzować książkę, jeśli możecie.

Uściski

Willow